

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/294

1972



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. DREWNOWSKI :

JEDYNA DROGA

Al. ZABRZECKI :

PATOLOGIA OPOZYCJI

J. MIEROSZEWSKI :

W ZADUMIE NAD SCENARIUSZEM

B. OSADCZUK :

NEODMOWSZCZYŻNA GIERKA

SPIS RZECZY

Jan Drewnowski:	<i>Jedyna droga</i>	3
Aleksander Zabrzęski:	<i>Patologia opozycji</i>	27
Kamila Chylińska:	<i>Wyoobrażenia w koszu</i>	38
J. Krotkow:	<i>Hipertonicy</i>	47

WIERSZE

Andrzej Brycht:	<i>Pytania i odpowiedzi</i>	57
Andrzej Brycht:	<i>Epitafium</i>	58

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Testament</i>	59
----------------------------	------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>W zadumie nad scenariuszem</i>	63
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	72

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	82
Jan Sewer:	<i>Represje w Czechostowacji</i>	88
—	<i>Imprezy litewskie w Polsce</i>	93

SPRAWY I TROSKI

—	<i>P.O.S.K.</i>	94
---	-----------------------	----

WOLNA TRYBUNA

Bohdan Osadczyk:	<i>Neodmowszczyzna Gierka</i>	98
------------------	-------------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Wittlin:	<i>Przemówienie</i>	105
Jerzy Kowalski:	<i>Wyzsza Szkoła Muzyczna w Warszawie</i>	107
—	<i>Komunikat: Stypendium Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie</i> ..	115
—	<i>Nota biograficzna Janiny Katz</i>	115

KSIĄŻKI

Janina Katz:	<i>Jak być emigrantem?</i>	116
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	131
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	137



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	140
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142



M. Hirszowicz, B. Jabłońska-Wojdas, M. Kałuski, K. Krótki, P. Łysek, J. Mackiewicz, A. Matejko, Z. Michałowski (wraz z odpowiedzią Redakcji i J. Mieroszewskiego), Z. Szrednicki, St. Wąsik, J. Żłobnicki (z odpowiedzią Redakcji):	<i>Listy do Redakcji</i>	152
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec-Mars 1972

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

N. M. Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz czwarty	F. 70,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz siódmy	F. 25,00
Józef Blondowski, Hamilton, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 20,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz siódmy	F. 37,00
Bob Borowicz, Santiago de Chile — zamiast kwiatów na trumnę gen. Stanisława Małachowskiego	F. 114,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz piętnasty	F. 250,00
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz czwarty	F. 85,00
Czytelnik z Polski, po raz cztertnasty	F. 50,00
Wacław J. Fedorowicz, Rio de Janeiro, po raz piąty	F. 43,00
Prof. ing. Jerzy Gintel, Caracas, po raz dwunasty	F. 50,00
Jan Hrycewicz, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 175,00
St. Janiga, Montreal, Que. (Kanada), po raz drugi	F. 65,00
W. Kociejowski, Oxford Mills, Ont., (Kanada)	F. 20,00
Roman Królikowski, Johannesburg, po raz szósty	F. 300,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz cztertnasty	F. 100,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz dziewiętnasty	F. 40,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas, po raz trzeci	F. 185,00
Ks. Henryk Malak, Lemont, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 55,25
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA)	F. 25,00
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz trzeci	F. 25,00
Anna Nowicka, Albany, N.Y. (USA), po raz siódmy	F. 45,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 50,00
François Prause, Karachi (Pakistan), po raz siódmy	F. 100,00
Prof. Aleksander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz drugi	F. 145,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty trzeci	F. 50,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz siódmy	F. 25,00
W. Sudyło, Irvington, N.Y. (USA), po raz siódmy	F. 20,00
Bożena Teisler, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 50,00
W. Trzos, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 25,00
Marian Turski, Ste Anne de Bellevue, Que. (Kanada), po raz dwudziesty piąty	F. 145,00
W. E. Wilczyński, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 20,00
Łucja Zaleska, Chicago, Ill. (USA), po raz szósty	F. 25,00
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz siedemnasty	F. 100,00
Z. T. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA), po raz szósty	F. 33,75
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 55,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz czwarty	F. 55,00
Bezimiennie z Milwaukee, Wis. (USA), po raz dziewiąty	F. 50,00

DZIĘKUJEMY!

Jedyna droga

O MOŻLIWOŚCI ZMIAN W POLSCE

1. Elementy zagadnienia

Czy istnieje możliwość zmian w ustroju politycznym i gospodarczym Polski i co trzeba robić, żeby do nich doprowadzić?

Wokół tego pytania obraca się dyskusja nad aktualną sytuacją Polski i nad możliwościami i kierunkiem reform. Nie przyniosła ona dotąd zadawalającej odpowiedzi na te pytania. Moim zdaniem dlatego, że dotąd nie sformułowano jasno nawet podstawowych elementów tego złożonego zagadnienia.

To właśnie zadanie chciałbym tutaj podjąć. Okaze się, że gdy prawidłowo rozpoznamy sytuację, bez trudności znajdziemy odpowiedź na pytania postawione na wstępie. Pozostanie tylko wyciągnąć praktyczne wnioski z tego rozumowania.

Wszelki program zmian i reform politycznych i gospodarczych musi się opierać na znajomości aktualnie istniejącego ustroju i na zrozumieniu tendencji rozwojowych w nim zawartych. Te tendencje rozwojowe stanowią wyraz sił społecznych, które w nim działają. Te zaś wynikają ze struktury społecznej i etapu rozwoju społecznego, a więc z obiektywnej sytuacji istniejącej w kraju.

Jednym z istotnych elementów sytuacji obiektywnej jest sposób, w jaki ludność uświadamia sobie stosunki panujące w kraju. Uświadczenie sobie przynależności do określonej klasy społecznej będzie więc świadomością klasową a uświadczenie sobie problemów politycznych kraju będzie świadomością polityczną;

która zresztą ze świadomością klasową musi pozostawać w ścisłym związku i w dużym stopniu kształtuje się pod jej wpływem.

Ze świadomości klasowej i politycznej wynika postawa klasowa i polityczna tj. sposób, w jaki ludzie skłonni są postępować wobec faktów zachodzących w rzeczywistości.

Tak więc świadomość i postawa, które ukształtowały się pod wpływem sytuacji obiektywnej i same są jej częścią, określają postępowanie ludzi, a tym samym stanowią czynnik powodujący zmiany w istniejącej sytuacji.

Zrozumienie tych współzależności jest podstawą myślenia politycznego, na którym z kolei można zbudować program praktycznego działania. Program ten powinien dotyczyć pogłębienia świadomości i umocnienia postaw politycznych a jednocześnie dążyć do zmian w warunkach obiektywnych. W ten sposób staje się on wyrazem aspiracji klasy społecznej będącej nosicielem przemian.

Innymi słowy, program polityczny musi być zgodny z kierunkiem działania sił społecznych, które są motorem przemian ustroju. Świadome działanie polityczne może bowiem przyspieszyć przebieg procesu przemian, może nadawać mu pożądane formy, może zwalczać przeszkody na ich drodze, ale nie może zatrzymać biegu przemian wynikających z natury ustroju, ani tym bardziej odwrócić ich kierunku. Program działania politycznego nie oparty na realnie istniejących siłach społecznych, nie będący wyrazem ich aspiracji i postawy politycznej byłby utopią bez żadnego praktycznego znaczenia.

◆
To wszystko trzeba mieć na uwadze, gdy przystępuje się do dyskusji nad możliwością zmian w Polsce. Są to prawdy proste i oczywiste. Nie powinny one budzić niczyich wątpliwości. Uważam jednak, że warto je było przypomnieć, bo w toczącej się dyskusji często się o nich zapomina, a będą one stanowiły punkt wyjścia mojego dalszego rozumowania.

2. Polityczne utudy

W dyskusji o potrzebie zmian w Polsce wysunięto wiele nie-realnych propozycji. Muszę się ustosunkować przynajmniej do niektórych z nich, żeby tym jaśniej przedstawić swój własny punkt widzenia.

Wybitną pozycją w dyskusji nad zmianami w Polsce są „Drogi wyjścia” Władysława Bieńkowskiego¹. Jest to pozycja wybit-

1. Władysław Bieńkowski, *Drogi wyjścia*, Instytut Literacki, Paryż 1971.

na ze względu na osobę autora² i na warunki, w jakich została napisana. Zawiera ona wiele trafnych spostrzeżeń na temat sytuacji w Polsce. Wnioski wyciągnięte z tych obserwacji są jednak błędne a proponowane drogi wyjścia nierealne.

Bieńkowski widzi dwie drogi wyjścia: „ślepy wybuch” lub „rewolucję kontrolowaną” (*Drogi wyjścia*, str. 59). Pierwszą z nich odrzuca, bo jej „realny koszt” uważa za zbyt wysoki. Zgadza się, że nie jest to droga do przyjęcia, ale odrzucam ją z innego powodu. Wydaje mi się, że nawet bardzo wysoki koszt warto byłoby ponieść. Cel wart jest tego. Ale niestety droga ta jest nieskuteczna. „Ślepy wybuch” byłby brutalnie stłumiony i nie doprowadziłby do niczego. Nie jest to więc żadna droga wyjścia³.

Druga „droga wyjścia”, którą Bieńkowski zaleca to „rewolucja kontrolowana”. Użycie słowa „rewolucja” budzi tutaj wątpliwość. Bo jeśli rewolucja, to trzeba postawić klasyczne pytanie „kto kogo” ma pokonać. Mogłoby się więc zdawać, że Bieńkowski wzywa masy pracujące Polski, aby obaliły i zlikwidowały uciskającą je klasę aparatczyków. Okazuje się jednak, że nic podobnego nie ma on na myśli. Chodzi mu jedynie o program reform mających usprawnić ustrój. Oczekuje on przy tym, że te reformy będą dobrowolnie przyjęte i wprowadzane w życie przez klasę panującą.

Nadzieja ta jest złudna i wynika z niedoceny roli interesów klasowych w procesie przemian społecznych i ekonomicznych. Oparta jest ona na przekonaniu, że klasa panująca może dobrowolnie wyrzec się władzy i sama pozbawić się swych przywilejów. Nawoływanie do naprawy własnych błędów jest metodą właściwą reformatorom religijnym; nigdy dotąd nie okazała się ona skuteczna jako narzędzie polityki. Dlatego nikt teraz nie próbuje namawiać feodałów w krajach zacofanych, żeby przestali się zachowywać jak feodałowie, a kapitalistów w krajach rozwiniętych, żeby przestali postępować jak kapitaliści. Wiado-

2. Nie zgadzam się ze stanowiskiem Bieńkowskiego i muszę je tutaj krytykować. Nie umniejsza to jednak mojego uznania dla stałości jego przekonań i podziwu dla jego odwagi. Został on usunięty z Partii dopiero w roku 1968, ale zasługuje na taki szacunek, jakby był z niej usunięty już w 1948, bo pamiętamy wszyscy, że już od 1948 przeciwstawiał się polityce Partii i był za to prześladowany, a także, że nigdy nie splamił się stalinizmem. Przejdzie on do historii polskiej myśli politycznej jako wzór uczciwości intelektualnej i jako ten, który próbował uratować honor polskiego komunizmu.

3. Na Wypadki Grudniowe 1970 nie należy więc patrzeć jako na drogi wyjścia z aktualnej sytuacji. Bezpośrednie ich skutki były niewielkie i już są stopniowo likwidowane. Mają one ogromne znaczenie, ale z innego powodu. Stanowią mianowicie ważny etap w kształtowaniu się świadomości politycznej ludzi pracy w Polsce.

mo, że z klasami wyzyskującymi prowadzić trzeba walkę klasową. Może ona przybierać różne formy, ale zawsze ma na celu *wymuszenie* ustępstw a nie ich wyproszenie. „Właściciele Polski Ludowej” nie zrezygnują dobrowolnie ze swej „własności”. Trzeba ich wywłaszczyć.

Nie trzeba jednak nawet odwoływać się do marksowskich koncepcji przemian społecznych, żeby zrozumieć, że metoda perswazji, którą proponuje Bieńkowski, nie może być skuteczna. Wystarczy wyciągnięcie oczywistych wniosków z faktów powszechnie znanych. Kogóż to bowiem mamy namawiać na przeprowadzenie reform? Klasę aparaczyków, która dla zdobycia i umocnienia swej dyktatury nad Polakami tłumi swobodną i rozsądną myśl, dławi wszelką inicjatywę społeczną i utrzymuje niedorzeczny model gospodarczy. Nie tylko ta sama klasa ciągle rządzi w Polsce, ale rządzą nawet ciągle ci sami ludzie. Ci sami, którzy przez dwadzieścia parę lat skutecznie unicestwiali wszelkie próby prawdziwych reform⁴. Czy można oczekiwać, że stanie się cud i że zaczną oni postępować odwrotnie niż dotychczas? Wszelkie reformy muszą się zacząć od przywrócenia praw zdrowemu rozsądkowi i usunięcia źródeł strachu, od rzetelnej informacji i niehamowanej dyskusji, od przywrócenia szacunku dla fachowości i oddania decyzji w kompetentne ręce. Wszystko to jest śmiertelnym niebezpieczeństwem dla aparaczyków. Rozumieją to oni doskonale. Tak więc „kontrolowaną rewolucję” Bieńkowskiego uznać trzeba za czystą utopię.

List Bieńkowskiego do Gomułki⁵ jest krzykiem rozpaczliwego wierzącego komunisty, którego zawiodły wszystkie nadzieje, który widzi, że ustroj mieniący się socjalistycznym, zamiast sprawiedliwości i dobrobytu, przyniósł nędzę i ucisk. Nie rozumie on, jak mogło dojść do tego, wydaje mu się, że to przywódcy zblądzili i woła, by prostowali swe drogi. Jest to niestety wołanie na puszczy. Bieńkowski patrzy, ale nie widzi pełnego obrazu rzeczywistości. Patrzy na las, a widzi poszczególne drzewa, widzi leżące kłody, które hamują postęp, widzi nawet wiele trujących ziółek kryjących się w cieniu. Ale nie widzi lasu. Nie zdaje sobie sprawy, że ustroj panujący w Polsce dawno przestał być socjalizmem. Gdy raz to pojmiemy, wszystko staje się jasne: zjawiska, które wydawały się dotąd niezrozumiałe a nawet trudne do uwierzenia, stają się nagle oczywistymi a nawet naturalnymi cechami ustroju opartego na wyzysku klasowym. Bieńkowski nie dostrzega nies-

4. Tak było kiedy pisał swą pracę Bieńkowski i tak jest nadal, mimo zmian wprowadzonych we władzach naczelnych przez VI Zjazd Partii. „Nowi” członkowie Biura Politycznego to przecież sami starzy aparaczczyki.

5. Opublikowany w jego ostatniej książce *Socjologia kłęski*, Instytut Literacki, Paryż 1971.

tety tej podstawowej prawdy i dlatego jego „Drogi wyjścia” nie prowadzą nigdzie. ◆

Na tym samym błędzie oparte są propozycje Leszka Kołakowskiego⁶. Rysuje on sugestywny obraz ustroju panującego w Polsce i bardzo trafnie i przekonująco opisuje jego wewnętrzne sprzeczności. Dlatego też trudno zrozumieć, dlaczego uważa ustroj panujący w Polsce za socjalizm. Nazywa go co prawda „despotycznym socjalizmem”, ale jednak socjalizmem. Nie wiadomo wcale, jakie socjalistyczne treści widzi on jeszcze w tym ustroju z „niehumanitarną twarzą”.

Ten podstawowy błąd ciąży oczywiście na „tezach”, które wysuwa Kołakowski. Podobnie jak Bieńkowski, widzi on dwie drogi: koncepcję „wszystko lub nic” i koncepcję „reformistyczną”.

Koncepcja „wszystko lub nic” Kołakowskiego i koncepcja „ślepego wybuchu” Bieńkowskiego są do siebie podobne, bo polegają na dążeniu do zmiany ustroju w drodze jednej rozstrzygającej akcji. Różnią się jednak między sobą tym, że „ślepy wybuch” nie liczy się wcale z okolicznościami, podczas gdy zwolennicy koncepcji „wszystko lub nic” (w interpretacji Kołakowskiego) gotowi są biernie czekać długi czas na moment, gdy nadejdzie szansa zdobycia „wszystkiego”. Nie jest to więc akcja całkowicie „ślepa”. Kołakowski odrzuca ją dlatego, że prowadzi ona do biernego postawy w oczekiwaniu na moment wybuchu. W pełni podzielam potępienie biernego postawy i zgadzam się z odrzuceniem tej koncepcji. Ale potępienie i odrzucenie tej koncepcji nie jest bardzo potrzebne, bo nikt takiej koncepcji nie głosi ani w kraju ani na emigracji. Więcej nawet: koncepcji takiej nie może przyjąć żaden poważny ruch polityczny, bo z góry skazałby się na niepowodzenie. Każda akcja polityczna wymaga bowiem stałego śledzenia sytuacji i natychmiastowej reakcji na jej zmiany, umacniania ideologii, mobilizacji sił i rozkładania wysiłku na etapy. Postawa biernego oczekiwania oznacza klęskę. Jest to oczywiste dla każdego i dlatego ideologia „wszystko lub nic” po prostu nie istnieje⁷.

Kołakowski opowiada się za „ideą reformistyczną”. Wierzy on w skuteczność „presji cząstkowych i stopniowych”, które jak

6. L. Kołakowski: „Tezy o nadziei i beznadziejności”, *Kultura*, Nr 6/285, czerwiec 1971. I tu muszę się zastrzec, że chociaż nie zgadzam się z tym artykułem mam wielkie uznanie dla postawy jego autora po październiku 1956.

7. Oczywiście potępić należy jak najbardziej postawę całkowitej bierności. Ale taka postawa nie wynika z ideologii „wszystko lub nic”, ale z ideologii „nic”, czyli z braku ideologii. Trzeba to powiedzieć bez ogródek.

sądzi, mogą doprowadzić do „społecznego i narodowego wyzwolenia”. Presje te będzie można wywierać, jeśli tylko ulegnie zmianie postawa Polaków, a przede wszystkim polskiej inteligencji. Wzywa więc on do porzucenia oportunistów i do sprzeciwiania się nadużyciom ustroju.

Wezwanie chwalebne⁸, ale czy wykonalne? Bo przecież bierność i oportunizm, a także „uniwersalne i jednostkowe świństwo”, które widzi w Polsce i potępia Kołakowski, mają swoje głębokie korzenie. Wykształciły się one na długoletnim doświadczeniu, że oportunizm i świństwo popłaca, a za odwagę i wierność przekonaniom otrzymuje się dotkliwie cięgi. Postawa taka jest częścią rzeczywistości polskiej. Ukształtowała się ona pod wpływem obiektywnych warunków, w jakich ludzie żyją. Proces ten nie ulegnie odwróceniu na niczyje wezwanie nawet, gdyby ono do wszystkich doszło. Przede wszystkim trudno będzie ludziom uwierzyć, że można w ten sposób czegoś dokonać. Ach, gdyby nagle wszyscy zaczęli postępować inaczej!... Jest to tylko marzenie i każdy wie, że nie można go urzeczywistnić. Nie trzeba więc zaczynać od wezwań, lecz od zdania sobie sprawy, że istnieje wewnątrz ustroju tendencja rozwojowa, która może przynieść z sobą zmianę obiektywnej sytuacji. Tendencję tę trzeba by ludziom uświadomić i dopiero na tej świadomości budować nową postawę. Dokonać tego może tylko myśl polityczna, która naprawdę pokaże Polakom nowe perspektywy i nakreśli im osiągalne cele.

Ale tego u Kołakowskiego nie ma. Jedynym argumentem, którym popiera on swe wezwanie jest zapewnienie, że formacja społeczna istniejąca w Polsce jest „plastyczna”, a i to zaraz osłabia to zapewnienie zastrzeżeniem, że „granic tej plastyczności nie potrafimy z góry określić”.

A więc w imię czego właściwie ludzie mają okazywać czynną postawę, odwagę cywilną i narażać się na represje? W imię nieznacznych poprawek ustroju, nieokreślonych i niepewnych? Taka perspektywa nikogo nie zachęci do żadnego działania. Wezwania Kołakowskiego są szlachetne, ale nie mogą odnieść żadnego skutku.

3. Postawienie sprawy

Wracamy teraz do sprawy zasadniczej: co trzeba robić, aby doprowadzić do pożądaných zmian w ustroju Polski?

8. A także oparte na trzeźwiejszej ocenie tego, czego można oczekiwać po władcach Polski Ludowej niż propozycje Bieńkowskiego. Kołakowski zdał sobie sprawę, że władza nie da się namówić na reformy.

Prawidłowe postawienie tej sprawy składa się z dwóch części. Pierwsza zawiera ocenę aktualnej sytuacji i jej tendencji rozwojowych, a druga sformułowanie zadań, które należy wykonać.

Aktualna sytuacja

Rozpoznanie sytuacji, w której znajduje się Polska sprowadza się do odpowiedzi na następujące pytania:

(1) Jaka jest natura ustroju Polski, to jest z jaką formacją społeczno-ekonomiczną mamy tu do czynienia?

W Polsce istnieje ustrój, który co prawda powstał w wyniku degeneracji socjalizmu, ale który socjalizmem nie jest. Jest to formacja społeczno-ekonomiczna o charakterze klasowym, w której klasa aparaczyków (aparaczykowska burżuazja, „aparacyczna”) jest klasą panującą a klasami wyzyskiwanymi są klasy pracujące. Dla podkreślenia faktu, że jest to formacja zupełnie odrębna od socjalizmu, nazywajmy ją „sowietyzmem”⁹.

(2) Jakie są tendencje rozwojowe tego ustroju, to znaczy jakie są w nim zawarte sprzeczności, jakie siły społeczne w nim działają i w jakim kierunku następują przemiany?

W ustroju tym istnieją antagonistyczne sprzeczności¹⁰ prowadzące do walki klasowej pomiędzy klasą aparaczyków a klasami pracującymi. Dążenie klas pracujących do wyzwolenia się od wyzysku stanowi motor przemian zachodzących w tym ustroju. Jesteśmy obecnie jeszcze na wczesnym etapie tych przemian, ale zaostrzanie się walki przeciw wyzyskowi daje się już wyraźnie zauważyć. Wiąże się ona także coraz wyraźniej z oporem przeciw uciskowi politycznemu. Można oczekiwać, że sprzeczności te prowadzić będą do stopniowego osłabienia i rozkładu ustroju.

(3) Jak się przedstawia świadomość polityczna poszczególnych grup społecznych wewnątrz tego ustroju i w jakiej mierze świadomość ta znajduje wyraz w ideologii i jak pod jej wpływem kształtują się postawy polityczne?

Świadomość polityczna nie jest jeszcze w Polsce wysoka, ale

9. Nazwę tę zaproponowałem w artykule „Socjalizm w Polsce”, *Kultura* Nr 9/273, wrzesień 1970. Podałem tam także uwagi o genezie tego ustroju i jego charakterystykę.

10. Nie trzeba tu wyliczać wszystkich postaci, jakie te sprzeczności przybierają w sowietyzmie. Dałem ich krótką charakterystykę we wspomnianym wyżej artykule w *Kulturze*, ale jeszcze dokładniej opisali je Bieńkowski (*Motory i hamulce socjalizmu*, Instytut Literacki, Paryż 1969 i *Socjologia klas*, Instytut Literacki, Paryż 1971) i Kołakowski („Tezy o nadziei i beznadziejności”, *Kultura* Nr /6 285, czerwiec 1971), a jeszcze przed nimi Kuroń i Modzelewski (*List otwarty do Partii*, Instytut Literacki, Paryż 1966). Niestety nie wyciągnęli oni wniosków z faktów, które opisywali; nie stwierdzili mianowicie wyraźnie, że ustrój, który ma takie cechy, na pewno nie jest socjalizmem.

stopniowo się kształtuje i umacnia. Prócz świadomości klasowej, która wytwarza się pod wpływem wyzysku, rośnie także świadomość polityczna, którą rodzi ucisk polityczny i utrata niepodległości. Coraz jaśniej widzą wszyscy rolę klasy aparaczków w ustroju panującym w Polsce i coraz bardziej umacniają się w przekonaniu, że ustrój jest im wrogi i obcy. Brakuje jednak ciągle ideologii i doktryny politycznej, które by mogły wyznaczyć drogę działania.

Zadania

Jeśli taka jest sytuacja, zadania stają się jasne. Dążyć należy do wzmacniania sił społecznych będących nosicielami przemian, do przyspieszenia tempa tych przemian i nadania im pożądanego kierunku.

Zacząć trzeba od pogłębienia i upowszechnienia świadomości politycznej i rozwijania ideologii oraz od stworzenia doktryny politycznej i wpajania przekonania o jej słuszności. Ideologia musi głosić opór przeciw sowietyzmowi i walkę o prawdziwy socjalizm. Doktryna polityczna musi określać formy i etapy tej walki.

Jednocześnie przystąpić należy do praktycznej działalności. Do akcji na rzecz przemian, które sowietyzm będą osłabiać i rozkładać.

Tym właśnie zadaniom chciałbym poświęcić uwagę. Zaczę od omówienia obecnego stanu świadomości politycznej robotników i inteligencji¹¹ oraz od tego, co należy zrobić, aby tę świadomość pogłębić a następnie postaram się wyjaśnić, na czym ma polegać praktyczna działalność prowadząca do zmiany ustroju.

4. Świadomość polityczna

Robotnicy

Polscy robotnicy nigdy nie mieli poczucia, że władza sprawowana jest w ich imieniu. Zawsze uważali, że władzę sprawują „oni”, „właściciele Polski Ludowej”. Ale z początku było dużo

11. Nie będę się tutaj zajmował sprawą świadomości politycznej i postawy chłopów. Jest to temat ważny i złożony. Wymagałby on obszerniejszego przedstawienia, na które tutaj brak miejsca. Uważam ponadto, że postawa robotników i inteligencji jest motorem zmian politycznych w wyższym stopniu niż postawa chłopów. Przedstawiając zagadnienie w jego najgrubszych zarysach, mogę się ograniczyć do robotników i inteligencji. Ale bez chłopów obraz nie jest pełny. Bardzo jest potrzebne opracowanie przedstawiające przemiany w ich świadomości i postawie politycznej. Może ktoś inny się tego podejmie.

dezorientacji i może trochę nadziei, że nastąpi jakaś poprawa. Skończyło się to od dawna. Robotnicy coraz wyraźniej i coraz powszechniej rozumieją, że władza jest sprawowana przeciw nim, że ich uciska i wyzyskuje. Bardzo trudno śledzić ten proces kształtowania się świadomości i postaw politycznych. Nie ma przecież prawdziwej reprezentacji robotniczej, nie ma wolnej prasy i nikt nie jest tak nieostrożny, żeby dawać prawdziwe odpowiedzi na ankiety badające „opinię publiczną”. Postęp tego procesu ujawnia się jednak w momentach wyjątkowych w sposób, który nie pozostawia żadnej wątpliwości.

Porównanie przebiegu Wypadków Poznańskich 1956 i Wypadków na Wybrzeżu 1970 jest bardzo pouczające. W obu wydarzeniach uderzała solidarność robotników, ich zgodne przekonanie, że przebrała się miara ich krzywd i poniżenia i ich jasne rozeznanie, kto jest ich wrogiem. Ale są także między tymi dwoma wybuchami bardzo poważne różnice. Chociaż w Poznaniu mogła imponować siła i masowość buntu ludowego, napięcie wrogości wobec władzy było mniejsze, słabsze też było przekonanie, że tylko siłą coś da się osiągnąć. A przede wszystkim okazało się, że robotnicy Poznania pozostali zupełnie osamotnieni. Nigdzie poza Poznaniem nic się nie ruszyło. Na Wybrzeżu w 1970 sytuacja zaostrzała się bardzo szybko. Oznacza to, że robotnicy nie mieli złudzeń co do możliwości ugody. Gwałtowność wybuchu znacznie przekroczyła to, co się działo w Poznaniu. I wreszcie to, co jest najważniejsze: wybuch w Gdańsku przeniósł się natychmiast na inne miasta Wybrzeża a następnie wrzenie opanowało robotników w całym niemal kraju. Świadczy to dobitnie o tym, że pomiędzy rokiem 1956 a 1970 nastąpił postęp na drodze kształtowania się świadomości klasowej i politycznej polskich robotników skierowanej przeciw sowietyzmowi.

Proces kształtowania się świadomości robotników polskich jest więc już dość daleko posunięty. Oczywiście jej stopień nie jest wszędzie jednakowy, a przy tym ulega on poważnym wahaniom. Brakuje ciągle uogólnienia doświadczeń, które by doprowadziło do wspólnego całej klasie sposobu myślenia i oceniania zjawisk politycznych. Zadziwiający jest, że mimo tego braku, klasa robotnicza umiała osiągnąć tak wysoki stopień świadomości i solidarności.

Inteligencja

Gorzej jest z inteligencją, bo w bardziej zróżnicowanych warunkach pracy i przy silnie zaznaczonej strukturze hierarchicznej stanowisk pracy trudniej wytwarza się spontaniczna solidarność poglądów tak charakterystyczna dla robotników. Najpodobniej jeszcze do robotników reaguje masa studencka, ale za-

wodowo zatrudnieni inteligenci nie mają odruchu solidarności i brak im spontaniczności w akcji zbiorowej. W razie nacisku mogą liczyć tylko na siebie. Łatwiej ich zastraszyć i łatwiej przekupić. Wiedząc o tym, klasa panująca użyła wszystkich środków, aby zubożyć i zdemoralizować polską inteligencję.

Propaganda reżymowa prawie nikogo nie przekonała, że ustroj stworzony w Polsce jest prawdziwym socjalizmem, ale osiągnęła co innego: gruntownie skompromitowała Marksa, marksizm, wszelką dyskusję o budowie socjalizmu i socjalistycznej ideologii. Wyrobił się odruch warunkowy uważania każdej wypowiedzi na ten temat za głupstwo albo za kłamstwo. Nie można się temu dziwić. Ocena ta była trafna w stosunku do ogromnej większości tego, co mówili przywódcy polityczni lub pisała prasa.

Wykształcenie się świadomości i postawy politycznej polskiej inteligencji stało się wskutek tego jeszcze trudniejsze. Nie tylko bowiem chodzi o to, że panuje demoralizacja, oportunizm, karierowiczostwo, ale o to, że nawet ci, którzy się im nie poddają, lub młodsze pokolenie, które jeszcze nie uległo zarażeniu, nie widzi żadnego drogowskazu, którym by się mogło kierować w swoim sprzeciwie przeciw panującemu ustrojowi. Kapitalizmu przecież nikt nie chce przywracać, a budowa „socjalizmu”, który nie jest socjalizmem okazała się wielkim oszustwem. Wszyscy zdają sobie sprawę, że ustroj jest im wrogi, ale nie widzą jasno w imię czego i z jaką szansą powodzenia mogliby mu się sprzeciwić.

I tu jednak sytuacja się poprawia. Wprawdzie tylko w najmłodszym pokoleniu, ale przecież ono stanowi o przyszłości. Wypadki Marcowe 1968 pokazały nam jasno, jaki jest stosunek młodej inteligencji do panującego sowyietyzmu a represje, jakie ją spotkały, stały się niewątpliwie ważnym elementem kształtowania się jej świadomości politycznej. Może jeszcze ważniejszy okazać się przykład robotników¹². Walka zbrojna ma ten kapitalny skutek polityczny, że zmusza do zadeklarowania swego stanowiska: można długo lawirować, ale gdy zaczną strzelać trzeba stanąć po jednej albo po drugiej stronie barykady. Wprawdzie Wypadki Grudniowe spotkały się z biernością inteligencji a nawet większości studentów, ale pewien jestem, że ich krwawa nauka nie poszła na marne. Może ona stać się dla wielu początkiem odbudowy świadomości politycznej i postawy godnej polskiej tradycji.

A więc można się spodziewać, że świadomość polityczna inteligencji zawierająca prawdę o ustroju panującym w Polsce bę-

12. Zajęcie przez robotników czołowego miejsca w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie jest momentem przełomowym w historii Polski. Do brze jest sobie zdać z tego sprawę.

dzie się kształtowała, umacniała i rozszerzała. Będzie się to działo pod wpływem wydarzeń politycznych, rzucających od czasu do czasu jaskrawe światło na sytuację Polski, a także i to nieuchronnie pod wpływem codziennych warunków, w jakich każdy inteligent żyje i pracuje.

Proces ten nie będzie przebiegał gładko, będzie na pewno przechodził przez okresy zastoju, a może nawet chwilowo się cofać. Ale prawda o naturze sowyietyzmu będzie jednak stopniowo przenikała do umysłów młodych inteligentów.

Kształtowanie świadomości, ideologii i postawy

Rozwinięcie i upowszechnienie prawdziwego poglądu na sytuację panującą w Polsce jest warunkiem podjęcia wszelkiej celowej akcji politycznej.

Jeśli nawet intuicyjnie ukształtowana świadomość robotników może prowadzić do wystąpień imponujących swą determinacją, to myśl polityczna i ideologia jest niezbędna, aby zarzewie oporu nie zagasło w chwili klęski i utrzymało się przez długie okresy, w których żadnych efektownych wystąpień nie będzie. Tylko w świetle takiej doktryny każde wystąpienie będzie można ocenić i zrozumieć jego znaczenie jako ogniwa w łańcuchu działań, które mają swój sens i ostateczny cel.

Jeszcze bardziej doktryna i ideologia potrzebne są inteligencji. Jej świadomość polityczna nie rodzi się ze zbiorowych doświadczeń tak samorzutnie jak świadomość robotników. W większym stopniu zależy ona od wpływów pośrednich: lektury, dyskusji, krążących opinii. Doktryna polityczna interpretująca w sposób przekonywujący rzeczywistość polską jest więc niezbędnym warunkiem obudzenia świadomości politycznej inteligencji i jej aktywności.

Wydawać by się mogło, że zaszczepienie nowej doktryny politycznej i nowej ideologii wymaga długiego czasu i może napotkać na trudności czy opory. Niewątpliwie nie jest to łatwe zadanie, ale trzeba również zdawać sobie sprawę, że istnieje w kraju głód prawdy i rozumnej myśli politycznej. I dlatego można sądzić, że będzie ona przyjęta z radością i szybko znajdzie wielu zwolenników i propagatorów.

Podstawą tej doktryny musi być prawda o sytuacji panującej w Polsce i o tendencjach rozwojowych, jakim ta sytuacja podlega. Przedstawiłem powyżej jej główne zarysy. Oczywiście trzeba ją dalej rozwijać. Ale już samo uświadomienie sobie faktu, że w Polsce panuje reakcyjny, klasowy sowyietyzm, wyznacza cel działania dla klas uciskanych: a mianowicie obalenie tego ustroju na rzecz prawdziwego, demokratycznego socjalizmu. Budzi także nadzieję to, że ten ustroj można obalić.

Tylko z uświadomienia sobie tych prawd wyniknąć może aktywna postawa polityczna¹³. A nawet więcej: gdy taka świadomość powszechnie się przyjmie, aktywna postawa polityczna musi się wytworzyć.

5. Torowanie drogi procesowi przemian

Co robić?

Jednocześnie z rozwojem myśli politycznej, umacnianiem świadomości i kształtowaniem postaw politycznych prowadzić trzeba praktyczną akcję dążącą do wprowadzenia zmian w sowietyzmie. Takich zmian w strukturze, organizacji i funkcjonowaniu państwa lub gospodarki, które by *umniejszały władzę i wpływy klasy aparaczkowej a tym samym wzmacniały pozycję polityczną i podnosiły dobrobyt ludzi pracy* (tj. wszystkich Polaków prócz aparaczków). Zmiany takie będą stopniowo osłabiały ustroj i kiedyś będą mogły doprowadzić do jego upadku.

Na takie zmiany aparaczkowcy oczywiście nie zgodzą się dobrowolnie. Trzeba ich do ustępstw zmusić używając wszystkich znanych środków walki ekonomicznej i politycznej. Trzeba żądać ustępstw, dopominać się o swoje prawa i domagać się reform. Powinno to się dziać na wszystkich szczeblach: od poszczególnych stanowisk pracy, poprzez zakłady produkcyjne, urzędy, uczelnie, redakcje, związki zawodowe i twórcze, a nawet organizacje partyjne (jeśli jeszcze nie zupełnie zgniły) aż do Centralnej Rady Związków Zawodowych i Sejmu. Akcja ta będzie mogła zataczać coraz szersze kręgi w miarę jak będzie się upowszechniała świadomość polityczna i umacniała przeciwna sowietyzmowi ideologia. Od postawy politycznej społeczeństwa będzie też zależała trwałość uzyskanych osiągnięć.

Ta akcja wymuszania reform będzie się w razie potrzeby posługiwała strajkiem jako narzędziem nacisku, nie powinna jednak bynajmniej dążyć do wywoływania zbrojnych starć, takich jak Wypadki Grudniowe. Chociaż podnoszą one świadomość i umacniają solidarność robotników koszty ich są zbyt wysokie. To

13. To właśnie miałem na myśli, kiedy w swym artykule „O socjalizm w Polsce” (*Kultura* Nr 9/276 wrzesień 1970) napisałem, że wyjaśnienie natury ustroju panującego w Polsce przyczynić się może do obudzenia nadziei.

Zródłem nadziei jest bowiem wielki cel i przekonanie o jego osiągalności. Tym wielkim celem jest obalenie sowietyzmu, a zrozumienie praw jego rozkładu pozwala wierzyć, że cel ten można osiągnąć.

Można tu zauważyć, że np. informacja o tym, że ustroj być może da się tu i ówdzie skorygować jest czymś zupełnie odmiennym od postawienia wielkiego celu i na pewno nie wystarczy, żeby ludzi zachęcić do działania.

właśnie władza będzie czasem prowokować takie wybuchy¹⁴, aby przez ich krwawe stłumienie rzucić strach na ludność. Celowo zorganizowane, masowe wystąpienia dla fizycznego opanowania ośrodków władzy trzeba uważać za dopuszczalne tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach, gdy rzeczywiście istnieją szanse na poważny i trwały sukces. Argumenty przeciw takim wystąpieniom tracą wagę dopiero wtedy, gdy istnieje pewność, że siły zbrojne, którymi dysponuje władza, odmówią wykonania rozkazu strzelania. Ale to jest sytuacja wyjątkowa, która powstać może dopiero wtedy, gdy proces rozkładu sowietyzmu będzie już daleko posunięty.

Na obecnym etapie chodzi przede wszystkim o akcję prowadzoną tradycyjnymi środkami w celu wymuszenia na klasie panującej ustępstw i reform. Ale oczywiście reform prawdziwych, bo różne bywają reformy.

Reformy pozorne, fałszywe i nietrwałe

Istnieją reformy *pozorne*, które właściwie wcale nie są reformami. Opracowuje się je często z dużym nakładem wysiłku i czasu, często nawet z udziałem najlepszych specjalistów, ale jedynym ich skutkiem są stosy zapisanego papieru. Jeśli nawet czasem reforma taka przybierze postać obowiązującej normy, to i wtedy pozostaje martwą literą; nigdy nie wchodzi naprawdę w życie.

Droga gospodarki Polski Ludowej wybrukowana jest takimi reformami. Należy tu przede wszystkim wielki i częściowo bardzo cenny dorobek Rady Ekonomicznej z lat 1957-59. Nic prawie z jej zaleceń nie stało się obowiązującą dyrektywą. Niektóre zmiany w zasadach zarządzania przedsiębiorstwami (nie w postaci opracowanej przez Radę Ekonomiczną, ale w wersji będącej pod jej niewątpliwym wpływem) zostały wprowadzone formalnie, ale w istocie nie wyzwoliły dyrektorów przedsiębiorstw od krępującej ich każdy krok zależności od władz nadrzędnych i komitetów partyjnych. Reorganizacja Komisji Planowania, przeprowadzona w roku 1957, miała stanowić przełom w metodach planowania w Polsce. W rzeczywistości zmieniło się bardzo mało. Pouczające jest przeczytanie od początku dyskusji o reformach, która się toczy w Polsce od lat niemal dwudziestu. Okazuje się, że ciągle te same problemy czekają na rozwiązanie, chociaż były już wielokrotnie przedmiotem licznych ustaw, rozporządzeń i instrukcji. Najdowodniej z tego wynika, że były to reformy *pozorne*.

14. Powszechnie wiadomo, że element prowokacji nie był obcy ani Wypadkom Marcowym 1968, ani Wypadkom Grudniowym 1970.

Druza kategoria reform to *reformy fałszywe*. Przedstawia się jej jako reformy korzystne dla ludności, podczas gdy w rzeczywistości przynoszą one korzyść jedynie klasie panującej. I takich „reform” był długi szereg. Można go rozpocząć od reformy zniżającej kartki żywnościowe w styczniu 1953 roku. Podniesiono wtedy ceny od 30 do 50 % „kompensując” to podwyżką płac o około 5 %. Jednym pociągnięciem pióra obniżono więc poziom życiowy ludności przeciętnie o 30 %, a jednocześnie ogłoszono oficjalnie, że klasa robotnicza osiągnęła z tego ogromne korzyści. Ówczesna propaganda nie robiła sobie zresztą z ludnością wielkich ceremonii: prasa opublikowała parę sfalszowanych wywiadów z robotnikami i ich żonami i sprawę uznano za załatwioną. Nikt ani pisał. Nikt też nie protestował przeciw wprowadzonej wkrótce potem pańszczyźnianej ustawie o dyscyplinie pracy. Systematyczne podwyższanie norm produkcyjnych, które nie były niczym innym jak instrumentem wyzysku i dalsze podnoszenie cen przyjmowane były wówczas z uległością. Musi być tęskno aparatczykom do tych czasów!

Po październiku 1956 posypały się jak wiadomo reformy. Te, po których oczekiwano najwięcej, okazały się pozorne. Inne znowu okazały się fałszywe. Pod pozorem racjonalizacji i udoskonalenia rachunku gospodarczego wprowadzono szereg zmian pogarszających położenie ludności. W ten sposób pogorszono warunki uzyskiwania i korzystania z mieszkań, podniesiono ceny książek (podcinając czytelnictwo, którego rozwój był jednym z nielicznych, autentycznych osiągnięć pierwszych lat Polski Ludowej). Ciekawe były reformy, które rzekomo miały przynieść ulgę prywatnej inicjatywie. Rzeczywiście, po październiku śruba nieco zelżała, ale najmniej skorzystali na tym uczciwi rzemieślnicy. Szerokie możliwości otworzyły się natomiast przed spryciarzami, którzy opłacając się suto aparatczykom, zaczęli robić doskonałe interesy. I dotąd je robią, oczywiście na szkodę ludności.

Potem przyszła osławiona intensyfikacja gospodarki, za nią selektywność inwestycji, a wraz z nimi planowane bezrobocie (lata 1968-70). Następnie bizantyjskie bodźce roku 1970, kryjące obniżkę płac za pseudo-naukowym żargonem i wreszcie „święteczna” podwyżka cen. Skutki są znane: władcy Polski Ludowej nie docenili tego, że stopień świadomości klasowej robotników wyższy jest obecnie niż w 1953 i 1956, że ich postawa polityczna okrzepła i że oszukać ich nie jest już tak łatwo. Innymi słowy: że Polska jest obecnie na bardziej zaawansowanym etapie zaost్రzenia się walki klasowej niż była w latach pięćdziesiątych.

Tak więc reformy, które klasa aparatczyków gotowa jest wprowadzić, są najczęściej albo pozorne albo fałszywe. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież samo istnienie klasy aparat-

czyków i rola, którą spełnia ona w gospodarce polskiej, stanowi główną przyczynę niesprawności tej gospodarki¹⁵. Dlatego też każda prawdziwa reforma musi osłabiać ich pozycję polityczną i zagrażać im jako klasie społecznej. Reformy pozorne i fałszywe są manewrem, który stosują oni, żeby uchylić się od reform prawdziwych.

Jeżeli w chwili strachu aparatczycy muszą się czasem zgodzić na prawdziwą reformę, to gdy sytuacja zmienia się na ich korzyść, starają się tę reformę zlikwidować. Stąd się biorą *reformy nietrwałe*.

Przykładem ważnych i prawdziwych reform, wprowadzonych dzięki naciskowi politycznemu robotników i inteligencji są dwie reformy popaździernikowe: wprowadzenie rad robotniczych i ograniczenie cenzury. Po roku obie już nie istniały: rady robotnicze pozbawiono wszelkiego wpływu przez nadanie im nowych, krępujących form organizacyjnych; likwidacja *Po prostu* zamknęła okres liberalizmu cenzury.

Wypadki Grudniowe doprowadziły do zaniechania przygotowanej reformy bodźców. Był to istotny sukces robotników, ale nie stanowił on zmiany na lepsze, lecz był jedynie uniknięciem zmiany na gorsze. Także obniżka cen, wymuszona na nowym kierownictwie Partii w tym okresie, była znacznym osiągnięciem; było to jednak tylko ustępstwo z zakresu polityki gospodarczej, którego trwałość jest zawsze wątpliwa.

Jedyną ważną i prawdziwą reformą, która się utrzymała i nie jest dotychczas bezpośrednio zagrożona, jest likwidacja spółdzielni produkcyjnych w rolnictwie po październiku 1956. Trwałość tej reformy tłumaczy się tym, że jej cofnięcie byłoby zbyt ryzykowne politycznie.

Pamiętać więc trzeba, że każda prawdziwa reforma musi mieć zawsze swą stronę polityczną. To znaczy, musi w jakiś sposób wzmacniać pozycję społeczeństwa wobec aparatczyków. Bez tego, nawet najlepiej pomyślana reforma albo wcale nie wejdzie w życie, a więc stanie się reformą pozorną, albo zostanie wypaczona albo okaże się nietrwałą. Dlatego też planując reformę, należy określić nie tylko jej treść, ale i środki polityczne, które ją pozwolą wprowadzić w życie i utrzymać. Tylko wtedy będzie to mogła być reforma prawdziwa.

Trzy typy prawdziwych reform

Prawdziwe reformy można zaliczyć do trzech typów.

Pierwszy, to *ustępstwa* będące zmianami polityki gospodar-

15. Pisałem o tym szczegółowiej w artykule „O polskiej gospodarce”, *Kultura* Nr 4/283, kwiecień 1971.

czej na korzyść ludności. Będzie to np. obniżka cen, podwyżka płac, lub poprawa zaopatrzenia rynkowego. Ustępstwa takie stosunkowo najłatwiej uzyskać, ale trudno je utrzymać, bo zależą one zawsze od płynnej sytuacji gospodarki. Mają one stosunkowo niewielkie znaczenie, bo chociaż przynoszą czasową ulgę, nie zmieniają położenia ludności w sposób zasadniczy.

Drugi typ to skuteczne *egzekwowanie swoich uprawnień* w ramach istniejących instytucji. Jest to reforma *de facto*: nie wymaga ona zmiany norm prawnych, ale wprowadza zmiany w funkcjonowaniu systemu i tym samym nadaje nową treść instytucjom już istniejącym. Przykładem takiej reformy byłoby wprowadzenie w życie praktyki wyboru własnych a nie narzuconych kandydatów i głosowanie stosownie do swoich przekonań a nie według odgórnych dyrektyw. Pomyślmy, jak wiele zmieniłoby się w Polsce, gdyby organy związków zawodowych, rady narodowe i Sejm zaczęły funkcjonować według tych zasad. Ten typ reform nie jest bynajmniej łatwy do wprowadzenia. Wymaga on wysokiego stopnia świadomości politycznej i aktywnej postawy ze strony ludności. Utrzymanie takich reform wymaga też stałej czujności.

Trzeci typ to *reformy instytucjonalne*, a więc reformy w ścisłym znaczeniu, polegające na wprowadzeniu zmian do istniejących instytucji lub na tworzeniu nowych. A więc np. reforma aparatu planowania, reforma systemu zarządzania przedsiębiorstwami, reforma systemu cen lub utworzenie rad robotniczych. Ten typ reform najtrudniej wymusić właśnie dlatego, że idą najgłębiej: zmieniają strukturę gospodarki i państwa.

W dążeniu do przemian domagać się należy reform wszystkich trzech typów w zależności od aktualnej sytuacji i możliwości ich uzyskania. Ale przede wszystkim powinno chodzić o to, aby to były na pewno reformy prawdziwe. Prawdziwe reformy poznaje się po tym, jakie sobie stawiają cele.

Cele prawdziwych reform

Istnieją trzy główne sposoby, którymi aparatczycy trzymają w korbach klasę pracującą. Tym sposobem sprawowania władzy podporządkowana jest struktura, organizacja i funkcjonowanie państwa i gospodarki. Można je nazwać trzema jarzmami, które klasa aparatczyków włożyła na kark ludności. Są to: (1) Zakłamanie, (2) Ucisk, (3) Wyzysk.

Każda prawdziwa reforma powinna być więc skierowana co najmniej przeciw jednemu z tych jarzm. Może godzić w instytucje, które są ich wyrazem, albo w ich funkcjonowanie. Musi prowadzić do ich osłabienia, unieszkodliwienia lub likwidacji.

Krótki opis tych trzech jarzm jest potrzebny, aby wyjaśnić bez reszty, co ma być przedmiotem prawdziwych reform.

(1) *Zakłamanie* jest jarzmem nałożonym na rozum i moralność.

Polega ono na tym, że wszystko jest na „niby”. Demokracja nie jest demokracją, wybory nie są wyborami, opinia publiczna nie jest opinią publiczną. I dalej: związki zawodowe nie bronią interesów robotników, sądy nie kierują się sprawiedliwością a Sejm interesem narodowym. Prasa kłamie, nauka przemilcza prawdę. Wszystkie instytucje polityczne i społeczne i ich funkcjonowanie jest skażone.

Skutkiem zakłamania jest zmańczenie obrazu rzeczywistości, zdławienie myśli i znieprawienie charakteru. System zakłamania spełnia również ważną rolę pomocniczą przy nakładaniu i utrzymywaniu dwóch pozostałych jarzm tj. ucisku i wyzysku.

Utrzymanie stanu zakłamania wymaga ograniczenia dopływu informacji i niedopuszczenia do wolności słowa. Stąd też rdzeniem aparatu służącemu temu celowi jest cenzura. Pamiętać jednak trzeba, że dużą rolę odkrywają tu także organizacje partyjne na wszystkich szczeblach.

Reformy skierowane przeciw zakłamaniu muszą więc uderzać w cenzurę i przeciwdziałać wtrącaniu się organizacji partyjnych do życia społecznego, państwowego i gospodarczego.

Stosunkowo mniejszą rolę w zwalczaniu zakłamania mają reformy instytucjonalne. Kapitalna rola przypada tu reformom typu egzekwowania swoich uprawnień; ale mówiliśmy wyżej o trudnościach wprowadzenia i utrzymania reform tego typu. Zakłamanie stanowi natomiast doskonały przedmiot walki o reformy typu pierwszego tj. o ustępstwa. Chociaż trudno je utrzymać na stałe, uzyskanie ich przynosi bezpośrednie korzyści, a walka o nie przyczynia się zawsze do pogłębienia świadomości i umocnienia postaw politycznej coraz większej liczby ludzi.

(2) *Ucisk* jest jarzmem politycznym.

Polega on na odebraniu ludziom swobody działania. A więc swobody poruszania się, swobody dysponowania swoją własnością, podejmowania inicjatyw, zrzeszania się i w ogóle wpływania na to, co się dzieje w kraju. Próby wyłamania się spod tego jarzma grożą ciężkimi represjami, stosowanymi zgodnie lub niezgodnie z obowiązującym prawem.

Skutkiem ucisku jest strach, poczucie bezsilności i wynikająca z tego frustracja i bierność.

Aparatem ucisku jest przede wszystkim Bezpieczeństwo, Milicja i „aparatus sprawiedliwości”, ale także biurokracja państwowa i partyjna. Instrumentem ucisku są normy prawne, celowo męt-

ne i skomplikowane, które w dodatku naginane są często przeciw obywatelom.

Reformy skierowane przeciw uciskowi muszą być przede wszystkim typu instytucjonalnego. Ale będą to reformy najtrudniejsze do przeprowadzenia, bo odnoszą się do samego rdzenia sprawowania władzy. Tym usilniej trzeba o nie walczyć w chwili, gdy pozycja aparatczyków ulega chociaż chwilowemu osłabieniu.

Gdy reformy instytucjonalne są jeszcze nieosiągalne, trzeba domagać się reform pozostałych dwóch typów: to znaczy wymuszać ustępstwa i egzekwować swoje uprawnienia. I te mogą mieć duże znaczenie, jeśli tylko uda się je utrzymać.

(3) *Wyzysk* jest jarzmem ekonomicznym.

Polega on na zmuszaniu ludzi do ciężkiej pracy i na utrzymywaniu ich stopy życiowej na niskim poziomie.

Skutkiem wyzysku są różne stopnie ubóstwa a za nimi potulność i służalstwo.

Aparatem wyzysku są związki zawodowe i biurokracja tak gospodarcza jak i partyjna. Państwowy monopol zatrudnienia, niedorzeczny model gospodarki i jej niesprawne funkcjonowanie są instrumentami wyzysku.

Reformy przeciw wyzyskowi to reformy gospodarki. Najwięcej o nich dyskutowano i najwięcej ich wprowadzono w życie. Były to jednak prawie wyłącznie reformy pozorne, fałszywe lub nietrwałe.

Mimo to, jest to dziedzina, w której reformy stosunkowo najłatwiej jest wymusić. Korzystać trzeba z tej możliwości i nieustannie żądać reform, ale reform prawdziwych wszystkich trzech typów, a więc ustępstw, możliwości egzekwowania uprawnień i reform instytucjonalnych.

Dokąd prowadzi ta droga?

Z konieczności musiałem się tutaj ograniczyć do wyjaśnienia zasad, którymi trzeba się kierować w walce o reformy. Nie podobna bowiem tutaj opisać, ani nawet wymienić wszystkich prawdziwych reform, których należy się domagać¹⁶. Nie można też dać programu kolejnych etapów ich uzyskiwania. Wszystko musi zależeć od trudnych do przewidzenia zmian sytuacji i od strategii i taktyki walki politycznej z sowietyzmem. Zdecydują o tym ci, którzy ją będą prowadzić.

Można dać jedynie ogólny zarys drogi, która nas czeka.

16. Sądzę jednak, że warto by było przystąpić do próbnego opracowania zarysu programu reform, mających na celu podważenie zakłamania, ucisku i wyzysku. I to nawet wtedy, gdyby to nie miał być jeszcze program realny. Rzeczywistość na pewno wniesie do niego bardzo wiele poprawek. Ale myślenie takimi kategoriami jest pożyteczne i nie ma powodu z tym zwlekać.

Świadomość polityczna ludzi pracy w Polsce będzie się nadal pogłębiała i obejmowała coraz szersze kręgi ludności. Postawa polityczna będzie się stawała coraz bardziej zdecydowana. Coraz trudniej będzie „aparacznynie” okłamywać, uciskać i wyzyskiwać ludzi pracy. Coraz twardszy będzie opór i z coraz większą determinacją ludzie będą domagać się ustępstw i reform i egzekwować swoje prawa. Ale aparatczyki będą coraz rozpaczliwiej bronić swoich zagrożonych pozycji. Walka klasowa będzie się wskutek tego zaostrzała¹⁷. Będzie ona przy tym nierozłącznie związana z walką o niepodległość, zgodnie z wielkimi tradycjami polskiego socjalizmu.

Tyle mniej więcej da się powiedzieć o najbliższych fazach procesu rozwoju przemian. Można też wyrazić pewność, że proces ten potrwa wiele lat. Trudniej jest przewidzieć, jak będą wyglądały jego fazy końcowe. Jeśli przyjmiemy, że będzie on przebiegał dalej w sposób tutaj opisany, spowoduje on z czasem narastanie sytuacji rewolucyjnej i w końcu obalenie sowietyzmu w drodze rewolucji społecznej, która równocześnie przyniesie Polsce niepodległość. Ale nie wiadomo, jak się potoczą losy świata. Nastąpić mogą wypadki, których obecnie przewidzieć nie można. Mogą one przyspieszyć upadek sowietyzmu pod wpływem czynników zewnętrznych albo spowodować jego rozkład w innej drodze. Zawsze jednak celowa akcja przeciw sowietyzmowi będzie miała wielką rolę do odegrania. Dlatego bez względu na to w jaki sposób kiedyś upadnie sowietyzm, już teraz musimy podjąć przeciw niemu walkę. Bo tylko w tej walce nasza nadzieja.

6. Kilka uwag na marginesie

Czy socjalizm?

Mówiąc o reformach i przemianach w Polsce zakładamy, że prowadzą one do upadku sowietyzmu, po którym ma nastąpić prawdziwy socjalizm. Można postawić pytanie, czy tak istotnie będzie, to znaczy, czy siły walczące z sowietyzmem rzeczywiście opowiedzą się za socjalizmem. Słysz się czasami zdanie, że imię socjalizmu jest tak skompromitowane przez to co się działo w PRL, że gdy zmiana ustroju stanie się możliwa, nikt o socjalizmie nie będzie chciał nawet słyszeć.

17. Fakt zaostrzania się walki klasowej znajduje potwierdzenie w polityce władz PRL. Liczebność, organizacja i wyposażenie sił policyjnych, przeznaczonych do tłumienia wystąpień robotniczych wzmocnione zostały poważnie pomiędzy 1956 a 1970. Słychać obecnie, że zamierzona jest dalsza rozbudowa operacyjnych jednostek milicji. Tego właśnie musi się spodziewać każdy, kto trafnie ocenia sytuację w Polsce.

Argument ten ma pewne podstawy. Pomieszanie pojęć rzeczywiście tu istnieje. Właśnie po to, żeby go uniknąć, nazwałem ustrój panujący w Polsce sowyetyzmem a nie socjalizmem.

Ale nie nazwy są ważne, tylko istota rzeczy. To znaczy istota ustroju, o który gotowi są walczyć polscy robotnicy i inteligenci. Wszyscy się chyba godzą na to, że będzie to ustrój, w którym szanowane będą prawa człowieka a środki produkcji będą własnością społeczną. To wystarcza, aby ten ustrój nazwać socjalizmem. Prawa człowieka są postulatem oczywistym, a jeśli chodzi o drugi warunek, to nikt chyba nie zamierza rozdać polskiego przemysłu aferzystom z prywatnej inicjatywy, ani zagranicznym kapitalistom. Szczegóły można ustalić później.

Kraj a emigracja

Jest rzeczą oczywistą, że cały ciężar długotrwałej i wielostronnej walki z sowyetyzmem, podjęty być musi przez społeczeństwo w kraju. W kraju musi się kształtować świadomość polityczna i na terenie kraju prowadzić trzeba akcję. Emigracja może w tym ruchu odegrać rolę niewielką i tylko pomocniczą.

Nie tylko dlatego, że trudno jest kierować taką akcją na odległość i że udać to się może tylko w wyjątkowych warunkach. Ale także i dlatego, że w miarę jak emigracja się starzeje, zachodzi w niej proces odpolitycznienia. Proces ten już teraz jest posunięty bardzo daleko. Nawet, jeśli pominąć tę część emigracji, która polityką przestała się zupełnie interesować, to można powiedzieć, że „tolerancja” przeciętnego emigranta wobec reżymu Polski Ludowej jest obecnie dalej posunięta, niż „tolerancja” przeciętnego szarego człowieka w Polsce¹⁸. Twierdzenie to może być przykrą niespodzianką dla mieszkańca Polski, ale jego prawdziwość nie ulega, moim zdaniem, wątpliwości. Różnica ta będzie się pogłębiała: postawa polityczna Polaków w kraju będzie się stawała coraz twardsza, a postawa emigracji coraz bardziej ugodowa.

A jednak emigracja może odegrać w ruchu antyreżymowym doniosłą rolę, na którą jeszcze nie jest za późno. Chodzi o to, że tylko na emigracji można przemawiać pełnym głosem poprzez czasopisma, broszury, książki i środki masowego przekazu. Umożliwia to wymianę myśli na tematy, o których w kraju publicznie dyskutować nie wolno i może się stać ważnym czynnikiem w budowie świadomości politycznej kraju. A to jest właśnie zadanie na dzisiaj. Trzeba dążyć do tego, żeby coraz więcej głosów

18. Wystarczy porównać gwałtowność wybuchu nienawiści wobec Partii, który widzieliśmy na Wybrzeżu, z letnią i chwiejną reakcją kół emigracyjnych na Wypadki Grudniowe.

z kraju słyhać było na emigracji i żeby emigracja z coraz większym zaangażowaniem się i zrozumieniem dyskutowała o sprawach krajowych.

Każdy, kto ma w kraju czynną postawę polityczną, powinien także móc liczyć na moralne poparcie emigracji, oraz na jej pomoc, jeśli będzie musiał z kraju uchodzić. Dlatego też polityczne ośrodki emigracji powinny mieć rozeznanie, kto w Polsce stoi na jakich pozycjach i wskutek tego, na jakie zasługuje przyjęcie. Nie jest to zawsze łatwa sprawa. Bardzo trudno jest na przykład sądzić na odległość kogoś, kto ugiął się pod naciskiem i powiedział, napisał lub podpisał coś, co nasuwa zastrzeżenia. Ale tu nie chodzi wcale o ocenę, czy ktoś był trochę bardziej czy trochę mniej odporny wobec nacisku. Chodzi o rzecz o wiele bardziej zasadniczą — która nie powinna budzić żadnych wątpliwości: o odróżnienie tych, którzy wywierali nacisk, od tych, którzy ulegali naciskowi; prześladowców od prześladowanych, właścicieli Polski Ludowej od ich poddanych. Linia, oddzielająca te dwie klasy ludzi, jest w Polsce dla każdego oczywista. Emigracja powinna wiedzieć, gdzie ta linia przebiega. Członkowie elity rządzącej i aparatu przemocy powinni się spotkać z potępieniem moralnym ze strony emigracji za szkody, który wyrządzili i za przestępstwa, które popełnili w Polsce. Przynajmniej tyle emigracja jest winna tym Polakom, którzy uciskowi w Polsce stawiają czoła i tym, którzy w tej walce zginęli. W sprawie walki o wolność kraj i emigracja powinny mówić tym samym językiem i mieć wspólną postawę polityczną i moralną. Nie jest to bez znaczenia dla walki prowadzonej w kraju.

Rola Partii

Jaka będzie rola Partii w procesie przemian, które nastąpią w Polsce? Prawie żadna. I to z dwóch powodów.

Po pierwsze dlatego, że Partia jest zgniła; jest ona bezideowa i skorumpowana. Zdolna jest tylko do rozgrywek personalnych w walce o władzę. Siły, które mogłyby zainicjować odnowę, w niej nie istnieją¹⁹. Pod tym względem PZPR jest zupełnie różna od partii Czechosłowackiej sprzed 1968, która we własnych szeregach znalazła wielu ideowych ludzi, umiejących poprowadzić za sobą całe społeczeństwo. Umożliwiło to stosunkowo bardzo szybki rozwój procesu rewolucyjnego w Czechosłowacji. Niestety nie ma na to szans w Polsce.

Drugim powodem, dla którego Partia nie może odegrać żadnej roli w procesie przemian, jest fakt, że Partia jest powszechnie

19. Stan ten ma oczywiście swoją historię. Wspominałem o nich w swym artykule „Socjalizm w Polsce” (*Kultura* Nr 9/276, wrzesień 1970).

znieawidzona i skompromitowana w oczach społeczeństwa. Gdyby nawet Partia chciała gdzieś naród poprowadzić, nikt za nią nie pójdzie²⁰. Mówiąc o Partii, mamy tu na myśli jej aktyw, tj. rządząca nią klasę aparatczyków i służący im aparat ucisku. Pamiętać trzeba, że linia podziału klasowego przebiega wpoprzek Partii. Ogromną większość szeregowych członków PZPR zaliczyć trzeba do klas wyzyskiwanych. Są oni często przedmiotem ucisku bardziej bezwzględniego i poniżającego niż bezpartyjni. W swej większości szczerze nienawidzą Partii. Potwierdzają to Wypadki na Wybrzeżu: wielu buntujących się robotników miało legitymacje partyjne w kieszeni.

Tak więc polski ruch oporu będzie się musiał obejść bez udziału aparatczyków. Raz dlatego, że wcale się nie będą kwapili do niego przystąpić, a po drugie dlatego, że robotnicy nie przyjmą ich w swe szeregi. Oczywiście mogą przejść na drugą stronę barykady jednostki należące do klasy rządzącej, liczba tych jednostek może nawet z czasem wzrastać, ale nigdy nie będą one spełniały roli kierowniczej. Większość aparatczyków trwać będzie nadal na pozycjach reakcyjnych, aż do chwili upadku sowietyzmu, a wtedy przestanie istnieć PZPR, partia, która zdradziła socjalizm i zapisała jedną z najbardziej haniebnych kart historii Polski.

Międzynarodowy aspekt przemian

Pisząc o procesie przemian, który rozwijać się będzie w sowietyzmie, zajmowałem się przede wszystkim jego przypuszczalnym przebiegiem w Polsce. W rzeczywistości jest to jednak proces międzynarodowy i tak go trzeba ujmować.

Jest on międzynarodowy w tym sensie, że proces rozkładu sowietyzmu podobny do tego, który zachodzi w Polsce, musi także zachodzić w innych krajach sowieckiego obozu. Gdy w jednym kraju rozkład sowietyzmu będzie postępował szybciej niż w innych, można się spodziewać, że kraje, w których sowietyzm jest jeszcze silny, będą interweniować zbrojnie, aby zatrzymać ten proces. Typowym przykładem jest Czechosłowacja 1968. Taka

20. Dlatego też propozycje takie, jak Burby-Kochański w *Liście do Emigranta* (Instytut Literacki, Paryż 1970) trzeba traktować bardzo sceptycznie. Z treści *Listu* wynika (str. 43), że Burba-Kochański (ktokolwiek to jest) i jego towarzysze to dawni stalinowcy. Wydaje im się, że mają szansę na to, by przewodzić ruchowi na rzecz demokratycznego socjalizmu. Próżne złudzenia. Robotnicy ich nienawidzą i na pewno za nimi nie pójdą. Każdy ruch przez nich prowadzony z góry skazany byłby na niepowodzenie. Jeśli istotnie zrozumieli swe dawne błędy i naprawdę chcą walczyć o socjalizm, nikt im tego nie może zabronić, ale niech zapomną o ambicjach wodzowskich. [Ocena ta wydaje nam się niesprawiedliwa; wynika zapewne z nieuwzględnienia odczytania tekstu *Listu*. (*Redakcja*)].

sytuacja będzie groziła zawsze, gdy powstaną wyraźne nierówności w tempie rozkładu sowietyzmu w różnych krajach. Trzeba więc dążyć do tego, aby sowietyzm ulegał rozkładowi jak najbardziej równomiernie w skali międzynarodowej. Szczególnie ważne jest, żeby Związek Sowiecki nie pozostawał w tyle w tym procesie. Stąd też ogromną wagę ma międzynarodowa solidarność i współpraca ruchów oporu wszystkich krajów sowietyzmu.

Z tego rozumowania wynika, że w zasadzie nie ma obawy interwencji zbrojnej w kraju, który nie wysunął się na czoło w procesie rozkładu sowietyzmu. Jest więc rzeczą naturalną, że nie doszło do interwencji sowieckiej w Polsce w grudniu 1970. Dlaczego wojska sowieckie miałyby wziąć na siebie brudną i krwawą robotę, jeśli polski aparat przemocy działał niezawodnie? Dużo jest przecież wygodniej dla Sowietów, żeby Polacy załatwili to między sobą²¹.

7. Jedyne drogi

Starałem się wyjaśnić, jaką drogą mogą i muszą nastąpić zmiany w Polsce.

Odrzuciłem bez żadnej dyskusji hipotezę o interwencji Zachodu w naszej sprawie. Wydaje mi się oczywiste, że na nią liczyć nie można.

Odrzuciłem również koncepcje oparte na złudzeniach, że aparatczyków można namówić, żeby się poprawili albo, że postępowanie uciśnionej ludności może się nagle zmienić pod wpływem skierowanych do niej wezwań.

Możliwości zmian widzę w nacisku sił społecznych wprawionych w ruch przez sprzeczności zawarte w samej naturze panującego w Polsce sowietyzmu. Tym siłom społecznym, które prą do rozkładu sowietyzmu można pomóc. Przez budzenie świadomości, wpajanie ideologii i rozwijanie doktryny politycznej moż-

21. Dlatego perfidna propaganda reżymowa, która głośno wychwala przyjaźń Związku Sowieckiego, a półgłosem straszy okropnościami jego możliwej interwencji oparta jest na dwóch fałszach.

A ponadto, gdyby nawet mimo wszystko interwencja sowiecka nastąpiła, miałyby ona trzy skutki, nie bez znaczenia dla sprawy polskiej: (1) jeszcze raz unaoczniałyby całemu światu prawdziwą naturę ustroju sowieckiego i zaborczość jego polityki, (2) wzmochnęłyby jeszcze bardziej solidarność Polaków, stanowiąc zapewne dalszy krok na drodze rozbudzenia świadomości i zbliżenia inteligencji do robotników, (3) spowodowałyby zapewne mniejszą liczbę krwawych ofiar niż spowodowała pacyfikacja przez rodzimy aparat przemocy. Wystarczy porównać liczbę ofiar interwencji w całej Czechosłowacji z prawdziwą liczbą ofiar na Wybrzeżu.

na wpłynąć na postawę Polaków i pobudzić ich aktywność. Uparta walka o przemiany ustrojowe będzie stopniowo osłabiać sowietyzm i przyspieszać proces jego rozkładu, przybliżając tym samym chwilę jego upadku, odzyskanie przez Polskę niepodległości i wprowadzenie w niej prawdziwego demokratycznego socjalizmu.

W moim przekonaniu jest to jedyna droga, która prowadzi do celu. Jest to droga bardzo daleka, Ale to tylko oznacza, że trzeba nią ruszyć nie zwlekając.

Jan DREWNOWSKI

Patologia opozycji

Rozwój życia społecznego w Polsce zdaje się wskazywać, że mamy tam do czynienia z wieloma prądami odrodkowymi. Narastająca walka społeczeństwa ze zwolennikami totalizmu politycznego — czyli ludźmi rządzącymi obecnie Polską — nabiera nowego znaczenia w świetle rewolty robotniczej w grudniu 1970 roku. Niekoniecznie jednak te nowe cechy walki politycznej muszą znaczyć pozytywy w dążeniu do demokracji i wolności. Często zdają się one wykazywać i zarazem potwierdzać chroniczne wady polskiego myślenia politycznego.

Ciągle bowiem kolejne etapy zrywów wolnościowych kończą się dekompozycją społeczną tych sił, które je podjęły.

Każde wystąpienie społeczne planowane na większą skalę, chcąc osiągnąć jakiś sukces, musi mieć konkretny cel o który podejmuje walkę. Jeśli dąży się do przemian zasadniczych i dla społeczeństwa podstawowych, przywódcy powinni nie tylko opracować samą koncepcję czystej walki czy większej demonstracji politycznej, ale przede wszystkim, muszą mieć program postępowania i działania zbiorowego społeczeństwa, mieszczący się w ramach szeroko pojmowanej strategii politycznej.

Każdego bezstronnego obserwatora, uderza fakt że w ciągu 27 lat istnienia ustroju sowieckiego w Polsce, było wiele przeciw niemu opozycji, brakowało natomiast pozytywnej alternatywy — tj. próby przeciwstawienia się mu w sposób przemyślany. Ustrój sowiecki w Polsce nie opiera się jedynie na terrorze, sile i strachu. Bazuje się on przede wszystkim na stale postępującym procesie wyjąłowiania myślenia politycznego wśród poszczególnych grup społecznych. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że każdy kolejny wybuch niezadowolenia społecznego w Polsce integruje grupę rządzącą, samą zaś opozycję z początku zniewala koncepcyjnie, by po dalszym, krótkim, upływie czasu rozsądzić ją zupełnie. Stan ten trwa do chwili gdy określone przyczyny społeczne ponownie doprowadzają do kolejnego wybuchu czy nawet rozlewu krwi. Ilościowo wartość opozycji w Polsce jest znakomita a na-

NOWOŚĆ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 214 — SERIA „DOKUMENTY”

ZESZYT 38

REWOLTA SZCZECIŃSKA I JEJ ZNACZENIE

Opracowała EWA WACOWSKA

Tom zawiera pełny tekst 9-ciogodzinnego spotkania Edwarda Gierka z załogą stoczni im. A. Warskiego w Szczecinie w styczniu 1971 roku, opatrzone komentarzami, oraz liczne aneksy.

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,50; £2.00)

wet imponująca — jakościowo natomiast sytuacja wygląda katastrofalnie i beznadziejnie.

Doprowadza się do wybuchów, jest się na co dzień w ostrej opozycji do panującego reżymu, niemniej wszystkie te stany władzy „kanalizują” i „formalizują”. Każdorazowo „reformy” reżymu polegają na umiejętnym rozbrojeniu myślowym ludzi, którzy mogliby zagrozić bezpieczeństwu ustroju. Odpowiednio ogłaszane plany cząstkowych reform wraz z przestrogią o zagrożeniu państwowym ze strony Rosji, to najprostszy i najprymitywniejszy zarazem sposób zmuszający do posłuchu i dawania wiary zapewnieniom tych samych „naprawiaczy” ustroju sowieckiego. Jak to jeszcze raz wykazały wypadki grudniowe, w rozumowaniu funkcjonariuszy partyjnych, gdy zawodzi strzelanie czy zabijanie ludzi na ulicy, trzeba się odwołać do zmiany wewnętrzno-partyjnej (powrót Gomułki, upadek Gomułki). Równocześnie należy „kanalizować” żądanie zmian propozycjami, które były kiedyś najbardziej oczekiwane i pożądane przez społeczeństwo.

Bunt robotników na wybrzeżu, stopniowo narastający w całej Polsce, startował z hasłami walki o poprawę bytu materialnego robotników, wysuwając poza tym żądania dotyczące stworzenia podstawowych ram dla demokracji w ustroju socjalistycznym. Wysuwano propozycje, które miały zagwarantować istniejące, pisane a nie przestrzegane przez reżym, prawa wolności osobistej i obywatelskiej. Chciano też uzyskać koncesje w zakresie rotacji kadr wewnątrz samej partii. Postulaty te, gdyby zostały zrealizowane, na pewno mogłyby zapoczątkować nie jeden późniejszy, poważniejszy proces prawdziwych zmian. Niestety, w świetle enuncjacji „nowych” dygnitarzy reżymowych, wszyscy o tych postulatów dość szybko zapomnieli, gdyż „uzdrowiony” rząd wysunął w duchu pozytywnym sprawę własności kościelnej na tzw. ziemiach pomieckich. Głosząc poza tym w najbliższej raczej formie, chęć poprawy w ogóle swoich stosunków z Kościołem. Postępując w ten sposób reżym z miejsca „skanalizował” naczelne żądania klasy robotniczej sprecyzowane w grudniu.

Sprawę posiadłości kościelnych na Ziemiach Zachodnich reżym faktycznie od dawna przegrał. Poza straszakiem propagandowym musiał on sobie zdawać sprawę z beznadziejności odwrócenia tej sytuacji na swoją korzyść. A mimo to potrafił — świetnie propagandowo — kusząc z wielkim rozmachem nadziejami dalszych ustępstw, sprzedawać towar od dawna politycznie bezwartościowy. Bo jakże inaczej nazwać zafatwienie sprawy, która, odkąd kościół katolicki istnieje w Polsce — za zgodą reżymu czy bez niej — obiektywnie była poza jakimkolwiek przetargami politycznymi. Przedmioty kultu religijnego można zabrać kościołowi katolickiemu dopiero wtedy, gdy się go całkowicie zlikwiduje; w tej chwili jednak ustrój sowiecki w Polsce nie posiada odpowiedniej siły, by to zrobić. Te pozorne więc ustępstwa reżymu na rzecz Kościoła były zarazem jego sukcesem tam, gdzie w danym momencie czuł się ciężko zagrożony. Szturmująca klasa robotnicza ze swoją groźbą totalnego strajku na skalę ogół-

nokrajową musiała zostać „skanalizowana” decyzjami mieszczącymi się w arsenale dążeń i pragnień ogólnonarodowych. Kościół katolicki jest dla reżymu instytucją, która albo jest gwałtownie zwalczana, albo spełnia rolę „kanalizacyjną” dla większości niebezpieczeństw, stale czyhających na ustrój komunistyczny w Polsce. Ludzie przyzwyczajeni do Kościoła, jako jedynej niezależnej instytucji społecznej, każde porozumienie zawarte pomiędzy nim a reżymem uważają za dowód, że sytuacja w Polsce zmierza ku lepszemu.

Ocena tej sytuacji przez reżym jest nieomal bliska ideału. Korzysta on w zasadzie z permanentnego alibi, które pozwala mu chować się za Kościół wtedy, gdy sytuacja polityczna w kraju wymaga tej maskarady. Olbrzymi ładunek energii społecznej ludzi, którzy występują przeciwko reżymowi idzie w ten sposób na marne. Rzecz jasna, konstelacja ta funkcjonuje tylko na zasadzie specyficznych stosunków społecznych panujących dziś w kraju. Zanik jakiegokolwiek niezależności społecznej ludzi, predysponuje kościół katolicki — także na płaszczyźnie politycznej — do roli ostatniego ogniwa w walce z reżymem. Gdy wszystkie instytucjonalne ośrodki sprzeciwu zostały zniszczone i upadły Kościół katolicki naturalną drogą rzeczy, stał się ostatnim elementem scalającym ideologicznie i społecznie rzesze nie tylko wiernych lecz i tych, którzy widzą w nim polityczną siłę działania opozycyjnego. W związku z tym, przy takim poparciu społecznym, Kościół staje się w Polsce jedyną organizacją niezależną. Dla rządzącej Polską partii komunistycznej zatem tylko Kościół jest równorzędnym partnerem w jakichkolwiek pertraktacjach, które w 99 % są wynikiem normalnej walki politycznej, toczącej się permanentnie pomiędzy kościołem a państwem. Kościół jako instytucja społeczno-religijna od samego początku powstania nowego ustroju w Polsce, został zmuszony do podjęcia walki wyłącznie na płaszczyźnie politycznej.

Walka Kościoła toczy się jednak na zupełnie innych zasadach i założeniach, przeważnie odbiegających od środków podejmowanych przez pozostałą opozycję antykomunistyczną. Jest zrozumiałe, że Kościół nie może traktować walki politycznej tak samo jak ugrupowania świeckie, gdyż jego autorytet religijny wymaga dbałości o nie angażowanie się w pełni w sprawy doczesne. Pomimo to, o ile się chce poważnie mówić o szansach prawdziwej zmiany w Polsce — należy ocenić poprawnie rolę kościoła na tle walki z reżymem całego społeczeństwa. Będąc bowiem formalnie ostatnią instytucją, która walczy z reżymem, Kościół katolicki w Polsce podlega przetargom politycznym których stawką są prawdziwe czy oszukańcze ustępstwa partii. Ta sytuacja prowadzi do opłakanych skutków dla całej opozycji. W świadomości społecznej wytwarza się przekonanie, że Kościół zawarł pozytywne porozumienie w imieniu całego społeczeństwa. Stan ten powoduje niebezpieczne nieporozumienia specjalnie jeśli idzie o przyjęcie taktyki zmierzającej do przekształcenia ustroju. W chwilach zgody reżymu na ustępstwa — opozycja zadawała się obietni-

cami lub porozumieniami, które są wynikiem wolty reżymu, nagle przyjaźnie rozmawiającego z Kościołem.

Zresztą należy podkreślić, że Kościół zdaje sobie dobrze sprawę ze swojej niebardzo „jasnej roli” w czasie jakichkolwiek konfliktów reżymu ze społeczeństwem. Słyszałem osobiście w 1958 roku wypowiedź dygnitarza kościelnego, ówczesnego arcybiskupa krakowskiego ks. E. Baziaka, skierowaną do studentów, w której zarzucił wszelkim ruchom politycznym w Polsce, iż swoją opozycyjność wobec systemu chcą opierać na woli walki samego Kościoła. Mówił następnie, że Kościół katolicki będąc oparciem moralnym dla społeczeństwa w Polsce, nie może przeciw dokonywać zmian na skalę ogólnospołeczną. Zmian, które wymagają często stosowania gwałtu i przemocy. Przytoczył przykład polityki p. Popiela, który będąc leaderem Stronnictwa Pracy w czasie powstawania ustroju komunistycznego w Polsce, bardziej liczył na możliwości polityczne Kościoła niż swojej partii. Miał on sądzić, że wielki autorytet Kościoła w społeczeństwie sam w sobie będzie przeciwwagą dla komunistów i uratuje beznadziejną sytuację polityczną jego partii pomimo Jałty i Armii Czerwonej.

Sądzę, że typ myślenia zmarłego arcybiskupa Baziaka nie jest obcy wielu dostojnikom kościelnym i w czasach nam współczesnych.

Kościół w Polsce, wbrew swojej woli, stał się czynnikiem, który w sytuacjach kryzysowych zdaje się ratować reżym. Będąc bezsprzecznie przeciwnikiem ustroju — podlega, podobnie jak wszystko co istnieje w tym systemie — zasadom kolaboracji. Nie ma powodu wyjaśniać dlaczego taka sytuacja sprzyja rozkładowi opozycji. Można wyrazić tylko przypuszczenie, że przewyższenie tej fatalnej kombinacji „kościół-reżym” dałoby z miejsca pożądane skutki w postaci skutecznych osiągnięć opozycji. Pozostaje oczywiście kwestią do dyskusji jak to należy zrobić. Nie tylko zresztą Kościół katolicki stanowi w Polsce swoiste oparcie dla reżymu. Tak samo różne prądy lewicowe, grupy i grupki reprezentujące tzw. socjalizm o ludzkim obliczu, zdają się sprzyjać antydemokratycznej akcji reżymu. Utwierdzają one społeczeństwo w przekonaniu, że zmiany, które dokonują się w obrębie samej partii są wynikiem działalności ewolucyjnej „ludzkich” socjalistów czy komunistów.

Początkowy start wszystkich rewizjonistów marksistowskich zaczyna się od próby ulepszenia tych elementów systemu, które są najbardziej skompromitowane i zdyskwalifikowane w oczach społeczeństwa. Wysuwają oni na pierwszy plan własne rozczarowania i niepowodzenia polityczno-intelektualne. Przeżywają na nowo to, co już od dawna jest sumą doświadczeń różnych kierunków i odcieni opozycji antysowieckiej w krajach opanowanych przez komunistów. Nie uwzględniają w ogóle faktu, że społeczeństwo w swojej negacji tego co złe i abstrakcyjne w systemie, poszło już znacznie dalej.

Typowym przykładem tej kwadratury koła jest zarówno pol-

ski październik 1956 jak i marzec 1968. Jest symptomatyczne — jeśli chodzi o październik — tak częste powoływanie się ze strony zwolenników demokratycznego socjalizmu na zawód, który sprawił Gomułka. Cała sprawa walki z systemem nabiera wówczas cech niespełnionych nadziei ze strony jednego tylko działacza politycznego. Spekulacje i oczekiwania na innego — który nie zawiedzie — to zgoła nie marksistowskie poddawanie się fatalizmowi historycznemu. Dotychczasowe doświadczenia historyczne wykazały dobitnie, że powyższa taktyka pomaga jedynie samemu ustrojowi. Przykład z Dubczkiem jakże jest tutaj pouczający. Dubczek, mający najlepsze intencje i takąż wolę, jeszcze na krótko przed wejściem Armii Sowieckiej do Czechosłowacji, przekonywał społeczeństwo, że nic mu nie grozi. Rozbrajał jego opór — bo ciągle oszukiwał sam siebie i wierzył, że system sowiecki da się zreformować. Zupełnie naiwnie, powiedziałbym nawet banalnie z politycznego punktu widzenia, wierzył w dobrą wolę samych Sowietów. Reprezentując jeden z najbardziej pozytywnych kierunków w marksizmie, mając do dyspozycji formy instytucjonalne dla dokonywania zmian — potknął się o próg, który nie tylko on jeden źle rozpoznał.

W monografii Dubczeka pióra L. Vesely, która niedawno ukazała się na półkach księgarskich w Niemczech, wychodzi na jaw jak słabi politycznie byli przywódcy „czeskiej wiosny” jeśli idzie o przewidywanie przyszłego rozwoju wypadków. Nie wierzyli doświadczeniem przeszłości, ale także nie wierzyli w konieczność posunięć, które by oczyściły Czechosłowację do końca ze wszystkich elementów stalinowskich.

W Polsce po październiku 1956 również w imię rzekomej racji stanu — wierząc dodatkowo, że XX zjazd KPZS to faktyczna zmiana stosunków społecznych w ustroju sowieckim — pozostawiono dalszy rozwój spraw na łasce samej partii. Społeczeństwo zaakceptowało nowe zmiany jako koniec walki o pełną demokrację, skoro ci co do nich parli zadowolili się Gomułką. Typowy pod tym względem był artykuł Jana Kotta ogłoszony na łamach *Przeglądu Kulturalnego* zaraz po wyborach do sejmu w 1957 roku. Określał on wtedy wynik wyborów jako zwycięstwo socjalizmu Gomułki nad inną koncepcją rządów — dyktaturą wojskową generała Andersa. Nie przypuszczam by ten wybitny pisarz sam doszedł do tego rodzaju — łagodnie mówiąc — niefortunnych stwierdzeń. Wyrażał opinię większości lewicy socjalistycznej, która będąc za demokracją, całkowicie wierzyła, iż jest ona w dobrych rękach, bo w rękach partii, której przewodzi Gomułka. Ostrzegana przez partię o rzekomym zagrożeniu — nie sowieckim oczywiście a kontrrewolucyjnym — ówczesna lewica demokratyczna w Polsce dawała się używać jako narzędzie przeciwko działalności politycznej emigracji.

Zrozumiała stała się niechęć demokratycznych socjalistów do uruchomienia dźwigni nacjonalistycznej. Obawiali się zagrożenia pravicowego mogącego pokrzyżować plany reform podejmowanych właśnie przez nich. Sądzieli po prostu, że sprawę socjalizmu

można zabezpieczyć tylko poprzez równorzędną walkę zarówno ze stalinistami wewnątrz swojego obozu, jak i ze wszelkimi przeciwnikami samego ustroju. Rozumiem to stanowisko, choć nie mogę powiedzieć by było ono wówczas słuszne i politycznie rozsądne. Sukces Gomułki, rozkładujący po październiku istniejące zagrożenie dla systemu, polegał między innymi na tym, że zdołał on wmówić społeczeństwu swój program zmian. Ta akcja, wskutek naiwności i łatwowierności prawdziwych reformatorów socjalizmu stała się jakby realną bazą społeczną. Reformatorzy ci — podobnie jak Dubczek — widzieli dobre zasady samego systemu i ulegali przekonaniu, że partia potrafi przebudować nie tylko sam system, lecz także samą siebie.

Późniejsze lata to pasmo samych rozczarowań. Partia bowiem bardzo szybko wróciła do swojej starej roli, a zwolennicy demokratycznego socjalizmu zostali skutecznie przez nią wyizolowani i odcięci od społeczeństwa.

Opierać się o wielki ruch masowy można tylko w określonych sytuacjach społecznych. Na pewno jednak nie można go dowolnie powołać do życia. Zmarnowana okazja w październiku 1956 zemściła się w marcu 1968. Udzielając kredytu politycznego w październiku 1956 roku, kopano dla samych siebie grób, który był gotowy w marcu 1968 roku. Intelktualiści partyjni, bo do nich w zasadzie sprowadzał się cały ruch odnowy wewnątrz partii, przyjmowali błędnie, że będą mogli występować w charakterze pierwszych doradców rządzących. Sądzieli, że to oni przede wszystkim, poprzez fakt przewrotu październikowego, zdziałają kolejne role kierownictwu partii w dalszych zmianach, które formalnie przez to kierownictwo były zaakceptowane.

Rozum górujący nad władzą, intelektualiści wpływający na działalność i postawę mas — oto październikowe nadzieje ludzi, którzy faktycznie przygotowali odpowiedni klimat w partii, umożliwiającą powrót Gomułki do władzy. Przypuszczalnie sądzono także, że będzie można stale inspirować masy poprzez kanały i organa partyjne. Transmisja ta miała polegać na fakcie ciągłego odwoływania się do mas w obliczu — przeczuwanych — poszczególnych problemów, jakie mogłyby powstawać w wyniku jakiegokolwiek odchodzenia partii od założeń października. Niemniej cała ta droga do mas — jako gwaranta demokracji socjalistycznej w Polsce — miała oczywiście polegać na uznaniu kierowniczej roli partii komunistycznej. Uwierzono zapewne, że jeśli nowe kierownictwo partyjne tu i ówdzie hamuje szybszy program zmian, to przyczyna tkwi nie w jego złej woli, lecz wypływa z ograniczeń związanych z racją stanu oraz z istnieniem poważnej opozycji w łonie samej partii (chodziło o tzw. grupę Natolińską).

Czas miał pracować oczywiście na rzecz reform i stałej poprawy sytuacji. W takim ujęciu trudno nie widzieć dużego zaufania w dalsze pozytywne kierownictwo partii nad społeczeństwem. Nie widziano potrzeby rozmawiania z narodem obok partii, ponieważ przyjmowano bezkrytycznie, że samemu można wpływać na to co partia robi. Brano przy tym poważnie pod uwagę

niebezpieczeństwo jakiegoś zwrotu antysocjalistycznego ze strony samego społeczeństwa. Pewien pisarz nawet jeszcze w 1960 roku straszyl społeczeństwo, na wieczorze autorskim, widmem mitycznej prawicy przedwojennej. Głosił wszem i wobec, że pozytywne zmiany w postaci dojścia do władzy Gomułki zagrożone były recydywą reakcji. Podawał jakieś liczby z listopada 1956 r., iż ponoć 16 grup katolickich i 22 grupy sanacyjno-endeckie próbowały zalegalizować swoją działalność w życiu politycznym kraju. Pisarz ten, który później, w marcu 1968, poznał smak działania innej prawicy, na pewno wtedy czuł i myślał już inaczej.

Rzecz jednak nie w tym, by krytykować i ganić, ale wyciągnąć wnioski na przyszłość. W marcu 1968 roku partia wzięła generalny rewanż za wszystko co zmuszało ją do pewnego kompromisu z własnym społeczeństwem w roku 1956. Oczywiście ten rewanż — oceniając rzecz relatywnie — dotknął w pierwszym rzędzie socjalistów demokratycznych. Zapłacili za pracę nad pogębeniem demokracji socjalistycznej w Polsce. Zapłacili w warunkach korzystnych dla samej partii. Pomimo bowiem heroicznego oporu nie znaleźli żadnego szerszego oparcia wśród przeważającej części społeczeństwa. Zostali jak gdyby wyłuskani z większej masy i skazani na klęskę osamotnienia w morzu całkowitej i powszechnej bezradności społecznej. Najbardziej barbarzyńskie i terrorystyczne uderzenia, dotykające bezpośrednio intelektualistów, przeszły prawie niezauważone. Może było nawet gorzej, gdyż w wielu wypadkach udało się partii dość realnie podburzać szarych ludzi z ulicy. Dokonało się to przeciwko tym, którzy wydają się być w każdym nowoczesnym społeczeństwie najpotrzebniejsi.

Masówki i wiece, klimat walki międzypokoleniowej, fantastyczne opowieści o zdradzie intelektualistów: oto broń jaką partia zastosowała w tej walce. Sama „zdrada” intelektualistów w marcu została również przemyślnie społeczeństwu podrzucona. Analiza ówczesnych wieców i masówek dostarcza wiele materiału na ten temat. Działalność lewicy demokratycznej przedstawiona została jako dążenie do zniszczenia pracy klasy robotniczej. Miała to być tym razem zdrada o specjalnym znaczeniu. Nawet wyjątkowo nie państwa, narodu i partii, ale wszystkich ludzi pracy, bezsilnych wobec knoń inteligencji.

Masa ludzka nie wiedząc o co właściwie chodzi, zupełnie nieświadomie, stała się narzędziem podatnym do manipulowania w każdym kierunku. Jej zachowanie się antyinteligentnie zadziwiło nawet samych zakamuflowanych reżyserów. Było ono co prawda działaniem zupełnie irracjonalnym, nie mniej posiadało prawdziwy ładunek zaangażowania emocjonalnego.

Podłożem tego co się stało była straszliwa nieumiejętność kojarzenia stosunkowo prostych faktów. Socjolog Jerzy Wiatr miał rację, gdy podsumowując w czasopiśmie *Współczesność* wydarzenia jakie miały miejsce, stwierdzał krótko, że wynik ich był przesądzony, gdyż naród nie miał żadnego pojęcia o tym co się wówczas działo. Wobec tego intuicja i „dobra wola” partii były jego

jedynymi przewodnikami dla całości wydarzeń. Niestety cały okres od października 1956 do marca 1968, z małymi wyjątkami, polegał na braku kontaktu intelektualistów ze społeczeństwem. Na pewno był on trudny do osiągnięcia, nie mniej niewiele robiono, by znaleźć odpowiednie wyjście i rozbudować szerszą opozycję. Partia rozegrała swoją grę znacznie lepiej. Pomimo to w świetle grudnia 1970 przeliczyła się; można powiedzieć, że ją z kolei całkowicie zawiodły wszelkie rachuby polityczne oparte o logikę.

Społeczeństwo jako całość chciało w październiku 1956 pójść znacznie dalej. Wyraźnie oczekiwało na sygnał ze strony Kościoła czy demokratycznych socjalistów, by rozpocząć następną fazę walki. Walka ta przeszłaby zapewne na płaszczyznę dążeń do wyeliminowania jednostronnej dyktatury partii. Sygnał się nie ukazał i stopniowo udawało się Gomułce, w ramach nowych form, sprowadzić wszystko do starego porządku.

W marcu 1968 roku — jak podkreślaliśmy już — społeczeństwo zupełnie nie rozumiało kto i o co walczy w toczącym się konflikcie: „Dziady” Mickiewicza, wystąpienia humanistów, sprytnie wpleciona tzw. sprawa syjonistów oraz studenci, którzy nie chcą się rzekomo uczyć, etc. Wygrywała partia, bo posiadała cały olbrzymi aparat propagandowy, zagłuszający całkowicie prawdę. Trudno było coś odwoływać i tłumaczyć; ludzie znaleźli się w hermetycznym zamknięciu i terrorze wrzawy prymitywnych sloganów. Same wypadki wybuchnęły również w najmniej korzystnym czasie. Nie było więzi ekonomicznej, która na ogół decydująco wpływa na wszelkiego rodzaju bunty, czy rewolucje. Jednakże ten brak i niedostatek spójni wewnętrznej w postawie społeczeństwa, w partii zamienił się w pewność że może postępować jak tylko zechce — zgodnie ze swoimi oligarchicznymi interesami. Nie wiem czy tak było na pewno, ale sądzę, że to „genialny” towarzysz Wiesław wyciągnął dziecinne wnioski z wydarzeń marcowych. Mianowicie doszedł do przekonania, że teraz wolno jemu i jego klice zrobić ze społeczeństwem wszystko. Że zatem nawet wprowadzenie zarządzeń, faktycznie sankcjonujących powszechny głód, też jest możliwe. Ponadto był przekonany zarówno o własnej popularności jak i kompletnym poddaniu się społeczeństwa wszelkim socjo-technicznym zabiegom partii. Ten „wspaniały” program działania partii legł w gruzach w wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu. Chociaż pochłonął on dużą ilość krwi ludzkiej, nie widać by partia wyciągnęła właściwe wnioski z kolejnego fiaska stosowania absolutnych, dyktatorskich rządów. Spróbujmy przynajmniej my wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Ta krew na Wybrzeżu, łącząca się z brakiem zmian w nastawieniu partii, jest czymś co scala i łączy wielu ludzi — przeważającą większość społeczeństwa. Czas na Dżilasów wydaje się należeć do bezpowrotnej przeszłości. Partie komunistyczne od czasu interwencji czeskiej wyraźnie na tego rodzaju drogę nie zezwalają. Obostrzona selekcja i kontrola podejmowanych

przez partię decyzji oraz wzmocnianie aparatu policyjnego ostatecznie kładą kres marzeniom o pozytywnych przywódcach komunistycznych. Bynajmniej jednak nie oznacza to, byśmy mieli zrezygnować z wszelkich poszukiwań i z presji mogących wpłynąć na zmiany wewnątrz partii. Myślę, że jest czas po temu by działać infiltrując partię, lecz stosując nowe, lepsze i bogatsze metody. Zmieńmy wreszcie taktykę ciągłego wyczekiwania na niespodzianki, na zmiany powstające irracjonalnie.

Trzeci numer zeszłorocznego angielskiego czasopisma historycznego *Journal of Contemporary History* powinien nas natchnąć myślą oryginalną i szerszą, choć zajmuje się raczej sprawami odległymi. Poświęcony on jest niemal w całości sprawie tworzonych przez komunistów na świecie — w latach trzydziestych — tzw. Frontów Ludowych. Wszyscy, autorzy artykułów, obojętnie czy dotyczą one Hiszpanii, Jugosławii czy Chin, są zgodni co do jednej rzeczy. Mianowicie, każdy z autorów podkreśla wartość tego rodzaju przybudówek i organizacji, które na dłuższą metę przygotowały grunt pod przejęcie władzy przez komunistów. Zdały egzamin historyczny stosując na rzecz jednej ideologii wiele różnorodnych wątków ideologicznych. Jak piszą wspomniani autorzy dokonało się to w oparciu o dobrą wolę komunistów, którzy ten jeden jedyny raz naprawdę prezentowali się jako liberałowie. Swoje doktrynalne i polityczne pierwszeństwo ukrywali świetnie w cieniu innych grup politycznych, wobec których zachowywali lojalność w duchu walki z *establishmentem*.

Uważam, że powinniśmy się uczyć działania sprawnego, konkretnego i planowanego właśnie u komunistów. Uczyć się jak zdobyć najlepiej władzę.

Szachownica walki z sowietyzmem wymaga obopólnych ustępstw. Niechaj walczący zażarcie z sowietyzmem przedstawiciele różnych ideologii i grup politycznych wykażą umiejętność porozumienia się między sobą. Natomiast o sam podział władzy będzie można zabiegać znacznie później, gdy zostanie ona wydartą z rąk najmniej tolerancyjnej grupy. Drogi ku takiemu postawieniu sprawy są na pewno wyjątkowo skomplikowane. Zawierają latami rosnące sprzeczności pomiędzy różnymi programami politycznymi i personalnie między ludźmi. Pomimo to przykład sukcesów komunistycznych Frontów Ludowych powinien nas zmobilizować do akcji na rzecz wypracowania jednej taktyki i strategii politycznej.

Po pierwsze, należy stworzyć jednolity i zjednoczony front wszystkich ludzi, którym zależy na ostatecznej likwidacji antynarodowej i antysocjalistycznej konstelacji, istniejącej ciągle w Polsce.

Po drugie, platforma powyższego działania społecznego musi być najwyższej jakości. Idee i zadania muszą dominować nad koniunkturalnymi i wąskimi dążeniami grup.

Ktoś powie: niełatwa to sprawa, jeśli w ogóle możliwa do zrealizowania. Odpowiem na to krótko; sprawy ważne i zasadnicze urzeczywistniają się jedynie poprzez afirmację niepowo-

dzeń. Są też w swoich efektach wypadkową wielu działań często całkowicie ze sobą sprzecznych.

Myślę, że przykłady z najnowszej historii Polski jak: np. J. Piłsudskiego czy R. Dmowskiego mogłyby nas i dzisiaj, przynajmniej w zakresie działania, wiele nauczyć. Na czołowym miejscu umieścili myśl nadrzędną, ważną dla grupy której przewodzili: istniał wyraźnie sprecyzowany cel o który należało się ubiegać. Później dopiero podejmowali samo działanie, znaczone zresztą bardzo długą wieloma niepowodzeniami i klęskami. Te klęski i niepowodzenia z czasem wcale dobrze integrowały różne grupy polityczne zabiegające o niepodległość. Integrowały je na zasadzie jednolitego dążenia politycznego. Potrafiono uwypuklić nadrzędność motywów w różnorodnych postawach i założeniach politycznych.

Proponowany przez nas Front Ludowy mógłby w aspekcie techniki działania politycznego nawiązać do tej tradycji. Przyczynić się, by doświadczenia przeszłości — bez wzorców ideologicznych — budowały wzór autentycznej opozycji, nie skłóconej i rozbitej, chociaż wzajemnie kontrolującej się w działaniu. Samą zaś techniczną stronę tworzonego Frontu Ludowego — motywy walki i jej organizację — powinniśmy przenieść na wszystkie warstwy w społeczeństwie — obojętnie czy orientują się one na katolicyzm, neosocjalizm, antysocjalizm itp. Różnorodność ideologicznych pragnień i życzeń ludzi niechaj będzie przyjęta na rzecz jednej ideologii: likwidacji sowiezizmu w Polsce.

Potrzeba nam przy tym praktycznej umiejętności korzystania z wszelkich nadarzących się okazji, tak zewnętrznych jak i wewnętrznych. Czyli inaczej mówiąc, ogólne warunki międzynarodowe wraz z tendencjami odśrodkowymi wewnątrz tzw. wspólnoty socjalistycznej muszą zostać uwzględnione gdy będziemy przebudowywali koncepcje walki z komunizmem. Przebudowa ta powinna dotyczyć możliwości zachowania wielu platform działania, przy jednej obowiązującej dla wszystkich. Sytuacja międzynarodowa różnie oceniana oraz wiele sprzecznych dążeń muszą zostać ujęte w ramy pewnej dyscypliny politycznej.

Wieczne spory i swary o to co jest prawdą i słuszością w polityce, zdają się nie mieć sensu w świetle możliwości ustalenia jednej przyczyny obecnego złego stanu narodu polskiego.

Stwórzmy autentyczną siłę ludzi walczących o przyszłość nie tylko w imię swoich partykularnych ideologii. Zbudujmy podstawy i zaplecze społeczne z wszystkich ludzi, którzy na polu walki z sowiezizmem coś już osiągnęli.

Sądzę, że wielu członków partii poparłoby szeroki front antystrojowy. Nie przeceniając pewnych obserwacji można przecież stwierdzić, że w odczuciu opinii publicznej istniały np. w marcu 1968, duże różnice pomiędzy zachowaniem korpusu oficerskiego wojska a funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa. Ci pierwsi zdawali się sympatyzować z inteligencją. Dlaczegożby więc nie mieli być wciągnięci do wielowarstwowego i wielośrodkowego frontu nowej opozycji?

Taki front ludowy będzie w stanie przekroczyć punkt rozprawiania jedynie o opozycjonizmie.

Komuniści mają jeszcze w zapasie inne, bardzo fikcyjne, ciało: mianowicie tzw. Front Jedności Narodu. Czemu by i tutaj nie wykorzystać ich doświadczeń jak również praktyki społecznej wspólnoty grup w społeczeństwie globalnym. Powinniśmy przejąć od nich wszystkie te elementy organizacyjne, które, z punktu widzenia formalnego, pomyślnie przechodzą próby praktycznej jedności politycznej. O ile front ludowy spełniałby rolę swoistej nadbudowy ideologicznej to front narodowy powinien stanowić faktyczną bazę dla członków nowego typu opozycji.

Skoro obalenie systemu sowieckiego może się dokonać jedynie w oparciu o naród rosyjski, dlaczego już teraz, na emigracji, nie wyjść z prymitywnej zaściankowości nacjonalistycznej i nie stworzyć jakiejś formy uniwersalizmu narodów wschodnio-euroazjatyckich? Chyba umiemy wyjść poza sprawy graniczne jakże żywo przypominające swoją śmiesznością fredrowski MUR z „Zemsty”. Wówczas taki Front Jedności Narodowej może być nazwany inaczej. Powinien stać się jak najbardziej załączkiem jedności narodów, które spotkał ten sam los — sowiezizacja.

Należy również zaprzestać bazowania na jednych grupach i ośrodkach politycznych. Mniej wtedy zaznamy rozczarowań i niepowodzeń.

W przeciwnym wypadku, tak mi się wydaje, wejdziemy w stan chronicznej choroby opozycji antysowieckiej w Polsce, ubiegającej się jedynie o samo prawo istnienia. Będzie ona oscylowała pomiędzy zrywami rozpacz i emocjonalnymi wystąpieniami grup, warstw i klas, ale nigdy nie nabierze mocy i siły racjonalnego działania ogólnonarodowego. Leczymy zawczasu ten stan, zanim patologia opozycji nie przeniknie nas wszystkich, zanim zniszczy nasze myśli, dążenia, i szanse.

Aleksander ZABRZESKI

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIŃĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Wyobrażenia w koszu

Niedawno znany amerykański politolog, Hans Morgenthau, profesor dwóch uniwersytetów, jednego w Nowym Jorku (New York City University), a drugiego w Chicago (University of Chicago), wygłosił w Jeruzolimie prelekcję o wzajemnych stosunkach Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego i Chin, oraz o skutkach, jakie wynikają dla świata z owego współistnienia we trójkę. Chiny załatwił profesor krótko i odmownie: nie są one, jak dotąd, wbrew wejściu do ONZ, super-potęgą, wobec czego w gruncie rzeczy wszystko zależy nadal od dwóch tylko największych mocarstw. Podróż Nixona do Chin, a raczej jej zapowiedź — prelekcja miała bowiem miejsce wcześniej — profesor potraktował sardonicznie, przyznając jej wyłącznie rangę gestu i zapewniając, że poza spożyciem przez prezydenta Stanów Zjednoczonych kilku doskonałych posiłków (wiadomo, kuchnia chińska), w Pekinie nie stanie się nic, co mogłoby mieć naprawdę jakiegokolwiek znaczenie polityczne.

Ale na tym skończyła się wesołość, gdyż wszystko inne nie było wcale do śmiechu. Morgenthau naszkicował smętny obraz amerykańskiej strategii politycznej i jej kolejnych klęsk, w Europie i w Azji, od zakończenia drugiej wojny światowej. Nie ukrywał przy tym swej troski, choć obwijał w bawełnę niektóre fakty i wikłał się w sprzecznościach: że to w Europie ustąpiliśmy wprawdzie o wiele za dużo, ale jednak nie do końca, że z Azji wprawdzie się wycofujemy, ale jednak zostajemy itd. Kto oczekiwał chociażby ogólnych konturów jakiejś koncepcji, ten pomylił się z kretesem. Trzykwadransowa rejestracja kłopotów wskazywała właściwie jedyną od nich ucieczką — szantaż atomowy. Z niejaka melancholią profesor dowodził, że wygrana na światowej szachownicy zależeć będzie koniec końców od przewagi nuklearnej.

Morgenthau przybył z Tel-Awivu, gdzie toczyła się uprzednio przez szereg dni międzynarodowa konferencja, poświęcona infiltracji Związku Sowieckiego na Bliskim Wschodzie. Lecz w prak-

tyce obrady wyszły poza nakreślone ramy, biorąc na warsztat ogólną sowiecką strategię polityczną. W przeciwieństwie do Morgenthaua, wszyscy niemal uczestnicy konferencji twierdzili, że Chiny są centralnym problemem polityki sowieckiej i że dzisiejszy *status quo* nie zastężył definitywnie. Że chcąc za wszelką cenę utrzymać to co ma — Rosja nie myśli rezygnować z prób dostania więcej. Ustępuje — gdy węszy opór. Profesor Aleksander Dallin z uniwersytetu w Stanfordzie nie szczędził zatem gorzkich wymówek swemu rządowi: „Rosjanie — mówił uczony z Kalifornii — pytają sami siebie: czy Stany Zjednoczone są głupie czy złe? Nie wydają się brać pod uwagę, że mogą być one i głupie i złe”.

Rzeczy, które tu relacjonuję nie są nowe, ale jednak obserwujemy niemal codziennie, jak pod osłoną niezłomnego przeświadczenia polityków o wszechdecydującej roli współzawodnictwa atomowego, odbywa się na świecie wielki kontredans zainteresowanych stron, przy akompaniamencie rozpisanej na głosy melodii współistnienia. Lansadom i duserom nie ma końca, choć niewątpliwie w łonie obozu zachodniego wyróżnić w nich można pewne stopniowanie. Na dzień dzisiejszy przoduje więc w lansadach Francja, ale za to z fracuską gracją, z przekonaniem i z konsekwencją. *A propos* konsekwencji. Gdy czytałam u Bruckselczyka, w grudniowym numerze *Kultury*, o francuskich zarządzeniach policyjnych podczas wizyty Breżniewa, o przewożeniu na Korsykę i o obowiązku meldowania się w komisariatach (do Maisons-Laffitte włącznie) cudzoziemców, co do których można przewidywać, że za Breżniewem nie przepadają — nawiedziło mnie wspomnienie zgoła nie liryczne. Podobne akcje — zresztą aż do ekspulsji — stosowano niegdyś we Francji właśnie wobec obcokrajowców-komunistów. Ponieważ liczni spośród nich od dawna już wierzyć w komunizm przestali, wysnuwając stąd odpowiednie wnioski, Francja natomiast z nieustępliwością konsekwentną, ale godną lepszej sprawy, zamyka na to uszy, odmawiając im w wielu wypadkach, prawa pobytu czy azylu — narzuca się pytanie, której to właściwie postawy wobec ideologii i polityki komunistycznej nie może Francja owym ludziom przebaczyć: czy tej, że przed ćwierćwieczem byli za — czy tej, że dziś są przeciw.

W oparciu o wiarę w szantaż atomowy, przy dźwiękach współistnieniowego kontredansu, rozgrywa się zatem na naszych oczach walka o zamrożenie istniejącego podziału świata. Tworzy się nawet na Zachodzie cały kodeks, czy raczej *savoir-vivre* politycznego bezruchu, kierowany twardą zasadą, że zawsze lepiej nie-dowiedzia nie drażnić niż drażnić. Jednocześnie strategia polityczna odpisuje na straty setki milionów ludzi, pozostających po tamtej stronie, w krajach bloku sowieckiego. Złożeni na ofiarę współistnieniu — z każdym dniem mniej kogokolwiek obchodzą. Nie widzi się tego tak wyraźnie dopóki żyje się w Polsce. W kilka jednak lat po wyjeździe, obserwacje ostatniej fali emigrantów są w tym przedmiocie zbieżne.

Ton nadany przez kierowników naw państwowych i przez *establishment*'y podejmuje na ogół posłusznie prasa. W „Dzienniku pisanym nocą”, Herling-Grudziński przytacza na to przykład wymowny i wart powtórzenia w tym miejscu. Przyjechał więc do Florencji słynny czeski zespół teatralny Krejczy, ale bez samego Krejczy, którego na skutek „przewinień” z roku 1968 z Czechosłowacji nie wypuszczono. Zespół był pilnowany przez towarzyszących mu policjantów czeskich tak gorliwie, że dowódca strażniczej eskorty poprosił nawet o wyłączenie telefonów z pokojów hotelowych, zajmowanych przez aktorów i personel techniczny. Tak się też stało.

„Prasa włoska — czytamy dalej w *Dzienniku* Herlinga-Grudzińskiego — pomnie prawdopodobnie rzecz milczeniem. Co komu do tego, jakie są obyczaje przybyszów z egzotycznych krajów socjalistycznych? Egzotyzm jest tu słowem na miejscu, odbarwianym z każdym dniem gruntowniejszemu z domieszki protestu czy tylko oburzenia. Nie zdajemy sobie w pełni sprawy jak dalece rosnąca banalność takich incydentów, kwitowanie ich obojętnym jeśli nie pobłażliwym wzruszeniem ramion, wyraża zgodę 'wolnego świata' na wszystko co pochodzi 'stamtąd'”¹.

Dowiedziałam się niedawno, że wstrząsający podobno dokument filmowy o Czechosłowacji nie został dopuszczony na ekran francuskie — atakowany przez paryskich ekspertów jako „antykommunistyczny” i „antysowiecki”. Trudno nie przypomnieć w tym kontekście niby obiektywnego, a naprawdę fałszującego sposobu informowania przez niektóre gazety zachodnie o sprawach polskich ostatnich lat, o istotnym obliczu walki o władzę, o mazarowcach ochrzczonych eufemistycznie mianem „wschodzących sił”, o marcu, o grudniu, jak też o późniejszym obrocie spraw. Pisze mi jeden z przyjaciół paryskich (Francuz znający Polskę, nie żaden emigrant), że po ostatnim zjeździe PZPR periodyk paryski, mieniący się lewicowym, odmówił mu wydrukowania artykułu, w którym scharakteryzował najbliższych współpracowników Gierka oraz ich postawy w okresie marcowym. Austriacka *Die Presse* oznajmia wszem wobec, że w Polsce dokonuje się oto prawdziwa liberalizacja, przy czym organ bierze na świadka samego Bohdana Czeskę. Niechże myślą zachodni czytelnicy, iż to co dzieje się w krajach wschodnich zmierza spontanicznie i harmonijnie ku nowym Wiosnom i nowym Październikom!

To wszystko działa tym silniej na tak zwaną szeroką publiczność. Jej oderwanie od tamtego świata sięga więc często zenitu. Każdy z nas, emigrantów ostatniego rzutu, mógłby sporządzić zbiorek ilustrujący to zjawisko. Oto pewna Szwedka (w średnim wieku, z dyplomem uniwersyteckim), dowiedziawszy się, iż polski przybysz przeżył wraz z żoną wojnę w Kazachstanie, pyta, rozemocjonowana turystycznie: „Ach tak? I jakżeż państwo spędzili tam czas?” Amsterdamczyk (także w średnim wieku i także

1. *Kultura*, grudzień 1971.

z dyplomem szkoły wyższej) zachodzi w głowę: „Jaki właściwie związek miał pakt sowiecko-niemiecki z wybuchem wojny?” Student z Montrealu wręcz strofuje: „Dlaczego studenci warszawscy nie zaskarżyli w marcu rektora do sądu?”

Po pierwszym odruchu pustego śmiechu ogarnia nas bezradność. Jak tu cokolwiek wyjaśniać, skoro stoi się na przeciwnych krańcach *takiej* przepaści?

W swoim czasie, w Paryżu, oglądałam znany film, „Zet”, przedstawiający, jak pamiętamy, z dużą werwą mechanizm prowokacji politycznej. Potem rozmawiałam na temat filmu z wieloma osobami. Ponieważ „bliższa ciału koszula”, nie to mnie uderzyło, że moi francuscy rozmówcy odnajdywali w akcji filmu przede wszystkim analogie z wypadkami majowymi 1968 roku we Francji. Zafrapowało jednak to, że moje uwagi o analogiach z krajo-brazem politycznym krajów wschodnich skwitowano neutralnym, powiedzmy, zdziwieniem... Rzecz, według mnie, niezmiernie interesującą, byłoby przeprowadzenie ankiety, która miałaby na celu zdobycie odpowiedzi na pytania, kto wstrzymał oddech wyczuwając się w Sołżenicyna, komu książka Nadieжды Mandelsztam spędzała sen z powiek, kto czeka z oburzeniem i niepokojem na wszelkie wieści, czy ułamki wieści, o losach Danielów, Siniawskich, Amalrików, Jakirów, Bukowskich? (umyślnie przytaczam przykłady rosyjskie, jako najbardziej w opinii Zachodu uniwersalne).

Izolacjonizm wydaje się zarażać również zachodnich intelektualistów. Uosabiający — tradycyjnie — sumienie społeczne, silniej niż inni „unerwieni” i wyczuleni na sytuacje alarmowe, obdarzeni ostrzejszą wyobraźnią — ulegają bezwładowi i oni. Jeśli sądzić z tego, co przenika na zewnątrz, zwalniana się i oni z odpowiedzialności.

Jeszcze gdy zdarzy się coś nieoczekiwanego, gdy np. wyjdzie na jaw, że Kuba nie może służyć za socjalistyczny model do naśladowania (o czym śnili niektórzy), albowiem sama naśladuje metody sowieckie w „urządzaniu” intelektualistów opozycyjnych; jeszcze w sprawach związanych ze sztandarowymi nazwiskami, gdy np. ofiarą represji padają sławni artyści — jeszcze wtedy ewentualnie posyła się listy, a pod protestami lub petycjami zjawia się kilkanaście czy kilkadziesiąt podpisów. Jednak na co dzień intelektualści Zachodu wchodzą bez szemrania w grę taktyk oficjalnych. Obywatele krajów, w których za słowa czy działania, diametralnie nawet sprzeczne z polityką rządów, nie grozi na ogół więzienie, szpital dla obłąkanych ani deportacja — stosują posłusznie pragmatyczną zasadę polityków: jeśli w danym okresie nie da się nic konkretnie zrobić — lepiej zanadto nie szumieć. Nie wytrącają ich więc z duchowej równowagi chroniczne — czasem tylko eksplodujące — udręki krajów tamtego bloku, skoro, jak sądzą, tyle samo można na nie poradzić, ile na zagłodzenie Biafry lub bezustanne, od niepamiętnej daty, umieranie Wietnamczyków. Swoje tradycje i możliwości jako *grupy nacisku* zamienili na święty spokój. Sumienie odłożyli do szuflady. I to wtedy

właśnie, kiedy rodzi się i rośnie nacisk w Związku Sowieckim, a więc tam, gdzie najwęższy odruch protestu wiąże się z ryzykiem fizycznej utraty wolności na lata.

Można zareplikować, że nacisk intelektualistów nigdy w historii niczego definitywnie nie załatwił. To prawda. Ale w różnych okresach wtrącali się uparcie do setek spraw, mieszały szyki, działali na opinię, pobudzali opór. Przede wszystkim zaś nie rozbrajali się już w założeniu, nie rozgrzeszali z urzędu, i własne klęski nazywali własnymi klęskami. Kiedy zaś nastawały katastrofy, gdy waliły się rządy i państwa, gdy ster władzy przechodził w ręce narzucone przez wrogów lub w ręce zbrodniarzy — intelektualiści dorastali do przejmowania duchowego przewodnictwa w swych społeczeństwach. Taką funkcję spełniał w okupowanej Francji *Conseil National de la Résistance*, skupiający — wśród innych — wielu uczonych, myślicieli i pisarzy. Taką rolę w stosunku do hitlerowskich Niemiec odegrali intelektualiści-emigranci. Rzecz zresztą znamienita, że głos intelektualistów jako nieprzekupnych i nie schlebających inspiratorów narodowych sumień słychać dziś właśnie tam, gdzie masowa deprawacja jest lub była zasadą rządzenia. W Rosji — nazwiska niepotrzebne.

Kilka słów o zachodnich intelektualistach komunistycznych. Nie o tych co udają że nie wiedzą, lecz o tych co dawno przejeżdżali. O „odwilżowcach” i buntownikach — na użytek prywatny. Ich wkład w ponurą mistyfikację jest nadal potężny. Rozumiejąc doskonale, że sowiecki „socjalizm” nie stracił waloru atrakcyjnego dla licznych wciąż warstw ludzkich w ich krajach, w imię lokalnych, wewnątrz krajowych interesów swych partii groźnego mitu XX wieku nie demaskują. Jednym czy drugim wystąpieniem krytycznym w stosunku do fragmentów kłamstwa — nie burzą go jako całości. Slogan „nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych krajów” służy im do krycia bezprawia. Sloganu o „odrębnych drogach do socjalizmu” używają do wyjaśniania, że ustrój sowiecki wyglądałby całkiem inaczej we Francji czy Anglii, niż wygląda w Rosji, gdyż to co dobre dla Rosji — nie będzie dobre dla Francji i Anglii. A więc nowe kłamstwo. Jeśli bowiem sowiecki „socjalizm” nie byłby na pewno odpowiedni dla Francuzów i Anglików, tak samo jak nie jest odpowiedni dla Polaków, Czechów ani Węgrów, to któż przytomny mógłby sądzić, iż system, operujący przez długie dziesięciolecia, jako metodą codzienną, milionami aresztów, tortur i mordów — pasuje dla Rosjan lub Ukraińców.

Nadieżda Mandelsztam pisze:

„Gdy widzę książki rozmaitych Aragonów, pragnących pomóc swym krajom i nauczyć je żyć tak jak my, sądzę, że i ja powinnam opowiedzieć o swych doświadczeniach. Dla jakiej idei niezbędne było wysyłanie niekończących się pociągów z katorżnikami na Daleki Wschód, a wśród nich człowieka, który był mi drogi?”².

Ale Aragon, wiedzący już dawno Aragon, poruszając sprawę samobójstwa, popełnionego w Czechosłowacji przez 15-letniego syna poety Nezvala, samobójstwa zatajonego przez rząd i prasę, gdyż było ono następstwem czeskiej tragedii — pyta w roku pańskim 1971:

„Czy podobna rzecz jest możliwa w kraju socjalistycznym? I to w kraju Nezvala, piewcy komunistycznej przyszłości? Niczego bardziej sobie nie życzę, niż zaprzeczenia”.

Jeszcze Nadieżda Mandelsztam. Opowiada o nadziei Osipa Mandelsztama, że przybyły z wizytą do Moskwy Romain Rolland będzie interweniować u Stalina w sprawie jego ułaskawienia. I komentuje:

„O. M. nie mógł i nie chciał wierzyć, że zawodowi humaniści nie interesują się losem poszczególnych osób, lecz tylko ogólnie losem ludzkości. W jego bezwyjściowej sytuacji imię Romain Rollanda uosabiało jedyną nadzieję... „Gwoli sprawiedliwości trzeba w związku z Romainem Rollandem powiedzieć, że podczas swego pobytu w Moskwie uzyskał on ulgi dla więźniów wmieszanych w „afere słownikową”. Tak przynajmniej mówiono. Nie zmienia to jednak w niczym mego zdania o „zawodowych” humanistach. Prawdziwy humanizm nie zna granic i wstawia się za każdym”.

Rozróżnienia tego nie potrafią przezwyciężyć do dnia dzisiejszego zachodni intelektualiści komunistyczni, spotykając się zresztą w tym punkcie z „Nową Lewicą”. W ogóle lewica stara i nowa wewnętrznie skłócone, umieściły się za to z dużą zgodliwością w jednolitym froncie głuchoty na ludzkie sprawy tamtej strefy. Pomaga w tym niewątpliwie znana upartość stereotypów. Niech się tam dzieje co chce — Związek Sowiecki jest jednak na lewo! Zbyt ostra krytyka tamtej strefy równa się „podżeganiu”, nawiązuje do „zimnej wojny”.

I tak zamyka się następny krok obojętności doskonałej.

Wreszcie młodzież. Problemu, tak przetrząsanego dziś na świecie, dotykam tu zupełnie wyrywkowo, tylko w punktach przylegających do mego tematu. W Berlinie Zachodnim, więc na skraju obu światów, widziałam małą księgarnię, wyspecjalizowaną w dziełach proroków różnych lewic, w dużej większości tych polecanych, ale także tych zakazanych tuż tuż za murem. Sąsiedowali więc na półkach Lenin z Bucharinem, Stalin z Trockim, Lassalle z Mao, a Bebel z małą, świeżo wydaną broszurką, tłumaczoną z rosyjskiego i głoszącą płomienną obronę Stalina przed świętokradcami i heretykami co pamięć Jego (z dużej litery) szkalują. W ciasnym lokaliku tłoczyli się chłopcy i dziewczyny, z wypiekami na twarzach, wertując książki i pisma, wyrwijając je sobie, głośno debatując, zasypując sprzedawcę prośbami o coraz to coś nowego. „Czy szukają tu tylko źródłowej wiedzy, tekstów, dokumentacji z pierwszej ręki” — pytałam towarzyszących nam pracowników Uniwersytetu berlińskiego. „Ależ nie — mówili — szukają nowych sposobów i nowych modeli”. „Jak to nowych? Przecież pod bokiem mają 'model', odwołujący się do

2. Cytowane w recenzji M. Brońskiego, *Kultura*, czerwiec 1971.

większości tych źródeł i recept". „Uważają — brzmiała odpowiedź — że dopiero oni zbudują ustrój naprawdę zgodny z Biblią"... A więc znów to samo: chcą czegoś nowego, innego, ale prąd zmywa im grunt spod nóg i ściąga w stare miejsca. Lecz wciąż wierzą, że odnowią, zmieniają, że *zrobią to lepiej*...

W doraźnej bezradności, ześlizgują się ku groteskowej ortodoksji. Kilka dni przed moją wizytą w księgarni, w jednym z instytutów uniwersyteckich, studenci demonstrowali przeciw profesorowi, który napisał niedość dla nich radykalny artykuł w sprawie uniwersyteckiej reformy. Pod adresem profesora (żywiącego zresztą, jak na ironię, przekonania lewicowe) padały epitety zgola niewybredne. Temperatura wzrastała błyskawicznie, aż któryś ze studentów, wśród istnej licytacji pomysłów, rzucił rewolucyjną propozycję, żeby profesora wyrzucić przez okno. Wtedy opamiętał się inny student i wezwał zebranych do umiarkowania i rozsądku. Posłuchajmy jak argumentował umiarkowany przeciwnik defenestracji: „Sytuacja polityczna *nie dojrzała, niestety, na tyle*, by można profesora (X) wyrzucić przez okno”.

Wypada więc wrócić do tego od czego zaczęłam — i powtórzyć, że układ sił między super-mocarstwami wcale nie zastępył definitywnie. Jasne dziś jak na dłoni, że stalinizm nie był ostatnim stadium sowieckiego imperializmu. Ogromna rozbudowa floty sowieckiej, jej obecność na Morzu Śródziemnym, jej wejście na Ocean Indyjski, Bliski Wschód, Północną Afrykę, kraje Ameryki Łacińskiej, wreszcie konstelacja wynikła z konfliktu indyjsko-pakistańskiego, to tylko przykłady skutecznej infiltracji sowieckiej tam, gdzie stosunkowo niedawno — jeśli mierzyć czas skalą historyczną — jeszcze nie sięgała. A czyż za absurd uważać należy ewentualność, że na skutek afery z Malcią, okręty sowieckie mogłyby się zakotwiczyć w jej głównym porcie, a więc jakże blisko wybrzeży włoskich? Przy tym w odróżnieniu od innych ekspansji sowiecka uchodzi do dzisiaj za siłę oswobodzicielską — co dobrze wiadomo i co wyżej podkreślałam — w oczach szerokich odłamów społecznych w wielu krajach. Zakładając więc można, że w razie kolejnych jej awansów, ich rękami będzie wspierana i niesiona. Występuje to jeszcze o wiele wyraźniej w Trzecim Świecie. Wprawdzie gdy „oswobodziciel” sowiecki staje już silną stopą na zdobyczym terenie, sam się swymi działaniami demaskuje — ale bielmo z oczu jego uprzednich zwolenników spada zwykle zbyt późno. Z najnowszych czasów można by przytoczyć przykłady kilku takich spóźnionych ocknięć. Nie były słodkie.

Skoro się więc obserwuje postępy zaborczego mechanizmu, narzuca się pytanie, skąd ta niezmacona pewność wśród naszych zachodnich izolacjonistów, że to co dotychczas udaje się im — mianowicie utrzymywanie się od groźnej, pracującej naprzód maszyny we wciąż jeszcze bezpiecznej odległości — uda się także na pewno w najbliższej przyszłości. Jeśli o takiej możliwości nie myślą — znaczy to, że nie tylko sumienie włożyli do szuflady, ale że wyrzucili również do kosza wyobraźnię polityczną.

Brak wyobraźni politycznej przejawia się zresztą nie tylko w zaufaniu do jedynowładztwa szantażu atomowego, ale także w lekceważeniu faktu, iż blok sowiecki potrzebuje współlistnienia w równym stopniu co Zachód. Jedna z przesłanek większej czy mniejszej „plastyczności” tamtego systemu — by użyć terminu Kołakowskiego, wynika także z silniejszej dzisiaj niż kiedyś wzajemnej przenikalności obu bloków, wskutek czego Związek Sowiecki liczy się dziś, mimo wszystko, bardziej niż dawniej, z ocenami i poglądami zewnętrznymi. Jest więc miejsce na nacisk polityczny — nie widać tylko sił społecznych ani grup intelektualnych, gotowych do organizowania takiego nacisku, czy to bezpośrednio, czy poprzez presję, wywieraną na własne rządy celem powstrzymania ich od ciągłej ustępliwości.

Na razie bowiem — jak widzieliśmy — rozbrojenie polityczne postępuje. Rządy i *establishment*'y zachodnie emablują groźnego partnera, pozwalając mu na coraz więcej. Prasa w swojej większości albo wtóruje, albo w każdym razie nie mąci olimpijskiego spokoju pod atomowym niebem. Szeroka publiczność coraz mniej wie. Intelktualiści wiedzą, ale nie mówią, czyli — niewierni swym tradycjom — innym w dowiadywaniu się nie pomagają. Za to komuniści-odwilżowcy wciąż czują się wierni czemuś, co nie istnieje. „Nowo-lewicowcy” cały impet kierują na wewnątrz, praktykując na zewnątrz, jak inni, współlistnieniowy konformizm. Panorama zachodniego izolacjonizmu stanowczo nie nastroja różowo.

Sprzed wojny, z roku 1939, przypomina się hasło, ukute przez ówczesnych izolacjonistów: „Nie chcemy umierać za Gdańsk!”. Historia chciała inaczej — lecz nie o to na tym miejscu chodzi: chodzi o to, że dziś rozrosły się kręgi ludzi, którym ani Gdańsk roku 1970 ani Praga roku 1968 nie zdołały zakłócić nawet poobiedniej drzemki.

Kamila CHYLIŃSKA

“POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

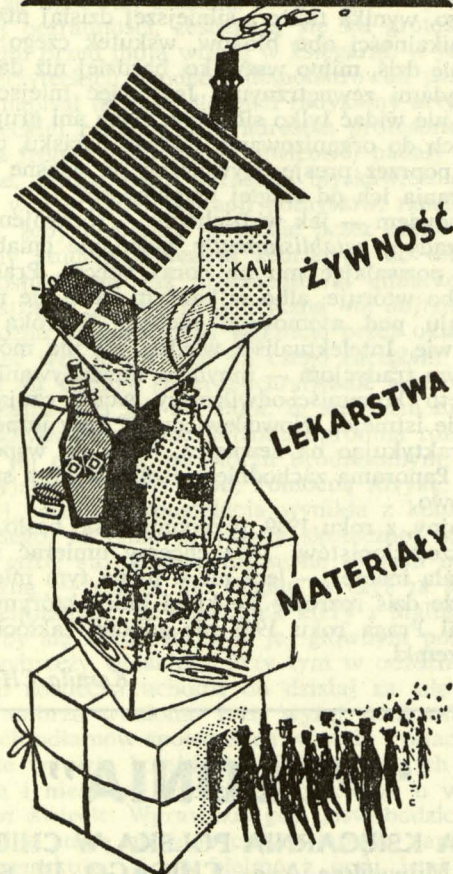
Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

NAJWIĘSZY POLSKI DOM WYŚLĄKOWY



TAZAB
22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4160

Hipertownicy

Opowiadanie

Jestem młody. Chcę żyć. Niech inni tworzą arcydzieła. Nie jestem żadnym „bojownikiem za lud”. Jestem, jak to u nas się mówi, postępowym członkiem Związku Pisarzy Sowieckich. Muszę zaznaczyć, że już zdążyłem się wybić. Gdy toczy się mowa o osiągnięciach sowieckiego dramaturgii, moje nazwisko wymieniane jest na szóstym miejscu. Na naradach w Ministerstwie Kultury w sprawie zagadnienia pozytywnego bohatera, moja sztuka „Jutrzenka nad Uralem” zajęła trzecie miejsce. Sztuka ta przetrzała się z jednego teatru do drugiego niczym zaraźliwa choroba. Publiczność wali masowo. Bo co z sobą zrobić wieczorem, zwłaszcza w zimie, jeżeli w domu w najlepszym wypadku wypada na łeb osiem metrów kwadratowych powierzchni życiowej, z czego jedną trzecią zajmuje ciasna kuchenka. Lecą procenty. Półtora procenta od wpływów. Niedawno zmniejszyli. Ale i tak, w naszej skali, jestem człowiekiem bogatym.

I kłamię, kłamię bez przerwy, łżę, że tak powiem, jednym tchem. W sztukach także kłamię. Właśnie przede wszystkim w sztukach. Ale także i w życiu, na każdym kroku, dosłownie na każdym. O przykłady nie trudno.

Przed kilkoma tygodniami wpadłem wieczorkiem do restauracji „Nacjonal”, nie, nie do kawiarni — do restauracji, wiecie, na drugim piętrze. Tam zazwyczaj przychodzą cudzoziemcy, więc atmosfera jest przyzwoitsza niż w innych moskiewskich „jadłodajniach”. Obserwuję. Za byle co, różnych tam darmozjadów i rozrabiaczy wyrzucają na ulicę.

Była ze mną Kuka, dziewczynka z teatru Wachtangowa. Miłutka. Usiedliśmy za stołem, zamówiliśmy rybną sałatkę, dwa

antrykoty i karafkę „Stołecznej”. Naprzeciw, przy tym samym stole siedział cudzoziemiec. Od razu go określiłem — *Yankes*. Wysoki, cienki nos, duży pierścionek na małym palcu. Żuł jakiegoś sznycła. Tych turystów tutaj odżywiają na podstawie przedstawionych kuponów. Na tym nie utyjesz. Rozglądał się po sali, więc pomyślałem, że *mister* najwyraźniej nudzi się. No, ale przecież rozumiecie — nie bardzo zaleca się wszczynać rozmowę z cudzoziemcem, a do tego *Yankesem*. (A jeżeli należy do C.I.A.?)

I mimo wszystko, Kuka, narwaniec, niemal „bojownicza za lud”, amatorka robienia akurat tego co nie jest zalecone, zaczęła z nim mówić i do tego po angielsku. Ujawniła tym dodatkowy talent. Nie miałem pojęcia, że tak biegle trajkocze w imperialistycznym języku. Mówiąc nawiasem, obecnie podejrzewam że dziewczuszka z takim dodatkowym uzdolnieniem musi mieć coś wspólnego z KGB.

I właśnie ten sam *Yankes*, kto go wie, czy nie z C.I.A., nagle mnie zapytał:

— A gdzieście kupili ten garnitur?

Garnitur? „Jechał na jarmark zuchowaty kupiec...”. Cóż mu na to miałem odpowiedzieć? Przecież taki drobiazg: garnitur. I właśnie zełgałem. Tak, tak, zełgałem. Powiedziałem, że kupiłem go w GUM-ie. Dziewczynka przetłumaczyła. *Yankes* spojrział na mnie bardzo smutnym wzrokiem i powiedział:

— Jestem w Moskwie od tygodnia. Codziennie odwiedzam wszystkie wielkie sklepy i zakłady krawieckie. Takich garniturów nigdzie jeszcze nie widziałem. Przepraszam, to jest moja specjalność. Jestem właścicielem fabryki garderoby w Filadelfii.

Natychmiast mi ulżyło. Nie należy do C.I.A. Krawiec. Ale mimo wszystko wpadłem we wnyki. *Yankes* z Filadelfii złapał mnie na kłamstwie. Ale czyż mogłem zachować się inaczej? Pytam was, czy mogłem zachować się inaczej. Przecież gdybym choćby zaczął o *historię* mego niebieskiego, eleganckiego garnituru, byłoby to... zupełnie tak samo, jak gdybym zdradził przed wrogiem wojskową tajemnicę, zupełnie jak gdybym zdradził najwyższe interesy Partii, do której należę, to byłoby równoznaczne z kontrewolucyjnym aktem.

Ze co? Pragniecie poznać historię mego niebieskiego, eleganckiego garnituru? Słuchajcie, to wcale nie oryginalny, a przy tym zanadto ryzykowny temat. Co? Ze wszystko zostanie między nami? M-m-m... No, dobrze, załóżmy, że mam do was zaufanie.

I z charakteru i z urodzenia nie jestem żadnym bananowcem. Chociaż, co prawda, kiedyś nim byłem. Ale po ukazaniu się w *Prawdzie* pozytywnej recenzji z mojej sztuki „Palimy się” (to na temat pracy straży ogniowych), koryfeusz sowieckiej dramaturgii, Anatol Mdiwanskij, zaprosił mnie do swego „haremu”

— tak nazywa się jego willa w Pieriedielkinie — i udzielił kilku *epokowych* rad. Jedna z nich dotyczyła sposobu ubierania się. Mdiwanskij, który sam zawsze jest ubrany jak z igły, taki, można powiedzieć, sowiecki fircyk, oświadczył mi, że dramaturg musi nosić się elegancko, że nie wolno kupować gotowych garniturów, należy je zamawiać *wyłącznie* u Suudara, Natirki i Żurawskiego. Tylko u nich. I właśnie wtedy dowiedziałem się o istnieniu tych trzech krawców. Zaledwie trzech na całą Moskwę. Mam na myśli Moskwę literacką. Ta trójka obsługuje zresztą także artystów, muzyków i filmowców, krótko mówiąc, całą artystyczną inteligencję stolicy. Trzech. To niewielu.

Mdiwanskij opowiedział mi bardzo ogólnie życiorysy tej *wspañiałej* trójki. Suudar, najmłodszy z nich — to Estończyk, Natirka — Żyd, Żurawski — Polak. Wszyscy — z *Zachodu*. Cóż to znaczy? Kiedyśmy częściowo „wyzwolili” Polskę i Besarabię, zdaje się, w 1939 roku, a następnie także Estonię, ale już całkowicie, ci trzej znaleźli się pod sowiecką kontrolą. Nie od razu zdołali się zaklimatyzować. Ale coż mieli robić? Może rzucić się na bagnety Czerwonej Armii? Więc jeden po drugim przedostali się, naturalnie do Moskwy. Jakoś zdołali uzyskać prawo pobytu i urządzili się w państwowych zakładach krawieckich, jak to u nas nazywa się — *atelier indywidualnego szycia*. Mdiwanskij powiedział mi, że nazwę tę wymyślił wybitny, sowiecki autor komediiowy z lat trzydziestych, Szkwarkin.

— W tych atelier indywidualnej obsługi — dodał Mdiwanskij — doszli do mistrzostwa w szyciu indywidualnych *worków*.

No, więc tak... Wszyscy oni, prócz Andriusa Suudara-juniora, już dochodzą do siedemdziesiątki; pracują w różnych uprzywilejowanych atelier, w śródmieściu Moskwy, rozumie się. Wszyscy są krojczykami na stałej pensji, a jednocześnie wszyscy przyjmują robotę „na lewo”. Cóż to znaczy? Bardzo prosta sprawa.

Przychodzicie, na przykład, do atelier Artystycznego Funduszu ZSSR, do Natirki. Ręce już mu się trzęsą, ale bierze z was miarę i, jeżeli nie macie z nim *lewych* stosunków, to po dwóch albo trzech miesiącach otrzymujecie *worek*, skrojony przez Natirkę. Ale jeżeli osobiście wręczycie mu 250 rubli, poza urzędową taryfą, to po pierwsze, przyjdziecie do miary cztery, albo pięć razy, po drugie, podszewka będzie pierwsza klasa, guziki z perłowej masy i w ogóle po tych samych dwóch czy trzech miesiącach otrzymacie nie garnitur, lecz prawdziwy *cukierek*. Wszyscy będą z zachwytem przyglądać się waszemu garniturowi i pytać, kto szył — Natirka, czy Żurawski? Wszyscy będą wam zazdrościć i od razu wyskoczą ponad ogólny poziom i

zaczną was zaliczać do *elity*, ponieważ tylko wybrańcom udaje się zostać klientami tej wspaniałej trójki.

Oczywista, jest to sposób, stosowany nieprawnie, ale absolutnie wszyscy o nim wiedzą, tak że jest już on *ponad* prawem.

Mdiwanskij, ten czarodziej i mędrzec sowieckiego dramato-pisarstwa, ma pełną rację. Jeżeli zjawicie się, czy to w Teatrze Małym, czy w MCHAT-ie, w garniturze uszytym przez Suudara, to macie pełne szanse, że wasza sztuka zostanie przyjęta, zanim zostanie przeczytana na zebraniu kolektywu.

Mdiwanskij powiedział mi drapiąc się po tłustej szyi:

— Palto musi być koniecznie ze srebrzystego materiału. A futrzana czapka na zimę bezwzględnie z białego karakułu.

Poza tym, Mdiwanskij zapewnił mnie, że bardzo zaleca się dawanie napiwków (choć to nie jest zgodne z moralnością socjalistyczną) woźnym w Ministerstwie Kultury, w SSP, w Domu Pisarzy, w Domu Filmowców, w teatrach, słowem wszędzie, a jeżeli nie ma woźnych, to tym, co pracują w szatniach. I obecnie należy dawać co najmniej pięćdziesiąt kopiejek.

— Sława — powiedział Mdiwanskij z głęboką rozważą — zależy od chamów.

Jako „młodzik”, przyjąłem rady mędrca i czarodzieja z wdzięcznością. Zagraliśmy partyjkę w bilard i tylko tyle. Praktycznej pomocy nawet *sam* Mdiwanskij nie mógł mi udzielić. Mam na myśli trzech krawców. Są na tyle „przeładowani”, że niejedyn z ważnych musi czekać w kolejce rok, albo dwa. Nawet rekomendacje z najwyższej góry nie działają. Nawet obietnica dodatkowego honorarium nie zmieni sytuacji, ponieważ wszyscy trzej są już od dawna milionerami i pieniędzy nie potrzebują.

I tak oto powstało przede mną nowe zadanie: za wszelką cenę, dla dobra mojej literackiej kariery, a tym samym dla dobra sowieckiego dramato-pisarstwa, należało znaleźć drogę do krawieckiego serca jednego ze wspaniałej trójki.

Znalazłem tę drogę. Powiem uczciwie — dzięki przypadkowi.

Dwa lata temu pojechałem na wakacje do Koktebiela. Miejscowość ta, jak mawiają dowcipnie mieszkańcy Krymu, została rozstawiona przez pisarzy i szybowce, ponieważ znajduje się tam Dom Twórców Literackiego Funduszu ZSSR i tam również odbywają się co roku zawody szybowcowe. Nieźle sobie skojarzenie! Krytyk, Grzesz Borzych, zauważył kiedyś jadłowicie, że jedni i drudzy specjalizują się w braniu *wirazów*.

Zaraz pierwszego dnia udałem się na plażę. W sierpniu słońce tutaj zanadto nie przypieka. Patrę — pod płóciennym parasolem siedzi jakiś typ, tak na oko ze trzydzieści pięć lat, blondyn, w kąpielówkach w niebieskie paski. Nawet poczułem „kla-

sowy” wstrząs. Wydało mi się, że spodenki są uszyte z amerykańskiej narodowej flagi. Zatrzymałem się i usiadłem na rozsuwanym krześle, także pod parasolem. Facet miał modne, ciemne okulary, na przegubie widniał masywny, złoty zegarek. Miał kręjące się włosy. Na kolanach trzymał ostentacyjnie zagraniczne czasopismo. Wstrząsnęło mną po raz drugi. Wydało mi się, że to był *Life*. Skądinąd jednak wiedziałem, że cudzoziemców nie dopuszcza się do Koktebiela.

Odkaslnąłem i zapytałem nieznanego:

— Chowacie się przed słońcem?

— Ze jak?

Dlaczego wymawia „zet”, zamiast „żet”? Dziecko udaje, czy co?

— Ze jak? — powtórzył facet naturalnym tonem.

Zrozumiałem, że musi mieć wadę wymowy, albo, być może, pochodzi z Bałtów.

Powtórzyłem pytanie.

— Dlaczego chowacie się przed słońcem?

Facet odpowiedział:

— Mam hipertonię.

Zadziwiająco. To ci zbieg okoliczności! Ja także mam hipertonię. Zwiększone ciśnienie krwi. Miałem to, mam i na pewno będę miał nadal. Choroba stulecia. Wśród „bojowników o lud” jest to zjawisko epidemiczne, ale zdarza się i wśród nas, postępowych członków Związku Pisarzy Sowieckich. Niestety, lekarze-bałaganiarze w żaden sposób nie mogą wykryć prawdziwych przyczyn tego niedomagania. Niektórzy twierdzą, że chodzi o podkład seksualny, a inni, że chodzi o podkład społeczny.

Między mną i nieznanym facetem odbyła się następująca rozmowa:

— Ja także mam nadciśnienie. Ile macie?

— Sto dziewięćdziesiąt pięć. To najwyższy pałap.

— A najmniej?

— Sto.

— M-m-m-m-m...

— A wy?

Sto osiemdziesiąt pięć. Najwyżej.

— A najniżej?

— Sto dziesięć.

— O-o-o-o-o...

— Jakie przyjmujecie lekarstwa?

— Recerpinę. A wy co?

— Aldometrynę. Słyszeliście?

— Słyszałem.

— Próbowaliście terapię przy pomocy ukłuć?

- Próbowałem.
- I co?
- E-e-e-e...
- Granaty?
- Próbowałem.
- I co?
- A-a-a-a...
- A pszczoły?
- Jakie pscoły?
- Pszczoły. Słyszeliście?
- Pscoły? Nie.
- Całkiem poważnie.
- Połyka się? Zywcem?
- Cóż znowu! Pszczoły tną i należy się temu poddawać.

Zaczyna się od jednej i dochodzi do trzydziestu. A potem zmniejsza się od trzydziestu do jednej.

Nieznajomy zagwizdał i zapytał:

- Wyście próbowali?
- Próbowałem.
- I co?
- Bardzo przyjemne zajęcie. Zwłaszcza gdy chodzi o pisarzy. Trucizna pszczelich ukłuc dostarcza ładunku optymizmu.
- Czyby?
- Fakt.
- A jak z ciśnieniem?
- U niektórych zmniejsza się.
- A u was?
- Zwiększyło się.

W tej samej chwili wyminął nas prozaik Grigorij Arbuzo-Piersidskij. Miał na sobie szlafrok liliowej barwy i korkowy hełm, przywieziony z Indyj. Z pełnym szacunku uśmiechem Arbuzo-Piersidskij zwrócił się do faceta:

— Dzień dobry, Andrusie Illimarowiczu!

Tuż po nim przebiegł koło nas, z piłką do gry w siatkówkę, satyryk, Właden Strujkin, i, przebiegając, zawołał:

— Sława *hosudarowi!*

Wtedy zrozumiałem, że ten nieznany facet to Andrus Suudar-junior. Zarazem zrozumiałem, że sam Bóg mi go zesłał, z tą jego hipertonią i zabawną estońską wymową. Więc z najwyższym zapętem zacząłem mu opowiadać, że największe niebezpieczeństwo dla nas, hipertoniców, stanowią *zatwardzenia*.

Suudar-junior, przezwany „Hosudarem”, był synem Illimara Suudara, który już umarł, ale przekazał, że tak powiem, „interes” synowi. A syn stał się jeszcze słynniejszy od ojca. Jednakże nigdy go nie widziałem i jedynie mogłem marzyć, że kiedyś go

poznam. Opowiadano mi, że jest zawołanym czytelnikiem i znawcą książek, że w jego nowym, czteropokojowym mieszkaniu spółdzielczym na Sokole stoi olbrzymia lodówka firmy „General Motors” i że zbudowany został specjalny bar, w którym przygotowuje cocktaile. A „Wołga”, jaką posiada Suudar, odznacza się, jak się zdaje, tym że dach jest czarnego koloru, zaś nadwozie barwy słoniowej kości.

Uczciwie mówiąc, Andrus sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Nawet był ładny. Prawda, ruchy miał z lekka ociężałe i oczy umiejscowione zbyt blisko. Czasopismo, które trzymał na kolanach, okazało się, przy bliższym zbadaniu, żurnalem mody. Powiedziałbym, że Andrus ze znanstwem rozprawiał na literackie tematy, takiego tytana pióra, jak Aleksandr Burakow, nazywał Saszką, a poetę Wiaziemskiego, po prostu „Wiaźmą”.

Tak więc Andrus Suudar znajdował się „na wczasach” w naszym literackim Domu Twórców. Przyjechał poprzedniego dnia i dlatego wiadomość o nim jeszcze do mnie nie dotarła. Podkreślić muszę, że zdobyć skierowanie do Domu Twórców w Koktebielu, w sierpniu, było diabelnie trudne nawet dla takiego postępowego członka Związku Pisarzy Sowieckich, jak ja; Suudarowi, naturalnie, wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna.

Pojawszy, że to spotkanie z samą Fortuną, zacząłem, jak już się rzekło, z zapałem udowadniać, że przy hipertonii najbardziej niebezpieczne jest zatwardzenie. Andrus nie oponował. Zalecił mi stary, tradycyjny sposób: wywar z „sarnośliwu”. Ze swojej strony radziłem mu na czczo szklanek nieprzegotowanej wody. Wzruszył ramionami.

— Cóż znowu! — powiedziała. — A jeżeli w nieprzegotowanej wodzie znajduje się bakcyl cholery?

Nie miałem tu nic do powiedzenia, więc przeskoczyłem na ulubiony temat wszystkich młodych i starszych hipertoniców: na życie erotyczne. Dla nas, młodych hipertoniców, to zagadnienie wręcz tragiczne. Należy je postawić w następujący sposób: Czy wolno używać życia, czy nie. Po reakcjach „Hosudara” zorientowałem się, że jest zwolennikiem *używania życia*. W jednej chwili nawiązał się między nami pod tym względem duchowy kontakt i wzajemne poparcie moralne. Pamiętajcie — nic tak nie zbliża ludzi, jak duchowy kontakt i wzajemne poparcie moralne w dziedzinie życia erotycznego.

Andrus powiedział, że ma żonę, Lindę, i dwóch chłopaczków, Wiktora i Edwarda. A ja dałem mu do zrozumienia, że jestem rozwiedziony, posiadam kawalerkę w Czeremuszkach i pierwszorzędne „kadry” artystyczne, nie wyłączając nawet teatralnych. Andrus natychmiast przysunął bliżej swój leżak i ściszył głos, jakby chodziło o rozmowę dwóch spiskowców.

Czułem się niewypowiedzianie szczęśliwy! Przecież „Hosudar” połknął przynętę! Zresztą wszystko, co mu powiedziałem, było czystą prawdą.

W Moskwie nasza znajomość uległa zacieśnieniu. Zgodnie z radą luminarza wiedzy medycznej, Alberta Szuma, Andrus w zimie regularnie, dwa razy w tygodniu, chodził na łyżwy. Nigdy nie uprawiałem tego sportu, ale wypadło, chociaż z ciężkim sercem, kupić turfy. Nawet wygruziłem się parę razy na lodzie i bardzo tym rozśmieszyłem Andrusa.

„Wypożyczałem” mu na parę godzin, ale oczywiście tylko w ciągu dnia, moją kawalerkę. Spiknąłem go z Waluszą Szczerbowskią, a ta dziewczyna, mówiąc między nami, to śmierć dla hipertoniców. Poznałem go także z Kuką...

I wreszcie, kiedy nasz związek ustalił się na tyle, że stał się niewzruszony, któregoś dnia zaprosiłem Suudara do restauracji „Aragwi” i, wybrawszy odpowiednią chwilę, powiedziałem bardzo wyraźnie:

— „Hosudar”, kotku, muszę mieć niebieski garnitur!

Wykrzywił gębę tak, jak gdyby połknął szpilkę. Hipertonia od razu odsunęła się na dalszy plan i zagadnienie dziewczynek przestało istnieć. Andrus nawet odtrącił od siebie talerz z niedojedzonym kurczęciem.

— Cy ty myślisz, że ja tego nie oczekiwałem? Wcześniej cy później... — Uśmiechnął się szeroko i dodał: — Ty psecies chodzisz w workach. Ale ja mam taką kolejkę...

Powtórzyłem twardym tonem:

— „Hosudar”, kotku, muszę mieć niebieski garnitur!

Andrus poruszał wargami, wypił łyk mineralnej wody „Borżomi”, zajrzał do swego notesu i powiedział:

— Dobrze, zrobi się. Ale bedzies musiał pocekać jakiś miesiąc, półtora...

Ucieszyłem się tak, że o mało nie zacząłem krzyzczeć: „Hurra! Nasi górą!” — jak krzyczeli czerwono-armiejcy podczas wojny domowej.

Tego samego wieczoru Andrus Suudar opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy ze swoich krawieckich doświadczeń.

Oto, czego się od niego, między innymi, dowiedziałem.

Akurat wtedy Andrus szył garnitury dla francuskich pisarzy-komunistów, Jean-Paul Carata i Louisa Dracona. Ich utwory są drukowane w Związku Sowieckim. Również wystawiane są ich sztuki teatralne, oczywiście, z pewnymi skrótami. Wbrew prawu, otrzymują honoraria, ale w rublach których na franki nikt nie wymieni. Zabronione. No, więc Carat i Dracon, a ściślej biorąc ich żony, kupują w Moskwie maszyny do szycia i aparaty fotograficzne. Oni sami zaś, to jest Carat i Dracon, zamawiają

garnitury u Suudara, bo jest członkiem Partii Komunistycznej. Naturalnie, korzystają z systemu opłacania na lewo. Jeżeli Andrus nie łże, to oni zamawiają od razu po dziesięć garniturów. Jeżeli nie łże, to w Paryżu łążą za nimi inni *humaniści* i wypytują o adres krawca. To ci sytuacja! Francuscy pisarze jadą do Moskwy, żeby uzupełnić swoją garderobę. Garnitury Suudara wywołują sensację w Paryżu. Toż dopiero temat do komedii!

W taki oto sposób musiałem czekać, aż Andrus dziesięciokrotnie ubierze Carata i Dracona. A potem ubrał i mnie, ale tylko jeden raz. Arytmetyka!

„Jechał na jarmark suchowaty kupiec...”

Powiem wam, bo teraz już się w tym dobrze rozeznaję — uszycie garnituru to bardzo wytworna sztuka. Te wszystkie ramionka, kanciki, końskie włosie, guziki i tak dalej.

Ale nie sądzicie, że Suudar ma beztroskie życie. Nie sądzicie, że nigdy nie ma nieprzyjemności. Jeszcze jak! Oto urywek z krótkiej spowiedzi samego Andrusa:

— Psysedł do mnie niedawno „proletariacki powieściopisarz”, laureat Nagrody Lenina, Aleksiej Bronieuchow, no, ten autor „Duchowego Montazu”, cy też „Montazu dusy”, cy jak tam się to nazywa. A psedtem osobiście do mnie zadzwonił sam „wazny”, z ulicy Worowskiego. Proszę, kto się nie zgodzi! Bronieuchow mówi do mnie „per ty”: „Zrób ze mnie gwiazdora!”. A jak tego dokonać, jeżeli on ledwie odrósł od ziemi? Zrób! Zwracałem sobie nim głowę pses cały miesiąc. Całe seść psymiarek. Seść! Dwa razy odkładał jakieś ważne posiedzenia w Komitecie. I co z tego? Zrobiłem mu ten garnitur. Nad samymi spodniami ile zem się napracowałem! A ten mi się potem ładnie odwdzięczył! Tu i ówdzie nawet jęzorem tsepał. Ze niby Suudar tandecias. Cały cas udowadniał, że guzik w środkowym zędzie jest psysyty wyżej, niz tseba. Garnitur był jednozędowy. To ja mu powiedziałem: „Laureacie, tseba trochę podrosnąć. Wy jesteście nasa psysłość!”. Moze miałem zmieniać fason?! I cy jemu w ogóle potsebnny był garnitur? Jemu potsebnny był płasc z Mosswejpromu, na wsystkie okolicości zycia. Jakas tam budowa u tych sowieckich pisazy! Albo same kości, albo samo mięso. Zadne figury. To znacy „figury” owsem, i jesce jakie, ale w innym znaczeniu słowa.

— Powiedz mi, proszę — spytałem Andrusa — dlaczego jest was tylko trzech? Na całą Moskwę. Czyżby nie było innych krawców? Przecież mamy w kraju tyle krawieckich technikum, instytutów, akademij. Tyle atelierów indywidualnej obsługi. Więc w czym rzecz? Gdzież jest młode pokolenie, które przyjdzie was zmienić?

Suudar obejrzał się na wszystkie strony i powiedział ściszo-
nym głosem:

— Po pierwse, konkurencja. Bez niej nicego nie ma. U nas nie istnieje konkurencja. Po drugie: prywatne psedsiębiorstwo. Krawiec to prywatny psedsiębiorca. Rozumiesz? Drobnny posiadac. Tak było, tak jest i tak będzie. To sie nigdy nie zmieni. Mó-
wiąc o prywatnym psedsiębiorstwie, mam na myśli *osobisty* interes.

I od razu wyszło na jaw, że z pieniędzy, otrzymywanych „na lewo”, Andrus wypłaca 25 procent majstrowi, to jest krawcowi, który szyje ubranie, bo przecież sam Andrus tylko kroi i robi przymiarki, szyje zaś właśnie ów majster. Gdyby nie było starannego, uczciwego majstra, także nie byłoby krawca, Andrusa Suudara. Ponadto wypłaca 15 procent dyrektorowi atelier, żeby ten nie przyciskał go wykonaniem planu, a także, żeby się czuć w zakładzie swobodnie i nie być poddanym tzw. kontroli społecznej.

— Po tsecie — kontynuował Andrus — większość naszych obywateli nie dba o garnitury. Większości wystarcają worki. Prawdziwy smak, jeśli chodzi o ogólną skalę w naszym kraju, nie istnieje. Za to istnieje zły smak, zascepiiony peses psywódców. Kubraki, które nosą, stwożyły styl. Te psydlugie rękawy, te potężne piersi, te sarawary, zamiast spodni...

— Mój kochany tatuś — powiedział Andrus na zakończenie — uważał, że nie może być dobrego krawca bez tradycji. Sycie garniturów to tradycja. A co, może nie? A u nas co? Tseba tylko popatrzeć na tych wszystkich młodych krawców... Cy w nich zostało cokolwiek z tradycji?

A może stary Illimar miał rację? Może Andrus także ma rację?

Któż to wie?!

Więc teraz powiedzcie mi, czy przed kilku tygodniami, w restauracji „Nacjonal”, miałem prawo w obecności tej dziewczynki, Kuki, opowiedzieć owemu *Yankesowi*, z cienkim nosem i wielkim pierścieniem na małym palcu, całą prawdę o tym, w jaki sposób Andrus Suudar uszył mi po raz pierwszy ten elegancki, niebieski garnitur? Czy miałem prawo odstąpić przed tym *Yankesem* tajemnice naszego *hipertonicznego* życia? Co?

J. KROTKOW

(Z rosyjskiego przełożył Józef Łobodowski)

Wiersze

Andrzej BRYCHT

PYTANIA I ODPOWIEDZI

*Więc to nie tylko ogień parzy,
pali i zwala z bukiem domy, marzenia —
więc to nie ogień
dopada pogorzalców i zdejmuje z nich
spoconą skórę, nie on
wypełnia oczodoły grudami popiołu?*

*A więc nie ogień
dokonuje zniszczeń, panoszy się w moich snach,
w mojej rzeczywistości, w tym
co jest tak płonące, a co nazywam życiem, ulegając
przyzwyczajeniu?*

*„W winę ognia wątpiac, masz głęboką rację.
synu puszcząńskich bogów, mrówczy bracie
korników zżerających dęby Swiatowida,
groszowy czytelniku księżycowych przygód,
wyznawco odkurzaczy funkcjonujących bezbłędnie,
władający wyłącznie jednym z mało znanych
szeleszczących języków wschodniej Europy,
zatroskany włodarzu zbyt długiego życia,
podzielonego dokładnie na miesięczne raty”.*

*Więc jeśli nie ogień
osacza mnie, wysusza
język, oczy, skórę; jeżeli nie on*

stwarza ten klekot we mnie, to skrzypienie
rozkołysanych desek, szelest i stuk
grubych trocin, wypadających sęków,
trzaski pękania, odgłosy
tajemnicze i groźne, głuszące
cierpliwy jęk rozsądku,
praw i konwencji — jeśli nie ogień, to
co los mój zamienia w obszar spustoszony
po którym fale ognia, dymu przeciągają,
gdy ja, przerażony, w butli swego potu
czekam, aż sól popęka z cienkim, szklanym trzaskiem?

„Masz rację, wąpiąc w winę ognia,
osobo, nawiedzona gazetowym szatem,
napiętnowana stemplem pół-obywatelstwa.
odnajdująca wolność na dnie szklanki z wódką.
Bo dym, w którym wirujesz, to nie dym, lecz śnieg.
Ogień, który cię spala, to płomień mrozu.
Sól, która cię więzi, to nie sól, a lód.
Szarość, co cię oślepia, to szarość betonu.
Męczenniku naiwny, sepleniący skargi
do Matki-Europy, ty wietrzysz nadzieję
z czerwonych błysków słońca nad tumanem nocy:
tu twoja krew się przegląda w martwym lustrze Wschodu.
Tu bądź. Tu słabnij, licząc na wróżebny znak,
aż cię zwali, udusi syberyjski wiatr
i zakryje wysoko wiecznym, szklanym ogniem”.

EPITAFIUM

moje oczy głodem wypalone
moje ręce ze skóry odarte
moje płuca mrozem prześwitane
moje ciało bagnetem przebite
węglem przywalone
amen

Andrzej BRYCHT

Obserwatorium

Testament

Samizdat szeroko kolportuje *Moje zawieszczanie Nadzieży Mandelsztam*, napisane w grudniu 1966 roku. Testament wdowy po zamęczonym poecie, autorki znakomych *Wspomnień*, jest czymś więcej niż prywatną ostatnią wolą. Można go uważać, postawiwszy gdzie należy kropki nad i, za testament duchowy pewnego odłamu inteligencji rosyjskiej.

Pora pomyśleć — nie raz mówiła do męża Nadieżda Jakowlewna w okresie ich zaszczucia i wspólnej tułaczki — w czyje ręce wpadnie spuścizna, kto ocali i odziedziczy archiwum i manuskrypty. Osip Emiliewicz odpowiadał: „Ludzie ocala. Kto ocali, ten odziedziczy”. „A jeśli nie ocala?” „Jeśli nie ocala, znaczy że nikomu to niepotrzebne i nic nie jest warte”. Dla Mandelsztama archiwum i wiersze nie były skarbem godnym zapisania w testamencie, lecz raczej „wiadomością rzuconą w butelce do oceanu”. Takemu nastawieniu sprzyjała epoka, w której „łatwiej było zginąć za wiersze niż otrzymać za nie zapłatę”. Mandelsztam ufał formom przechowania „dzikiego”, jego żona okazała się na szczęście ostrożniejsza i stopniowo przeniknęła „czysto sowiecką sztukę ratowania niebezpiecznych rękopisów”. Rzecz nie była prosta: „W owych czasach ludzie, opanowani obłędnym strachem, czyścili do dna szuflady swoich biur, niszcząc wszystko pod rządem — rodzinne archiwa, fotografie przyjaciół i znajomych, listy, notatki, dzienniki, byle jakie dokumenty, nawet wycinki z sowieckich gazet. W tym procederze obłęd szedł w parze ze zdrowym rozsądkiem... Jeszcze dzisiaj nie mogę sobie sprawić notesu z telefonami moich znajomych, gdyż przywykłam wystrzegać się podobnych „dokumentów”... W naszej epoce przechowywanie rękopisów nabrało szczególnego znaczenia — był to akt psychologiczny, bliski samoofierze — wszyscy drą, palą i niszczą papiery, a ktoś tam chroni na przekór temu wszystkiemu garsteczkę ludzkiego ciepła. Osip Emiliewicz miał słuszną odmawiając wyznaczenia spadkobiercy i twierdząc, że prawo do spadku daje jedyny

możliwy u nas znak szacunku dla poezji: ocalić, przechować, bo to potrzebne ludziom i jeszcze będzie żyć... „Udało mi się uratować coś niecoś z archiwum i prawie wszystkie wiersze, ponieważ pomagali mi różni ludzie i mój brat Jewgienij Jakowlewicz Chazin. Niektórzy z pierwszych depozytariuszy zginęli w łagrach, a z nimi i to co im dałam na przechowanie, inni nie wrócili z wojny, ale ci co ocalili zwrócili mi moje papiery. Wśród przechowywanych była nieślubna i nieuznawana córka Gorkiego, uderzająco do niego podobna kobieta o upartej i rozumnej twarzy. Przez wiele lat u niej leżała *Czwarta proza* wraz z wierszami. Ta kobieta nie należała do czytelników i miłośników poezji, wydaje się jednak że było jej przyjemnie chronić stare tradycje inteligencji rosyjskiej i literaturę, której nie uznawał jej ojciec. Umiałam na pamięć i prozę i wiersze Osipa Emiliewicza — mogło się przecież zdarzyć, że papiery przepadną a ja ocaleję — i bez ustanku przepisywałam odręcznie jego utwory. Szkic o Dantem był przepisany w dziesiątkach egzemplarzy, z nich trzy tylko dotwały do naszych dni”.

Przed Nadieżdą Jakolewną stoi obecnie nowe zadanie. Stare pokolenie depozytariuszy wymiera, ona sama zbliża się do grobu, a Mandelsztama wciąż w Rosji nie wydają. Jasne już, że go za jej życia nie wydadzą. Oto dlaczego zwraca się do Przyszłości, prosi Przyszłość („choćby ona była za górami”) o spełnienie jej ostatniej woli. Ma do tego prawo, nie „wulgarnie prawo wdowy i spadkobierczyni”, lecz „prawo towarzyski czarnych dni poety”, która „całe życie poświęciła ratowaniu garsteczki jego wierszy i prozy”. Formalnie sprawa wygląda tak: po „rehabilitacji” w roku 1957 przywrócono jej, podobnie jak wdowom innych „zrehabilitowanych” pisarzy, tytuł spadkowy na piętnaście lat, czyli zgodnie z obowiązującymi przepisami państwo weszło by w posiadanie spuścizny po Mandelsztamie w roku 1972. Nie jest w jej mocy całkowicie ignorować przepisy ustawodawstwa sowieckiego, ale kwestionuje *moralne prawo* państwa do wszystkiego co zostawił po sobie poeta. Co państwo sowieckie zrobiło dla Mandelsztama? Tylko jedno: zakuło go w kajdany i zabiło. „Jak zatem śmie pretendować do jego dziedzictwa? Proszę Przyszłość o ochronę przed tymi ustawami i przed tym spadkobiercą. Nie nadzorcy więzienni powinni dziedziczyć po galerniku, lecz ci co z nim razem byli przykuci do galery... Niech państwo bierze spadek po tych, którzy mu zaprzędali swoje dusze... Nie chcę słyszeć o ustawach, które państwo wydaje lub odwołuje, wykonuje lub narusza, zawsze według ściślej lityery prawa z myślą o własnych potrzebach i korzyściach, jak się o tym przekonałam przeżywszy życie w naszym najpraworządniejszym państwie. Zetknąwszy się z owym asyryjskim dziwolągami — państwem — w jego najczystszej formie, nigdy nie uwolnię się od przerażenia wobec wszystkich jego postaci. Jakże by więc ono nie było w tej Przyszłości, do której się zwracam — demokratyczne czy rządzone przez oligarchię, totalitarne czy ludowe, praworządne czy łamiące prawo, — niech zrezygnuje ze swych wątpliwych

tytułów prawnych i spuściznę po Mandelsztamie pozostawi w rękach uczciwych osób”.

Nadieżda Jakowlewna wyznacza jedenaście takich osób, zapowiadając że ich nazwiska poda w osobnym dokumencie. Tej komisji powierza wolne od kontroli dysponowanie resztkami archiwum, wydawanie książek, przedruk wierszy, publikację niewydanych materiałów. Wzywa równocześnie członków komisji, by nie zapominali o obronie spuścizny poecie przed państwem, by nie ulegali ani jego pogroźkom, ani umizgom. „Przyżyłam życie w epoce, kiedy od każdego z nas domagano się, aby wszystko co robimy przynosiło „pożytek państwu”. Proszę członków komisji o nieustanne pamiętanie, że w nas, w ludziach, tkwi samoistna wartość, że nie my mamy służyć państwu a państwo nam, że poezja skierowana jest do ludzi, do ich żywych dusz, i nic do niej państwu, prócz tych wypadków gdy poeta, broniąc swego narodu lub swojej sztuki, sam zwraca się do państwa z apelem lub wymówką. Wolność myśli, wolność sztuki, wolność słowa, to święte i niezaprzeczalne pojęcia, jak pojęcia dobra i zła, jak wolność wiary i wyznania. Jeśli poeta żyje jak wszyscy, myśli, cierpi, raduje się, rozmawia z ludźmi i czuje że jego los splótł się nierozdzielnie z losem innych, kto ośmieli się żądać by jego wiersze przynosiły „pożytek państwu”? Czemu państwo waży się występować w roli spadkobiercy wolnego człowieka?”. Testament daje członkom komisji swobodę rozporządzania pieniędzmi z ewentualnych wydań Mandelsztama, „były tylko nie się nie dostało państwu i jego rządowej literaturze”. Zamykają go następujące słowa: „Proszę wreszcie nie zapominać, że zabity jest zawsze silniejszy od zabójcy, a prosty człowiek wyżej stoi od tego, kto chce go sobie podporządkować. Taka jest moja wola i mam nadzieję że Przyszłość, do której się zwracam, uszanuje ją choćby dlatego że poświęciłam życie chronieniu dzieła i pamięci poległego”.

Pierwszy to bodaj raz, w publicznej i nie anonimowej wypowiedzi *stamtąd*, tak daleko zaszło odwrócenie się wolnego człowieka od totalitarnego Lewiatana, na rzecz minimalnych lecz autentycznych powiązań ludzkich i społecznych. Zapewne, nie ma powodu nie wierzyć autorce testamentu, gdy wyznaje że „nigdy nie uwolni się od przerażenia wobec *wszelkich* postaci państwa”. Wiedząc jednak skąd to przerażenie pochodzi, wolno głównego jeśli nie jedynego adresata testamentu widzieć w „asyryjskim dziwolągu w jego najczystszej formie”, w państwie opartym na ustroju sowieckim.

Powie ktoś że taka postawa inteligencji rosyjskiej ma z jednej strony wciąż jeszcze dość ograniczony zasięg, a z drugiej dostępna jest wyłącznie dla ludzi starych i stojących już nad grobem, w jakiś sposób opancerzonych skoro niewiele posiadają do stracenia, słowem ludzi właśnie pokroju Nadieżdy Mandelsztam, która podobno lubi ostatnio powtarzać: *mienia nasi cari bo-*

jatsia. Rozmiary świeżych czystek wśród inteligencji rosyjskiej i ukraińskiej przeczą sceptycznym ocenom zasięgu. Co zaś do smutnego przywileju nietykalności z racji wieku i pozbawienia prawie wszystkiego, to wypada zauważyć że miarą poczucia moralnych praw i obowiązków nie musi być koniecznie gra *va banque*. Nawet o kilka tonów niżej, ale w zgodzie z *duchem* testamentu Nadzieży Mandelsztam, inteligencja w obrębie władania „asyryjskiego dziwołaga” może odzyskać swoje naturalne miejsce inspiratorki albo co najmniej aktywnej uczestniczki oporu.

I o to w końcu idzie. Pod panowaniem czystego stalinizmu znaczna część inteligencji usiłowała łagodzić swoją kapitulację przeciwstawieniem wolność-konieczność. W tym samym czasie prosty człowiek, o którym Nadzieża Mandelsztam pięknie pisze że „stoi wyżej od tego kto chce go sobie podporządkować”, znał tylko przeciwstawienie wolność-niewola. Na przestrzeni lat, w wyniku różnych „przewrotów” i „zwrotów”, konieczność ulegała co prawda kolejnym dewaluacjom (kiedyś rezerwowano dla niej duże K z dodatkiem „historyczna”), nie widać jednak by przestała służyć jako to proteza to alibi moralności kompromisowej. Konieczność też jest kamieniem filozoficznym odżywającej w Polsce ideologii „pracy organicznej”, którą przy jakiejś okazji nazwałem (i podtrzymuję tę nazwę) „pozytywizmem barakowym”. Dziś mogę moją podejrzliwość w stosunku do „pracy organicznej” uzasadnić nowym argumentem. W ostatnim numerze kwartalnika *Survey* ukazał się list z Pragi pod bardzo znaczącym tytułem *Inspired by Amalrik*. Jego autor opisuje powtórne próby — podyktowane koniecznością i w oparciu o lokalną odmianę pozytywizmu — włączenia się inteligencji czeskiej do pracy na „pożytek państwu”. Ciekawy jest komentarz: „Ci ludzie czują się upokorzeni, źli na samych siebie, a przecież równocześnie starają się usprawiedliwić swoją słabość i zwać ją na innych. Przyjdzie dzień gdy zapagną odwetu, lecz jednocześnie obawiać się będą każdej zmiany, aby nie stała się powszechnie wiadoma prawda o ich słabości (jak było w roku 1968). Nawet kosztem swoich własnych elementarnych interesów tacy ludzie będą mimo woli opóźniać postęp, bojąc się konsekwencji większego stopnia wolności. Cena jaką płacą za „przetrwanie” jest z moralnego punktu widzenia zbyt wysoka, przetrwanie charakteru bywa u wielu z nich tak dotkliwie, że w przyszłości nie będą już zdolni do prawdziwie twórczej pracy”. W okresie protektoratu niemieckiego i później stalinizmu (powiada znany pisarz czeski w rozmowie z korespondentem tygodnika rzymskiego *L'Espresso*) bez porównania gwałtowniejszy był terror fizyczny, ale nigdy dotąd nie przybrało takiej intensywności atakowanie i niszczenie „walorów etycznych i kulturalnych”.

W obronie jakich walorów działać ma inteligencja? W obronie jakich walorów staje w swoim testamentie Nadzieża Mandelsztam?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Archiwum polityczne

W zadumie nad scenariuszem

W końcowym okresie ubiegłego roku odbyła się seria spotkań „na szczycie”. Prezydent Nixon konferował z pół tuzinem przywódców tzw. „wolnego świata”. W przemówieniach i w oficjalnych komunikatach pełno było frazesów o nowym porządku międzynarodowym, o nowym systemie walutowym, o nowej Ameryce i o nowej Europie — itd., itp. Grandilokwencja — jak zwykle i jak zawsze przysłaniała brak konkretnej treści. Tylko w odniesieniu do kryzysu finansowego podjęto wyraźne decyzje, które być może doprowadzą do unormowania międzynarodowego systemu monetarnego. Lecz w aspekcie politycznym owe „szczytowe konferencje” nie ujawniły żadnego wspólnego zamysłu czy planu.

Nie byłem zwolennikiem gen. de Gaulle — lecz obiektywnie należy stwierdzić, że był to ostatni wielkiej miary mąż stanu zachodniego świata. Przeżywamy okres posuchy talentów zarówno w Europie jak i w Ameryce.

Wydarzenia ostatnich tygodni ubiegłego roku — poza popisami krasomówstwa — zwłaszcza w OZN — przyczyniły się w pewnej mierze do wyjaśnienia sytuacji. Podwójna hegemonia dobiegła kresu a jej miejsce zajął trójkąt Waszyngton-Moskwa-Pekin.

W okresie kryzysu indyjsko-pakistańskiego — Chiny dwukrotnie głosowały w OZN z Ameryką — lecz zawsze przeciwko Rosji. Potwierdzona została w całej rozciągłości teza, którą od lat podtrzymywałem na łamach *Kultury*, że dla Pekinu wrogiem Nr 1 jest nie Ameryka lecz Sowiety. Potwierdzona została również druga nasza teza, a mianowicie, że spór chińsko-sowiecki jest konfliktem interesów politycznych i terytorialnych a dopiero w dalszej kolejności jest również zatargiem ideologicznym. Nowy garnitur KC — może potępić linię ideologiczną poprzedniego reżymu. Konflikty polityczno-terytorialne są znacznie bardziej trwałe i znacznie trudniejsze do rozwiązania.

Bez względu na krasomówcze popisy, które charakteryzują naszą epokę — egoistycznie i bezwzględnie pojmowane interesy państwowe stanowią nadal jedyne kryterium polityki. Nie wytworzyliśmy żadnych nowych kryteriów. Kryteria ideologiczne zawiodły na całej linii. Mimo, że setki milionów ludzi żyje w ustrojach komunistycznych — nie ma światowego, zjednoczonego ruchu komunistycznego. Grabarzem komunizmu jako ruchu międzynarodowego okazał się Związek Sowiecki. Chiny są antysowieckie ponieważ czują się zagrożone przez Rosję. Lecz imperializm sowiecki nie stanowi jedynej przyczyny zagrażającej drodze do jedności. Funkcją imperializmu w sferze ideologicznej jest dogmatyzm. Wszyscy komuniści bez względu na narodowość — gotowi są przyznać, że dzięki rewolucji październikowej i Leninowi — Rosja zajmuje szczególne miejsce pośród państw komunistycznych. Lecz od autorytetu do autokratyzmu jest tylko jeden krok. Ową granicę Rosja przekroczyła. Nie wystarcza jej autorytet pierwszego na świecie państwa komunistycznego i domaga się by linię ideologiczno-polityczną Kremla wszyscy komuniści traktowali za niewzruszony dogmat.

Jeden z włoskich marksistowskich analityków wypuklił w swoim referacie trzy przyczyny hamujące postęp komunizmu na Zachodzie. Te trzy przyczyny to dogmatyzm ideologiczny Moskwy, emancypacja robotniczych związków zawodowych i rewolta młodego pokolenia.

Jak wiadomo zachodnie partie komunistyczne potępiły na ogół agresję sowiecką przeciwko Czechosłowacji. Inwazja Czechosłowacji stanowiła klasyczny przykład dogmatyzmu na służbie imperializmu. Lecz dogmatyzm nie ogranicza się do ideologicznego usprawiedliwiania aktów agresji, dogmatyzm uniemożliwia obiektywną analizę społecznej struktury Związku Sowieckiego. Komuniści włoscy już dawno doszli do wniosku, że naukowe amerykańskie studia sowietoznawcze — są znacznie obiektywniejszym źródłem informacji niż socjologiczna literatura sowiecka. Innymi słowy z dogmatyzmem Moskwy trudno się jest pogodzić nawet tym komunistom, którzy nie są bezpośrednio zagrożeni imperializmem sowieckim. Ci ludzie odrzucają dogmatyzm, ponieważ dogmatyzm jest nie do pogodzenia z intelektualną suwerennością człowieka. Podkreślmy jeszcze raz: co innego jest autorytet moralny czy ideologiczny, a co innego rządy autorytatywne.

Poświęćmy chwilę uwagi jedności w sensie nie ideologicznym lecz politycznym. Ludzie przywiązują większą wagę do wolności niż do jedności. Wolność pojmowana jest na ogół nacjonalistycznie — podczas gdy jedność — czy zjednoczenie dotyczą zwykle społeczności wielonarodowej. Często droga do wolności prowadzi przez zjednoczenie — które urzeczywistnione być może tylko przez poskromienie wybujałego nacjonalizmu. Kroaci mają prawo do wolności. Lecz czy wolna Kroatja jest realną propozycją poza ramami zjednoczonej Jugosławii?

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że Anglicy, Francuzi i Niemcy byłiby bardziej wolni niż obecnie w politycznie zjednoczonej

Europie, która mogłaby pertraktować z Ameryką czy z Rosją jak równy z równym. Anglia czy Francja są średniej wielkości państwami i żadne z nich nie osiągnie nigdy statusu super-mocarstwowego. Oznacza to między innymi, że Rosja i Ameryka będą mogły — ilekroć zechcą — porozumiewać się ponad głowami państw europejskich.

Politycznie zjednoczona Europa nie byłaby może super-mocarstwem w sensie nuklearnym — lecz niewątpliwie byłaby organizmem politycznym o potencjale i możliwościach super-mocarstwowych. Niczego w sprawach naszego kontynentu nie można by wówczas załatwić ponad głowami Europejczyków. A przecież jednym z fundamentów wolności jest zasada „nic o nas bez nas”.

Kochamy wolność lecz nie do tego stopnia, by jednoczyć się z innymi w celu zabezpieczenia i obrony rzekomo umiłowanej wolności. W gruncie rzeczy chodzi nam nie o wolność lecz o stary, zgrzybiały, tradycyjny nacjonalizm — a naszym ideałem — choć żaden Europejczyk nigdy się do tego nie przyzna — jest suwerenne państwo narodowe.

W aspekcie gospodarczym w Europie zachodniej dokonano wielkiego postępu. W aspekcie politycznym nie dokonano na tej drodze najmniejszego postępu.

W końcowej fazie ubiegłego roku — pielgrzymowali do prez. Nixona panowie Pompidou, Heath i Brandt. Prezydent Pompidou reprezentował Francję, premier Heath Wielką Brytanię a kanclerz Brandt Niemcy Zachodnie. Europy nie reprezentował nikt, ponieważ zjednoczona Europa żyje tylko na papierze (traktat rzymski). Jest to stan rzeczy niezmiernie dogodny dla Waszyngtonu a przede wszystkim dla Moskwy.

Urodziłem się w monarchii austriacko-węgierskiej, która była mocarstwem wielonarodowym. Choć idea narodowa od czasu „Wiosny Ludów” była żywa i dynamiczna — dopiero pierwsza wojna światowa położyła kres Europie carów królów i cesarzy. Samostanowienie stało się programem dnia.

Dziś obserwujemy dwa sprzeczne „trendy”. Z jednej strony wszystkie uciskane i nie uciskane mniejszości domagają się niepodległości i samostanowienia — z drugiej strony super-mocarstwa rozbudowują „sfery wpływów” stanowiące współczesną wersję imperiów nad którymi „słońce nie zachodziło”. Oba procesy zazębiają się nawzajem. W każdej wojnie, której oficjalnym celem jest wyzwolenie i samostanowienie — wcześniej lub później pojawia się węzeł gordyjski interesów super-mocarstw.

Weźmy dla przykładu Wietnam. Chińczycy wspomagają północny Wietnam — ponieważ Rosjanie wspomagają Hanoi. Amerykanie pragnęliby wycofać się z Indochin — lecz bez utraty twarzy i stygmatu kłeski. Chińczycy również pragną ewakuacji Amerykanów z Indochin — lecz nie mogą ułatwić Waszyngtonowi wycofania się z Wietnamu — ponieważ byliby natychmiast przelicytowani w Hanoi przez Rosję. Błędne koło.

Konflikt indyjsko-pakistański, którego oficjalnym celem było zapewnienie niepodległości dla wschodniego Pakistanu — dopro-

wadził do najostrzejszej — jak dotąd — „wymiany zdań” pomiędzy Rosją a Chinami. Termin „socjal-imperializm” wynaleziony przez Chińczyków wszedł do dokumentacji OZN ku pamięci i przestrodze.

Wojna na sub-kontynencie indyjskim wykazała, że Europejczycy i Amerykanie nie mają czego szukać w Azji. Azja staje się teatrem walki o wpływy Rosji, Chin i Japonii. Tokio wyraźnie szuka zbliżenia z Chinami i nawiązanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy obu azjatyckimi mocarstwami wydaje się sprawą przesądzoną.

Lecz czy warto podejmować walkę o niepodległość i samostanowienie jeżeli — w gruncie rzeczy rezultatem owych walk i ofiar jest tylko przejście z jednej „strefy wpływów” do innej „strefy wpływów”?

Na naszych oczach rozwijają się dwa procesy historyczne. Narody średnie, małe i bardzo małe — domagają się samostanowienia i niepodległości. Ogólny postęp oświaty i globalny zasięg środków masowego przekazu — choć nie tłumaczy tego zjawiska — niewątpliwie odegrał w tej sprawie zasadniczą rolę.

Bronie atomowe umożliwiły powstanie tzw. super-mocarstw. Delegat Chin w OZN oświadczył, że Rosjanie dążą do ustanowienia imperium, które obejmowałoby cały świat. To nie jest aż tak śmieszne, jakby na pozór się wydawało. Polityka bezpieczeństwa widziana z Moskwy czy z Waszyngtonu nie ma granic ani w sensie technologicznym ani w sensie politycznym. Żadne z super-mocarstw nie może zaprzestać wyścigu technologicznego ponieważ technologia jest głównym źródłem siły i bogactwa. Zarówno siła jak i bogactwo są podstawowymi elementami bezpieczeństwa.

Oczywiście najistotniejszy jest aspekt polityczny. Prez. Nixon w jednym ze swych przemówień wysunął pogląd, że bezpieczeństwo może zapewnić światu zdrowa równowaga sił.

Teoria „równowagi sił”, podobnie jak idea państwa narodowego, wyprodukowane zostały w Europie.

Systemy „równowagi sił” upadały zawsze z jednej przyczyny. Przywódcy danego mocarstwa dochodzili do wniosku, że nie równowaga lecz jedynie przewaga zapewnić może bezpieczeństwo.

Każde super-mocarstwo posiada własną sferę wpływów, którą stara się umocnić i rozszerzyć. Do podziału pozostały jeszcze pewne obszary tzw. „trzeciego świata”. Jedynie na tych obszarach Rosja czy Ameryka mogą ustalić przewagę nad innymi partnerami.

Dla Bengalczyków w byłym wschodnim Pakistanie — grudzień ub. roku oznaczał „wiosnę ludów”. Lecz dla Rosjan, Stanów Zjednoczonych i Chin był to tylko fragment walki o wpływy na obszarach „trzeciego świata”. Rosja popierała Indie, Chiny popierały zachodni Pakistan a Stany Zjednoczone poniosły porażkę. Poniosły porażkę w OZN a demonstracja siły w zatoce Bengalskiej była spóźniona — odbyła się bowiem po zawieszeniu broni.

Nie pomogła zachodniemu Pakistanowi, natomiast dołała niepożrebnie oliwy do ognisk anty-amerykanizmu w Indiach.

Łatwo zrozumieć przesłanki, którymi kierował się prez. Nixon. Kosygin powiedział swego czasu jednemu z francuskich dziennikarzy, że „porozumienie amerykańsko-chińskie byłoby koszmarem”. Analogicznie rozumują Chińczycy oskarżając stale Amerykę o spiskowanie z Sowietami przeciwko Chinom. Dla Pekinu koszmarem byłoby porozumienie sowiecko-amerykańskie. Gdyby więc prez. Nixon poparł Indie w grudniu ub. roku — Chińczycy powiedzieliby, że poparł Hindusów w spisku z Sowietami. Balansowanie na linii Pekin-Moskwa — będzie zadaniem coraz trudniejszym dla dyplomacji amerykańskiej.

Walka o strefy wpływów na terytoriach trzeciego świata odbywa się pod sztandarem samostanowienia narodowego i — co ciekawsze — samostanowienia ekonomicznego. W istocie jednak jest to idea bardzo niebezpieczna dla super-mocarstw, a w szczególności dla Rosji. Rosjanie prawdopodobnie zdają sobie z tego sprawę — lecz muszą popierać ruchy narodowościowo-wyzwoleńcze by móc konkurować z Chinami.

Prasa sowiecka nie tylko popiera lecz wynosi pod niebiosa ruchy wyzwoleńcze — zapewniając wszystkim, że owe narody mają prawo do samostanowienia, niepodległości i całkowitej wolności od obcej interferencji. Nieuchronnie musi przyjść dzień kiedy Ukraińcy czy Białorusini postawią sobie pytanie: jeżeli samostanowienie i niepodległość należą się Bengalczykom to dlaczego nie nam? Jeżeli wolność i niepodległość należy się Wietnamowi — dlaczego nie Ukrainie?

W roku 1968 Czechosłowacy domagali się prawa samostanowienia o swoim losie i wolności od obcej interwencji. Sowieckie czołgi na ulicach Pragi broniły *de facto* Kijowa. Bo gdyby zezwolono Czechom i Słowakom zrealizować hasła samostanowienia i demokracji — byłoby bardzo trudno odmówić tych samych praw czterdziestu milionom Ukraińców.

Radio kanadyjskie, które interesuje się sprawami ukraińskimi — podało w dniu 19 stycznia br. wiadomość, że na Ukrainie Sowieckiej w ostatnich kilkunastu miesiącach wzmógł się ogromnie ruch nacjonalistyczny. Powstała prasa podziemna, a jednym z głównych ognisk ruchu ukraińskiego jest Lwów. Aresztowano setki osób, głównie z środowisk inteligencji.

Na marginesie warto zaznaczyć, że z punktu widzenia sowieckiego imperializmu — Stalin popełnił ciężki błąd zabierając Polsce Lwów. Pozostawiając Polakom Lwów — byłby przemienił go w drugi „Wrocław”, który uniemożliwiłby na dziesiątki lat porozumienie polsko-ukraińskie. A tego typu porozumienie z całą pewnością nie leży w interesie ani Sowietów ani Rosji.

Warto podkreślić, że Indie prowadzą również ryzykowną grę. Poparły aktywnie ruch separatystyczny w wschodnim Pakistanie aby „przyciąć” niepodległy Pakistan do politycznie wygodniejszej proporcji. Indie — jak wiadomo — stanowią konglomerat setek religii, języków i narodów. Ruch separatystyczny zdetonowany

przez Bengalczyków może w przyszłości doprowadzić do bałkani-
zacji Indii co leżałoby w interesie Sowietów i Chin, a nie leżałoby
w interesie Stanów Zjednoczonych.

Dwa zasadnicze nurty myślowe niniejszego artykułu można
streścić następująco:

I. W dziewiętnastowiecznej Europie można było mówić o rów-
nowadze sił. W epoce globalnych super-mocarstw równowaga siły
jest mrzonką. Albo się jest mocniejszym albo się jest słabszym.
Stanu pośredniego nie ma. Z tej przyczyny polityka bezpieczeń-
stwa super-mocarstw zarówno w aspekcie technologicznym jak
i politycznym nie ma granic. Sputniki sowieckie (w pewnych or-
bitach) zdolne są dziś zniweczyć zwiadowcze amerykańskie statki
kosmiczne. Trzeba więc zaplanować inne statki i obliczyć inne
orbity. To jest proces który nie ma kresu.

Sowiety weszły do Indii — choć Indie nie są Rosji potrzebne
do szczęścia. Lecz gdyby Rosja nie weszła do Indii — weszliby
tam Amerykanie albo Chińczycy.

Super-mocarstwo „X” musi stale rozszerzać swoją strefę wpły-
wów by nie dopuścić do rozszerzania się strefy wpływów innych
mocarstw. To jest proces, którego końca również nie widać.

II. W dziewiętnastym wieku państwa imperialistyczne rozsze-
rzały swoje strefy wpływów poprzez kolonizację. Nie było w tym
sprzeczności ponieważ kolonializm jest bliźniaczym bratem im-
perializmu.

Współczesne super-mocarstwa rozbudowują swoje imperia i
strefy wpływów wykorzystując ruchy wolnościowe, separatystycz-
ne, rewolucyjne narodowościowe. Innymi słowy *usiłują budować*
imperia z materiału anty-imperialistycznego.

Rosja, która rdzennym Rosjanom odmawia elementarnych
praw demokratycznych i zamyka ich w szpitalach dla obłąkanych
domaga się demokracji i wolności dla wszystkich narodów trze-
ciego świata. Amerykanie postępują bardzo podobnie. Wydają
miliardy na wojnę w Wietnamie, której oficjalnym celem jest
zabezpieczenie i ustabilizowanie ustroju demokratycznego w po-
łudniowym Wietnamie. Czy nie byłoby lepiej i słuszniej obrócić
owe miliardowe sumy na stworzenie i zabezpieczenie pełnej de-
mokracji dla Murzynów — obywateli amerykańskich?

W polityce imperialistycznej wielkich mocarstw XIX wieku
było daleko mniej hipokryzji. Imperializm był imperializmem —
kolonializm kolonializmem i żaden Anglik nie wstydił się miana
„budowniczego imperium”. Proces historyczny — jak ucza nas
wieki doświadczeń — wykazuje nieprawdopodobną tolerancję w
stosunku do sprzeczności. Lecz umysł ludzki wytworzony ewolu-
cją setek tysięcy lat nosi w sobie odbicie kosmosu opartego
na powszechnych i niezmiennych prawach. Z tej przyczyny
instyktownie nienawidzimy chaosu, który nas przeraża. Dlatego
niezmordowanie i mozolnie rozwiązujemy dawne sprzeczności, by
móc podjąć prace nad rozwiązaniem narastających nowych
sprzeczności. Jeżeli dawnych sprzeczności jest tak wiele, że ha-

mują rozwiązywanie narastających nowych sprzeczności — mó-
wimy o kryzysie.

Istnieją podstawowe sprzeczności pomiędzy wewnętrzną a za-
graniczną polityką Moskwy. Nie można „Bukowskich” popierać
w Afryce czy w Azji — skazując rosyjskich Bukowskich na wię-
zienie i łagry. Polityka aktywna nie pokrywa się nigdy z polityką
deklaratywną. Jednak to co się głosi na zewnątrz nie może stać
w całkowitej i antagonistycznej sprzeczności z tym co się czyni
u siebie w kraju.

Sowiety głosząc hasła anty-imperialistyczne i popierając ruchy
wolnościowe w „trzecim świecie” — na dalszą metę walczą prze-
ciwko własnemu imperializmowi. Wspomagają i opłacają swoich
własnych przyszłych grabarzy.

Europa nie przekazała trzeciemu światu ani chrześcijaństwa
ani marksizmu ani demokracji. Przekazaliśmy natomiast ludom
po-kolonialnym ideę państwa narodowego. To przeszczepienie po-
wiodło się w całej pełni. Nawet marksizm chiński jest tylko we-
hikułem idei narodowej — instrumentem, który umożliwił zjed-
noczenie 750 milionów Chińczyków w narodowe jednolite, niepod-
ległe państwo.

Północnym Wietnamczykom nie chodzi również o subtelności
dialektyki marksistowskiej — tylko o niepodległe narodowości-
we państwo.

W gruncie rzeczy tak te narody, które identyfikują rewolucję
z walką o narodową niepodległość — jak i te narody, którym
komunizm narzucono (państwa satelickie) — pragną mieć wła-
sną drogę do socjalizmu. Innymi słowy, pragną komunizmu, który
harmonizowałby z ideą państwa narodowego.

Według mojej opinii, którą jak każdą indywidualną ocenę
można poddać krytyce — zarysowuje się reakcja wtórna, która
będzie się pogłębiać. Pragnę przez to powiedzieć, że wybuch idei
państwa narodowego w trzecim świecie (genetycznie wywodzący
się z Europy) — powoduje renesans ruchów narodowych i se-
paratystycznych w Europie Wschodniej.

To samo dotyczy kolonializmu. Gdybyśmy mieli dziś rok 1910
— każda rewolta w Polsce czy w Czechosłowacji — byłaby rewol-
tą nie tylko przeciw zaborcom lecz przeciwko światowemu porzą-
dowi rzeczy. Lecz dziś wszyscy są przeciwko kolonializmowi —
łącznie z Rosjanami, Chińczykami i Amerykanami.

Tej sprawy nie da się załatwić na drodze semantycznej. Nie
można dziesiątkami lat podtrzymywać tezy, że terytoria portu-
galskie w Afryce są koloniami a Ukraina kolonią nie jest.

Przetłaczająca większość Czechów i Słowaków uważa współ-
czesną Czechosłowację za sowiecką kolonię. Fakt, że radio Praga
w swych zagranicznych programach grzmi w obcych językach
przeciwko imperializmowi, kolonializmowi itd. — musi budzić
gorzkie refleksje wśród Czechosłowaków. Antykolonializm jest
w krajach satelickich towarem przeznaczonym wyłącznie na eks-
port. Rozprowadzanie owego towaru na rynku wewnętrznym jest

ciężką zbrodnią. Jak długo można uprawiać tego rodzaju nonsensy?

Z polityką rzecz się ma podobnie jak ze zdrowiem. Jeżeli ktoś jest mocnej konstytucji fizycznej może długo prowadzić nonsensowny tryb życia. Lecz w końcu trzeba za to zapłacić. Potężne mocarstwo może na wielu odcinkach prowadzić długo nonsensowną politykę lecz nieodmiennie przychodzi dzień zapłaty. Wszystkie głupstwa się mszczą i to jest jedyna sankcja, którą dysponuje racjonalizm. To jest sankcja nie tylko groźna lecz i nieubłagana.

Współczesny wybuch idei narodowej wywodzi się z dwóch źródeł. Z tradycji europejskiej przeszczepionej ludom pokolonialnym w Azji i w Afryce — oraz z reakcji na hegemoniczną politykę super-mocarstw. Tak na przykład de Gaulle'izm zrodził się jako reakcja przeciwko hegemonizmowi amerykańskiemu. Nacjonalizm Rumunów jest reakcją spowodowaną imperializmem sowieckim itp., itd.

Lecz powyższa analiza nie jest pełna. Nie wyjaśnia bowiem ruchów separatystycznych, które nie są reakcją na imperializm super-mocarstw. Ruchy separatystyczno-nacjonalistyczne Serbów czy Kroatów nie wynikają jedynie z imperializmu sowieckiego. Wojujący nacjonalizm północnych, katolickich Irlandczyków — nie ma również nic wspólnego z polityką super-mocarstw.

Demokracja nie jest *melting pot* mniejszości narodowych. Przeciwnie. Rozwój demokratyzacji w krajach wysoko rozwiniętych powoduje wzrost poczucia regionalnego. Przez demokrację współcześni ludzie rozumieją nie tylko równość wobec prawa, lecz również uznanie ich odrębności etnicznych i regionalnych. Ów proces wyraża się dążeniami do autonomii i decentralizacji. W Wielkiej Brytanii obserwujemy stałą rozbudowę samorządów lokalnych. Walijszczyki, czy Szkoci, pragną być nie tylko Brytyjczykami lecz Walijszczykami czy Szkotami w większym stopniu niż byli dotychczas. Zdobycie i utrwalenie identyczności regionalnej staje się jednym z zasadniczych elementów nowoczesnej demokracji.

Rząd brytyjski w odróżnieniu od Kremla sprzyja temu rozwojowi. Pomimo, że północna Irlandia stanowi integralną część Zjednoczonego Królestwa — zarówno premier Heath jak i przywódca opozycji Harold Wilson oświadczyli, że jeżeli północni Irlandczycy w prowincjonalnych wyborach wypowiedzą się za przyłączeniem ich do niepodległej południowej Irlandii — rząd brytyjski zaakceptuje tę decyzję.



Sytuacja Związku Sowieckiego z każdym rokiem staje się coraz bardziej absurdalna. Moskwa musi popierać ruchy narodowo-wyzwoleńcze poza granicami swego imperium i równocześnie tłumić identyczne ruchy w granicach swego imperium. Gdyby Czechosłowacja leżała w Afryce lub w Indochinach — Dubczek byłby

faworytem Moskwy i korzystałby z sowieckiej pomocy gospodarczej i finansowej. W Egipcie partia komunistyczna jest zakazana lecz ponieważ Egipt nie ma wspólnej granicy z Sowietami — przywódcy egipscy uważani są przez Moskwę za postępowych rewolucjonistów. O wszystkim decyduje kryterium geograficzne. Redaktorzy *Morning Star* są partyjnymi komunistami, lecz w Warszawie wylądowaliby w więzieniu za antysowiecką krytykę.

Ideologia marksistowska okazała się słabsza od idei narodowej. Socjalizm międzynarodowy nie może oznaczać rezygnacji z trzech praw fundamentalnych: Z prawa do samostanowienia, z prawa do niepodległości państwowej i z prawa do demokracji.

Chińczycy są w znacznie korzystniejszej sytuacji niż Związek Sowiecki ponieważ są państwem narodo- niemal jednolitym. Chińczycy w Chinach stanowią przytłaczającą większość ludności — natomiast Rosjanie stanowią mniejszość w Związku Sowieckim. Sowiety są zlepkiem mniejszości narodowych, a niektóre z nich liczą dziesiątki milionów ludzi.

Afro-azjatycka rewolucja wyzwolenicza, która wysuwa postulaty narodowego samostanowienia, powrotną falą uderzy w Europę a w szczególności we wschodnią część jej kontynentu. Gdzie zaczyna się wschód w Europie — pod murem Ulbrichta czy u podnóża Uralu?

Jeszcze przed kilku laty uważałem za rzecz możliwą samoistną emancypację państw satelickich. Obecnie skłonny jestem przyznać rację Breżniewowi, że ruch wywoleńczo-rewolucyjny w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech — wywołałby nieuchronnie reakcję łańcuchową w Związku Sowieckim.

Nie można odwrócić spontanicznych procesów historycznych — tak jak nie można odwrócić burzy. Lecz można częściowo zabezpieczyć się przed burzą. Gdyby Rosjanie stopniowo przebudowali Związek Sowiecki w *commonwealth* niezależnych państw i narodów — uratowaliby w znacznej mierze swoją pozycję. Lecz Rosjanie tego nie robią. W chwili kryzysu zaoferują ujarzmi- niemu ludom zbyt mało i zbyt późno.

Dlaczego?

Gdyby Amerykanie, Rosjanie, Brytyjczycy, Francuzi — poświęcili jedną trzecią sum wydawanych na zbrojenie na walkę z rakiem — owa straszliwa choroba gnębiąca ludzkość byłaby zwalczona w przeciągu 10-ciu czy 20-tu lat.

Zatrucie rzek, mórz, powietrza czyli *zw. pollution* jest tematem tak ogranym przez dziennikarzy, że nikomu już nie chce się czytać artykułów na ten temat. Niemniej, pisma fachowe podały, że niemowlęta pobierają rozmaite trucizny, w tym DDT, wraz z mlekiem matek. Zatrucie naturalnego otoczenia człowieka jest równie realne jak rak, lecz jeszcze bardziej groźne bo zagraża nie pewnemu tylko procentowi ludzkości lecz całej ludzkości. To są jednak problemy futurologii nie polityki. Polityka — tak jak ją dziś pojmujemy — dotyczy praktycznych zagadnień bieżących, przez co należy rozumieć okres najbliższych 5 lat.

Gdyby kandydat na prezydenta Ameryki przyjął jako swą

platformę wyborczą walkę z rakiem i z *pollution* — uznano by go za idealistę z głową w chmurach, nie nadającego się do rozwiązywania zagadnień praktycznych, jak kryzys walutowy, bilans płatniczy, wojna w Wietnamie itd.

Podobnie Rosjanin, który wystąpiłby z projektem przebudowy Związku Sowieckiego w luźną federację niepodległych państw — uznany by został za pomylenca, którego należy zamknąć w szpitalu dla obłąkanych.

Nie jestem pewien czy historycy za lat sto — nie uznają „politików-realistów” z roku 1972 — za panów, których należało zamknąć w szpitalu dla obłąkanych.

W porównaniu z niebezpiecznie błyskawicznym tempem rozwoju ludzkiej sytuacji w każdej dziedzinie — polityka staje się sferą coraz ciasniejszą i coraz mniej imaginatywną. Z każdym rokiem politycy rozumieją coraz mniej a nie coraz więcej.

Problem polega na tym, że człowiek jest „zwierzęciem politycznym” i co nie jest polityką nie może liczyć ani na masowy oddźwięk ani na masowe poparcie. Nawet najistotniejsze sprawy — dopóki nie zaawansują do rangi problemów politycznych, partyjnych i wyborczych — rozwiązywane są marginesowo, filantropijnie i z reguły cierpią na anemię finansową. Politycy współcześni winni inkorporować do programów swych partii palące zagadnienia wywołane przeludnieniem, technologią, systematycznym zatrutowaniem naszej planety — ponieważ polityka przez wielkie „P” to nie są tylko wybory prezydentów i premierów lecz planowanie ludzkiego bytowania nie w ramach pięćdziesiąt lat lecz w perspektywie 50-cioleciek.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Komu bije dzwon...

Wszystkie dzwony Wiecznego Miasta rozległy się 25 marca 1957 roku w chwili kiedy przedstawiciele sześciu państw podpisali w Rzymie traktat o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Euratomu. Tak bowiem kazał Papiież, a on się nigdy nie myli. A rząd włoski, który akurat wtedy, wyjątkowo i na szczęście, nie był w stanie dymisji, dał działwie dzień wolny od nauki. On też bowiem — prawie zawsze — wie co robi. W ten sposób władze, wieczna i doczesna, sprzęgły się w intencji święcenia narodzin ponadpaństwowej Europy. I wszyscy, albo prawie wszyscy, byli szczęśliwi i wiedzieli dlaczego.

Kiedy, w 15 prawie lat później, 22 stycznia roku 1972, podpi-

sany został w Brukseli akt pączkowania EWG do 10 państw, a przede wszystkim akt trwałego przycumowania Anglii do kontynentu, obywatele Belgii nawet się nie zorientowali, że oto dane im jest przeżywać dzień historyczny. Oczywiście wpłynął na tę obojętność brak Papiieża w Brukseli oraz ogólna niezdolność Belgów do reżyserii pompatycznych a nie handlowych ceremonii. Są to przecież zabawy kosztowne, a państwo belgijskie, w odróżnieniu od jego obywateli, jest biedne. Równocześnie, co niemniej ważne, Europa dla swych bachanalii wybrała sobie akurat sobotę, a jest to dzień przeznaczony na mycie samochodu (nie-dziela schodzi na strzyżeniu trawników) i nikt tu nie widział powodu do zmiany obyczajów z powodu jakichś tam międzynarodowych igraszek.

A tymczasem tego dnia stała się w Brukseli naprawdę rzecz ważna. Europa, ta „duża”, rozciągnęła się od koła polarnego aż po Sycylię i od Dublina po Łabę. To jest kawałek świata i Belgowie niesłusznie zlekceważyli telewizyjną transmisję „na żywo”. I gdyby nie atramentowy pocisk wymierzony przez panią Kwiatkowską w premiera Heath'a (o czym za chwilę przegapiliby oni w ogóle moment narodzin nowego super-mocarstwa, którego — zgodnie z formułą pewnego dość świeżego klasyka z PRL — nikomu bezkarnie lekceważyć nie wolno.

A trzeba było aż lat 20, aby „Widziane z Brukseli”, super-mocarstwowe i wielkoeuropejskie mogło ten fakt odnotować i aby premierzy i ministrowie 10 państw mogli uroczystie „odbić” szampana.

Ciało dinozaura...

A było co opić. 260 milionów nowych wielko-Europejczyków obraca samodzielnie ok. 200 miliardami dolarów, czyli ponad 40 procentami całej handlowej wymiany światowej. Zostają więc daleko w tyle USA z 15 proc., Japonia z ok. 7 proc., a nawet ZSSR z ok. 4 proc. Duża EWG daje roczny produkt narodowy brutto wartości ok. 640 miliardów dolarów, mniej niż USA, które dochodzą już do ok. tysiąca miliardów dolarów (sprzed dewaluacji), ale więcej niż ZSSR, który nie wychodzi ponad 290 miliardów (w rublach jest to naturalnie więcej). EWG jest największym producentem samochodów, stali, posiadaczem największej floty handlowej itd., itp. Można by tak ciągnąć długo jeszcze, ale to nużące i coraz mniej zrozumiałe, zwłaszcza dla kogoś, dla kogo czysta abstrakcja rozpoczyna się już od sumy 100 dolarów w gotówce.

Dodajmy tylko, że choć EWG ignorowana jest przez obóz socjalistyczny ze Związkiem Sowieckim na czele, oraz przez dwa pozaobozowe super-mocarstwa komunistyczne, Chiny i Albanię, to w orbicie wspólnoty znajdują się już wszystkie, z wyjątkiem Libii, kraje basenu śródziemnomorskiego, że układami stowarzyszeniowymi związanych jest z EWG 21 państw Afryki, że po wej-

ściu Anglii preferencje rozciągną się na kraje *Commonwealth'u* i że tą drogą 1/4 całej ludzkości znajdzie się w sferze promieniowania EWG.

Nic dziwnego więc, że każde poruszenie tego kolosa jest z uwagą śledzone na całym świecie. Więcej. Gdziejegdzie rozważana jest z pewnym niepokojem nawet zdolność współnorynkowego giganta do podejmowania decyzji szybkich i zawsze właściwych.

... a mózg?

W tych wątpliwościach jest pewna doza racji. Nie wystarczy przecież podpisać układu o utworzeniu jakiejś organizacji aby jej zapewnić skuteczne i właściwe działanie. Sama tylko siła materialna wspólnoty nie wystarczy. W dniu narodzin „Europy dziesięciu” pewna gazeta porównała EWG do dinozaura. To bystry i prawidłowy skrót. Ta przedpotopowa bestia miała przecież małeńki mózdzek z trudem uruchamiający ogromne cielsko i stanowiła łatwy cel dla wrogów, jeżeli takowi wtedy istnieli. Otóż teraz takowi istnieją i duża EWG nie wytrzyma konfrontacji, jeżeli nie unowocześni swej struktury organizacyjnej, jeżeli nie przyspieszy i nie wyostri reflexów i decyzji. Europa musi przezwyciężyć wewnętrzne animozje, małostkowe nacjonalizmy, śmieszne rozbieżności wynikające z prowincjonalnych rozbieżności wyborczych, gdzieś w Ardenach czy Lotaryngii, Bawarii czy Toskanii. Musi też powstać autentyczna ponadnarodowa struktura w łonie dużej Europy. Trzeba chyba będzie skończyć z zasadą jednomyślności, która sprawia, że życiowe decyzje opóźniane są przez tchórzliwych albo egoistycznych polityków. W skrócie, Europa musi mieć odpowiednio sprawny mózg, potęga jest bowiem funkcją możliwości decydowania o własnym losie. Dinozaur jeżeli chce żyć, musi umieć poruszać się samodzielnie i to we właściwym kierunku.

Tym kierunkiem jest jedność polityczna Europy. Z Brukseli widać, że do niej daleko. Ba, daleko jeszcze do prawdziwej unii monetarnej czy ekonomicznej. Na szczęście, przyszło walutowe trzęsienie ziemi, po którym wszyscy zainteresowani, nawet Francja, zrozumieli, że tylko w jedności siła. Ruszył więc z miejsca dawno opracowany mechanizm likwidacji barier wewnątrz EWG. Mądra Bruksela nie chce, żeby — tak jak mówiono o wojskowych, że są zawsze spóźnieni o jedną wojnę — powiedziano o euro-politykach, że są o jeden pokój „do tyłu”.

Są oznaki trzeźwienia. Na szczytach trójkąta Bonn-Paryż-Londyn mówi się o unii ekonomicznej, monetarnej i innych makrosprawach. W Brukseli zaś, gdzie wiedzą, że ważne decyzje zapadają gdzie indziej, marzy się skromniej: o europejskim obywatelstwie, o europejskich posłach wybieranych w wyborach powszechnych i bezpośrednich, o europejskim dukacie czyli wspólnej monecie i o europejskim dyplomie, to znaczy o swobodzie praktykowania wolnych zawodów we wszystkich krajach EWG.

Atrament bez plamy

Zanim to wszystko Bruksela załatwi, stała się ona już widownią pierwszej wielko-europejskiej demonstracji protestacyjnej. W dniu inauguracji dużej Europy pewna dama oblała mianowicie atramentem brytyjskiego premiera. Stało się to w chwili gdy Heath wkraczał na salony odnowionego na tę okoliczność pałacu Egmontów w Brukseli. Demonstracja udała się. Premier musiał się wykapać i poczekać aż mu ambasadzki Rolls przywiezie nowe szaty, nie chciał bowiem skorzystać z wielkodusznej oferty szefowej ekipy belgijskich sprzątaczek, która, nie zważając na koszt, ofiarowała premierowi Jej Królewskiej Mości koszulę swego męża. Samo zajście nie miało zresztą nic wspólnego z EWG, „zamaczowiec” chciał wyrazić, na oczach świata, swoje niezadowolenie z projektu przebudowy londyńskiej dzielnicy Covent Garden. Świat to rzeczywiście zauważył, albowiem cała uroczystość została opóźniona o godzinę, co było ważne dla gości, gospodarzy i widzów, mimo, że na ową chwilę Europa czeka już od lat 500.

Ale za to poplamiony p. Heath, pierwszy — po Paderewskim — dobry muzyk na czele państwa, przejdzie do historii w towarzystwie niejaki p. Kwiatkowskiej — Marii dwojga imion Luizy. Jest to damski prototyp prawdziwej Europy. P. Kwiatkowska bowiem urodziła się w znanej nam miejscowości Murnau w 1941 roku, nosi nazwisko polskie, obywatelstwo ma niemieckie, pracuje w Anglii dla czasopisma szwedzkiego i przebywa czasowo w więzieniu belgijskim. Dochodzenie toczy się w oparciu o dekret z roku 1858, kiedy okazało się, że zamach na Napoleona III przygotowywany był m.in. w Brukseli. Nie grozi jej zresztą wielka kara, Anglia bowiem nie złożyła skargi, a wylany atrament nie zamazał oblicza nowej Europy.

Prawdziwi Europejczycy ze Wschodu

Nic dziwnego, że coraz bardziej europejska atmosfera Brukseli przykuła już dawno uwagę dyplomacji sowieckiej. Zainteresowanie to było tak duże, że, jak pamiętamy, spowodowało ono niedawno nagłe przesunięcie do centrali ok. 30 funkcjonariuszy (to właściwe określenie) ambasady ZSSR w Belgii. Nie należy jednak sądzić, że owo zainteresowanie ogranicza się jedynie do EWG i NATO, czyli do spraw wojny handlowej lub wojny w ogóle. Nie, wprost przeciwnie. Tu chodzi o pokój. Dla świata, ale przede wszystkim dla Europy. Moskwa wybrała sobie Brukselę z jej międzynarodową atmosferą, kosmopolityczną i tolerancyjną, za główny teren mobilizowania kontynentalnej opinii publicznej (to znaczy zachodniej, bo wschodnia już jest zmobilizowana) do działania na rzecz zwołania konferencji na temat bezpieczeństwa Europy. Tu mianowicie koncentrują się obecnie inicjatywy mające, równoległe do poczynań rządowych, spopularyzować ideę

konferencji wśród szarych ludzi i wywrzeć wpływ na poszczególne rządy w kierunku szybkiego jej zwołania.

W tym celu grono pewnych osobistości politycznych w Belgii podjęło odpowiedzialną inicjatywę i w czasie ostatnich kilku miesięcy zwołało w Belgii lub współorganizowało gdzie indziej całą serię narad, kolokwium, seminariów itp. konsultacji. Faza organizacyjna rozpoczęła się chyba w czerwcu 1971 w Brukseli, po czym panowie przenieśli się kolejno do Wiednia, Warszawy, Bad Godesberg i wreszcie ponownie, w styczniu 1972, spotkali się w Brukseli. We wszystkich krajach wschodnich (z zachodnimi jest gorzej) powstały naturalnie spontanicznie „społeczne” komitety dla bezpieczeństwa europejskiego, choć wiadomo dobrze, że niebezpieczeństwo grozi im tylko z jednego miejsca, i że żaden komitet nic na to nie poradzi. Najbardziej ożywioną działalność wykazywał naturalnie spontaniczny i społeczny komitet w ZSSR, który utworzył kilka specjalnych branżowych komisji, dostał kilkanaście etatów i samochodów, a nawet zaczął wydawać własny periodyk. Wszystko, aby tylko nastąpiło w Europie bezpieczeństwo i zaczęła się prawdziwie wolna, swobodna i twórcza współpraca oraz wymiana na wszystkich polach.

Niestety, mimo szumu, zainteresowanie belgijskiej i zagranicznej opinii obradami „zgrupowania przedstawicieli opinii publicznej Wschodu i Zachodu” było minimalne. Kiedy więc organizatorzy stwierdzili, że cicho-sza, ba, że niektóre osobistości, widząc, delikatnie mówiąc, mało reprezentatywny skład poszczególnych delegacji zachodnich, dyskretnie poddają tyły, wtedy dokonali desperackiego kroku. No, i pośliznęli się.

Aby mianowicie przełamać obojętność Belgów, a to rzecz zaiste niełatwa, Rosjanie postanowili rzucić do boju swą broń ostateczną, to znaczy „człowieka, który brzmi dumnie”. Zaproponowano mianowicie prasie belgijskiej spotkania i wywiady „na żywo” z delegatami sowieckimi: „pisarzem” Czakowskim, naczelnym redaktorem *Literaturnoj Gazety*, Tołkunowem, red. nac. *Izwestii* oraz metropolitą Nikodemem, takim Dyzmą cerkwi prawosławnej, *chargé* od jej spraw międzynarodowych (sic!).

Skonfrontowani z tymi przedstawicielami „opinii publicznej ZSSR” dziennikarze belgijscy tylko z trudem potrafili uratować resztki poczucia humoru. Swym wrażeniom dali naturalnie wyraz w gazetach. Przytoczyli lojalnie — tu taki dziwny zwyczaj — słowa sowieckich „intelektualistów”, a potem powiedzieli swoje.

Czakowski, *porte-parole* delegacji, znany z delikatności i promocyjnego Sołżenicyna i innych, zaczął skromnie od stwierdzenia: „Ja nie jestem Lew Tołstoj”, czego zresztą nikt nie podejrzewał, jego twórczość literacka nie jest tu bowiem bliżej znana. Za to obecnie znane są już jego opinie: Sołżenicyn, to autor jednej złej sztuki, gloryfikującej zdrajcę Własowa, piszący wyłącznie dla inkasowania zachodnich honorariów; Bułgakow, to autor także jednej złej sztuki i to tak panegirycznej, że sam Stalin musiał mu ją odesłać; żadnej inwazji w Czechosłowacji nie było. Inwazja wiąże się z okupacją, a okupacji nie ma, bo w czasie okupacji

nad pałacem w Brukseli wisiła swastyka, a nad Hradczynem powiewa swobodnie sztandar czechosłowacki. Bukowski, zwyczajny przestępca, bo tak napisała *Wieczerna Moskwa*, Nikodem, o talii „jak Peter Sisters”, oraz Tołkunow mówili podobnie, o czym czytelników *Kultury* przekonywać nie trzeba. Mimo więc, że „atmosfera była jak najmniej syberyjska” i że goście z Moskwy odważyli się nawet opowiadać żydowskie dowcipy, zastrzegając się naturalnie, że nie zmienia to ich negatywnego stosunku do zaborczego państwa Izrael, mimo tego wszystkiego wrażenie było piorunujące. Zwłaszcza, kiedy na zakończenie przedstawiciele sowieckiej opinii publicznej odrzucili wszystkie prowokacyjne aluzje do sprawy wolności słowa w ZSSR, twierdząc, że nigdzie tak wolno nie oddycha człowiek jak w Moskwie, bo mu to gwarantuje konstytucja.

Nic dziwnego, że goście z ZSSR, mimo tolerancyjnej atmosfery Brukseli, załatwieni zostali odmownie. Gazety napisały krótko, że ten sposób zwracania się przedstawicieli opinii publicznej w ZSSR do opinii publicznej w Belgii jest śmieszny, jeżeli nie bezczelny. Sądy o Sołżenicynie pozostały bez komentarza, bo w odróżnieniu od wolnych obywateli Wschodu, miejscowy czytelnik zna książki tego pisarza. Dziennikarze dodali jednak, że wypowiedzi gości sowieckich wyrządziły jak najgorszą przysługę idei konferencji europejskiej. Jeżeli bowiem nie można porozumieć się co do znaczenia pojęć „wolność”, „niezależność” i tp. — nawet na poziomie przedstawicieli opinii publicznej — to jakież szanse w tej dziedzinie ma konferencja na szczycie...?

Ideologiczny „savoir-vivre”

Ale najzabawniejsza rzecz prawie że uszła uwadze obserwatorów. Okazało się mianowicie, że to wielkie zgromadzenie „przedstawicieli opinii Wschodu i Zachodu” odbyło się na zasadzie „nie poruszania problemów ideologicznych, albowiem mogłyby one wywołać spore nieporozumienia”. Jeden z komentatorów zdążył zapytać jednak czym miałyby się zajmować wobec tego sama konferencja, skoro wiadomo że to co dzieli Wschód od Zachodu, to nie umiłowanie pokoju, bezpieczeństwa i wolności, a właśnie sposób pojmowania tych pojęć i ich treści.

Ba, oto jest pytanie. Odpowiedź mieści się w taktyce dyplomacji sowieckiej ostatnich lat. A gra idzie o wielką stawkę. Z przyczyn, o których była już w *Kulturze* wielokrotnie mowa, ZSSR dąży do wielkiej konferencji, która — na kształt nowej Jałty — uwieczniłaby, zakuła w pancerz oficjalnego dokumentu (bumaga przede wszystkim) i przypieczętowała podpisami wszystkich państw Europy plus USA i Kanada obecny *status quo*. Ale uwaga, wcale nie tylko dotyczy *status quo*. Nie, Rosji chodzi o coś więcej. O to aby Zachód raz na zawsze odczepił się od Wschodu i aby definitywnie uznał prawo ZSSR do swobodnego decydowania o losach obszaru za Łabą. Krótko mówiąc, Rosja chce formalnej zgody Zachodu na to co się tu, nietrafnie, nazy-

wa doktryną Breżniewa, a czego Polakom wcale tłumaczyć nie trzeba.

Do tego celu Kreml zmierza dwoma w zasadzie drogami. Po pierwsze głośno i szeptem przekonuje Zachód, że odprężenie w sytuacji międzynarodowej oznacza również liberalizację na wewnątrz. A jest to argument ważny i skuteczny. Któż bowiem na Zachodzie nie pragnie wolności dla Amalrika i Bukowskiego, swobody dla Sołżenicyna, trybuny dla Sacharowa, emigracji Żydów, powrotu Tatarów, osłabienia „normalizacji” Czechosłowacji itd. itp. Dlatego opinia zachodnia cieszy się, kiedy jej rządy podpisują z ZSSR wszystkie rodzaje umów o współpracy kulturalnej, o wymianie „osób, dzieł, idei i informacji”.

Koszerne kolacje...

A tymczasem? Tymczasem trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Konieczne, nieuniknione i pożądane odprężenie polityczne w Europie, choć ma oczywisty priorytet, nie oznacza liberalizacji na Wschodzie, a raczej wprost przeciwnie. Na podpisie ministrów wszystko się na ogół kończy. Reszta, czyli wymiana, odbywa się już „jednokierunkowo”. W obliczu odprężeniowego strumienia idei władze na Wschodzie muszą docisnąć śrubę. I rzeczywiście, Rosjanie, Czesi itd. wcale się nie kępią. Tuż po tym jak Breżniew podpisał z Pompidou umowę „o swobodnej wymianie ludzi i idei”, Szelest na Ukrainie przestrzegł przed słabością wobec burżuazyjnych idei, a *Prawda* dołożyła od siebie czyli od KC KPZS, że my, panie, znamy tych, co to „pod pretekstem współpracy kulturalnej chcą przerzucić mosty ideologiczne i osłabić pryncypialne poglądy narodów ZSSR na sprawy wolności i kultury”.

Pani Furcewa, minister od kultury, pojechała do USA aby „współpracować kulturalnie” z Amerykanami. Największe wrażenie zrobiło jej futro z nurków — rzeczywiście bomba. Jej wypowiedzi natomiast nie oszołomiły słuchaczy. Wynikało z nich m.in. że „Sołżenicyn traktowany jest tak jak na to zasługuje” i inne podobne rzeczy. Drogi gościa i gospodarzy szybko się więc rozeszły, tym bardziej, że w czasie wizyty pani Furcew w USA jej koledzy z rządu wyrzucili amerykańskiego kongresmana, a jej koledzy z KC nakazali w specjalnej rezolucji zdecydowanie zwalczać burżuazyjne — to znaczy wszystkie poza ich własnymi — poglądy na sztukę.

To wszystko — USA, wiadomo, kraj niewoli — nie przeszkodziło na szczęście w triumfalnym *tournee* po Ameryce poety Jewtuszenki. Jest to eksportowy *superstar* sowiecki, który swe poetyckie strzały wypuszcza, jak to określił pewien pan z Krakowa, „na spadochronikach” aby miękko lądowały. Oczywiście w ZSSR. W USA wypuszczał je bowiem bez żadnych spadochroników, tam bowiem poeci nie idą do szpitala dla wariatów, mogą natomiast występować przed 10.000 widzów w Madison Square Garden. Jewtuszenko więc nie kępował się i w towarzystwie amerykań-

skich kolegów odczytał swe natchnione strofy o tym, że „gwiazdy w sztandarze USA przypominają dziury po kulach karabinowych”, że „wszędzie unosi się swąd powszechnego Dallas”, że wojna w Wietnamie to zbrodnia oraz inne płody lirycznego uniesienia wolnego człowieka sowieckiego.

No i w dzień po tym *show*, Jewtuszenko, bez spadochronu, przyjęty został i to przez 80 minut — dłużej niż niejeden szef państwa — przez prezydenta Nixona.

To wzruszające zaiste, że szef najpotężniejszego mocarstwa świata ma czas na rozmowę z poetą i to rosyjskim... Ale jakby to było ślicznie, gdyby potem to samo odbyło się w Moskwie. Oczywiście już widzę ogromną halę w pałacu zimowym na Łużnikach. 10.000 Moskwiczów z entuzjazmem oklaskuje amerykańskiego Jewtuszenkę, który w towarzystwie Bukowskiego i Gorbaniewskiej recytuje swe wiersze, o tym do czego podobny jest sierp i młot, co odczuwa na temat pewnych błędów i wypaczeń, obozów, inwazji na Pragę itp. I widzę, jak następnego dnia poetę z USA przyjmuje na Kremlu sam Breżniew. Przez 80 minut...

Przepraszam, rozmarzyłem się. Coś takiego nikomu tu przecież nie przyjdzie do głowy. Żądam oczywiście za wiele. Czyż bowiem nie jest prawdą, że niedawno najwięksi kompozytorzy z Szostakowiczem na czele ostro zaprotestowali przeciw gwałceniu człowieka? W USA naturalnie. Czyż nie jest prawdą, że grono wybitnych uczonych zaprotestowało przeciwko zbrodniom sądowym? Też w USA naturalnie. A że nie przyjechał na Zachód Roztropowicz czy Maria Grinberg, zrywając w ten sposób kontrakty pozawierane w ramach międzynarodowych umów o współpracy kulturalnej? Hélas! U nas ludzie też chcą ich słuchać, a naród u nas suwerenny. Że nie wpuszcza się do ZSSR Igora Markiewicza i innych? Brak sal, terminów, u nas sezon taki bogaty... Że aresztowano w Pradze dziennikarza włoskiego Ocheto, że wydalono stamtąd korespondenta nawet *Unità*'y, że KGB przetrzymało i przesłuchiwało korespondentów AP, Reutera, *Times*'a... To nasze sprawy wewnętrzne, to nie ma nic wspólnego ze współpracą międzynarodową, wymianą „ludzi, idei, informacji”, bo oni „pchali swój nos gdzie nie należy” i kontaktowali opozycję w kraju z emigrantami politycznymi. Że wyrzuciliśmy amerykańskiego senatora? Panowie, przecież on jadł kolację, na pewno koszerną, z żydowskim cybernetykiem, kandydatem na emigrację do Izraela. Czy to jest miejsce na kolację dla amerykańskich polityków?

...i trefni podżegacze

Rzeczywiście. Ale to nie wszystko. Równoległe do kontynuowania a nawet rozwijania „jednokierunkowej” współpracy kulturalnej, polegającej na zsyłaniu na Sybir Bukowskich, a wysyłaniu do Brukseli Czakovskich, ZSSR zmierza do swej konferencji jeszcze drugim torem. Każdy mianowicie kto ośmieli się uczynić aluzję, iż właściwie, mimo wszystko, aresztowanie

uczonych, zamykanie pisarzy w domu wariatów, zsyłanie sceptyków, strzelanie do robotników, deportacje, inwazje itp. wydają się pozostawać w pewnym stopniu w niezgodzie z prawami człowieka, naukami socjalizmu i przeszkodą we współistnieniu i umacnianiu bezpieczeństwa, ten natychmiast jest ogłaszany podżegaczem wojennym i antypokojowym kanałią. Szafa często gra, albowiem nikt tu nie lubi być publicznie obrzucony mięsem, a zawsze przecież znajdzie się takie szmaciane piśmko czy inna trybuna gotowa do wyplucia paru inwektyw pod adresem nieuleczalnych malkontentów.

W ten sposób przyucza się Zachód do skromności i zadawania małym. W kilka tygodni po grudniu odbywał się we Francji międzynarodowy „okrągły stół”. Rzecznik polskiej grupy sprzeciwił się dyskusji nad wydarzeniami z Gdańska, motywując to „głębką żałobą narodu polskiego opłakującego zabitych”. Międzynarodowe grono fachowców od polityki zaakceptowało natychmiast ten wzruszający argument, choć oczywiście wyśmiałoby Amerykanów, gdyby zechcieli oni na tej zasadzie stordować dyskusję o Wietnamie, czy Anglików w odniesieniu do Irlandii. Z reguły zresztą to sam Zachód proponuje dyskusję na temat najbardziej drażliwych tematów własnych, rozumiejąc, że milczenie nie ułatwia zrozumienia i porozumienia. Dodajmy tylko, że na szczęście „żałoba” rzecznika nie trwała długo, nie przeszkodziła mu ochoczo podskakiwać po zakończeniu dyskusji, ani zadzierać w prasie krajowej byłego kolegi, ot tak, na wszelki wypadek, bez żadnej szkody dla ofiary, tylko aby się zasłużyć komu trzeba i móc uczestniczyć — w żałobie — w dalszych okrągłych stołach.

Pewna wielka gazeta zachodnia chyba najtrafniej wyraziła ten typ uczuć, kiedy niedawno napisała, że trzeba umieć się ograniczać i nie trzeba się skarżyć, albowiem za czasów Stalina wszyscy niezadowoleni byłiby już dawno po rozwałce, teraz natomiast żyją, może nie najlepiej ale jednak, a niektórzy nawet są jeszcze na wolności. Ten zachodni strach „przed gorszym” to wielki sojusznik ZSSR, który to umiejętnie wykorzystuje. Dlatego właśnie zawsze można znaleźć grupę naiwnych, która kierowana przez sprytnych, szanuje „żałoby”, akceptuje konferencje „bez sporów o ideologie”, itd. I dlatego właśnie bez echa na sali obrad przeszedł fakt, że kiedy Czakowski przemawiał w Brukseli do „przedstawicieli opinii Wschodu i Zachodu”, w Moskwie toczył się proces Bukowskiego, ZSSR opuszczał amerykański wydalony senator, w Pradze Lederer dostał dwa lata za skrytykowanie w 1968 roku niejakiego Gomułki, którego potem łagodnej krytyce poddali robotnicy Gdańska, Szczecina... *Et j'en passe*, jak mówią Francuzi.

Bezpieczeństwo z preselekcją

A ponieważ nic nie może zakłócić prawdziwej miłości, i czys-

tego sumienia, więc Wschód pokazał już jak mniej więcej wyobraża sobie tę wielką konferencję na temat bezpieczeństwa Europy. Oto np. dwaj studenci francuscy, lewicowi, a jakże, pojechali do Warszawy na konferencję zwołaną w celu zmobilizowania młodzieżowej społeczności do obrony bezpieczeństwa Europy. Młodzi Francuzi też bardzo tego bezpieczeństwa chcieli, więc m.in. postanowili wyrazić protest przeciw aresztowaniu studentów w Pradze, którzy też na pewno wolą zbiorowe bezpieczeństwo w Europie niż agentów bezpieczeństwa w domu. Ale nie udało się. Inni studenci bowiem, którzy też chcą bezpieczeństwa Europy, dali francuskim kolegom w zęby i wylali z sali obrad konferencji na temat bezpieczeństwa, a władze PRL, które też chcą zapewne bezpieczeństwa Europy wydalili dwóch Francuzów z granic Polski.

Bezpieczeństwa już w skali nie Europy a świata chcieli inni Francuzi, którzy zapragnęli w związku z tym uczestniczyć w światowej konferencji „przedstawicieli opinii publicznej” na rzecz pokoju w Wietnamie. Ponieważ odbywała się ona *ausgerechnet* w Wersalu, więc ci Francuzi nie dostali po zębach, bo w ogóle nie zostali na salę wpuszczeni z uwagi na swe zbyt... lewicowe poglądy. Oczywiście, nie zostali także deportowani bo są u siebie w domu, i nie zostali zesłani na Syberię bo aczkolwiek Francja podpisała z ZSSR umowę o wymianie doświadczeń, ludzi i idei, to nie podpisała — na szczęście — takiej umowy o wymianie praktyk z zakresu socjalistycznej praworządności.

Prostaczkom mogłoby się wydawać, że taka preselekcja przeży samej zasadzie przedstawicielstwa opinii publicznej, ale praktyka, jak widać, nie potwierdza tych małostkowych zastrzeżeń.

Co więc pozostaje malkontentom, podżegaczom itp.? Niewiele Zmęczona i zrażona nieskutecznością społecznego działania w obliczu ofensywy „żałobników” ze Wschodu, miażdżona przez wielką strategię rządowej hipokryzji, przez państwowe amnezje, opinia zachodnia kruszeje i wycofuje się. Pozostają już tylko najmocniejsi, choć też świadomi bezradności.

„Hitler wygrał wojnę. Wszystko zaczyna się na nowo”.

Tak krzyczał Vercors.

„Czy pozostawimy tych zakneblowanych ludzi bez obrony... Okoliczności międzynarodowe narzucają milczenie, cudze cierpienie jest zawsze dalekie... Ale nie starczy murów, aby stłumić nasz głos”.

Tak obiecuje François Mitterand.

„Milczenie równa się współodpowiedzialności. Uwaga! Defetyzm tchórz służy zbrodniarzom”.

Tak przestrzega Gabriel Marcel.

„Ano, właśnie”.

Tak wzdycha...

BRUKSELCZYK

Pisane 13 lutego 1972 r.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Strach ogarnął ogromne imperium.

Wydawałoby się, że w ostatnich latach Breżniew i jego towarzysze odnoszą jedno zwycięstwo za drugim: w Czechosłowacji, na Ussuri, na półwyspie indyjskim. Jak tłusta plama, nie napotykać na sprzeciw, rozszerza się sfera interesów Związku Sowieckiego. Dawno już zostały zrealizowane najbardziej zuchwałe marzenia carów rosyjskich. Imperium rosyjskie rozszerzyło się do granic, o których nie śmieli marzyć jego twórcy. W jednym co prawda punkcie „plan” nie został wykonany — Konstantynopol ciągle jeszcze w rękach „bisurmanów”. A Marks, ostrzegając narody Europy przed rosyjskim niebezpieczeństwem, podkreślał, że jeśli Rosji uda się opanować cieśniny, to stanie się ona gospodarzem kontynentu. Marks nie przewidział jednak pojawienia się kontynentalnych rakiet i sputników, które w dużym stopniu kompensują niewypełnienie „planu” odnośnie Konstantynopola.

Ale czym silniejsze staje się imperium, tym bardziej się ono boi. Powody strachu są oczywiste. Wszystkie zwycięstwa, osiągnięte w ostatnich latach przez Związek Sowiecki, są zwycięstwami zewnętrжно-politycznymi. Reforma ekonomiczna, o której dyskutuje się już całe dziesięciolecie, nadal jest tylko marzeniem grupy „postępowych technokratów”; gospodarka rolna nadal jest troską numer jeden kierowników jednego z dwóch najbardziej potężnych państw w świecie. I nadal — jak w XIX wieku — urodzaj w Rosji zależy od pogody. W razie niepogody kraj, który niegdyś karmił chlebem całą Europę, a dziś wysyła kosmiczne sondy na Marsa, zakupuje zboże za granicą; problem narodowościowy, wiele razy już definitywnie rozwiązany przez Stalina, w dalszym ciągu koncentruje uwagę.

Wewnętrzna słabość wielonarodowego imperium, które wysuwało forpoczty na tysiące kilometrów od swych granic, nie może być niedostrzegalna dla jego kierowników. Próbujać oni przewyciężyć tę słabość wzmocnieniem zapleczka wypróbowanymi w cią-

gu wielu lat metodami. Powstaje coś w rodzaju kantowskiej antynomii — rozszerzać granice zewnętrzne, zachowując wewnętrzne.

Stalin, tworząc swoje państwo, przede wszystkim otoczył je kamiennym murem nie chcąc dopuścić do siebie nikogo, ale i nie chcąc jednocześnie wychodzić poza granice starego imperium rosyjskiego.

Tym częściowo tłumaczy się zdecydowanie negatywne stanowisko wodza narodów do rewolucji chińskiej. Tym tłumaczy się również niechęć Stalina do budowania wielkiej floty oceanicznej. Gdy w połowie lat trzydziestych powstał wśród sowieckich marynarzy spór jakie budować okręty — przybrzeżne, czy dalekomorskie — Stalin wygłosił pamiętne słowa: „Nie u brzegów Ameryki będziemy wojować!” Projekty budowy statków dalekomorskich zostały zlikwidowane wraz z ich autorami.

Niedawno prasa amerykańska doniosła, że wywiadowcze sputniki sfotografowały w stocznjach nikołajewskich budujący się okręt nieznanego dotąd we flocie sowieckiej rozmiaru i przeznaczenia. Specjaliści przypuszczają, że jest to lotniskowiec, przypominający amerykańskie okręty tego typu. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to należy oczekiwać zmiany całej sowieckiej strategii. Możliwe, że bierze się pod uwagę również prawdopodobieństwo wojny u brzegów Ameryki.

Rodzi się nowa koncepcja: stalinizm w polityce wewnętrznej i „breżniewizm” w zagranicznej.

Czy może istnieć stalinizm bez Stalina? Doświadczenie historyczne mówi, że jest to niemożliwe. Nadzwyczajne środki stosowane w ostatnich miesiącach w Związku Sowieckim dla „umocnienia zaplecza” i ostra ofensywa na froncie ideologicznym, świadczą jednak, że sowieccy przywódcy robią wszystko w granicach swych sił, by odtworzyć stalinizm bez Stalina.

Atak prowadzi się w dwóch kierunkach — wyolbrzymianie niebezpieczeństwa grożącego ze strony głównego wroga zewnętrznego — Chin, i mobilizacja do walki z wrogiem wewnętrznym.

Kampania antychińska, która w ostatnich dwóch miesiącach osiągnęła dawno nie widziane rozmiary, ma służyć jednocześnie szeregowi celów: przede wszystkim zmienia się formułka określająca znaczenie chińskiej rewolucji. Do niedawna w „Historii KPSS” można było przeczytać, że „ze względu na swoje znaczenie i wpływ na losy ludzkości rewolucja chińska zajmuje w historii światowego ruchu wolnościowego drugie miejsce po rewolucji październikowej”. W kolejnym nowym wydaniu „Historii KPSS” chińska rewolucja jest jedynie „dosyć znaczącym wydarzeniem okresu powojennego”. Ma się rozumieć nie może być mowy o porównaniu tego wydarzenia z rewolucją październikową.

Antychińską kampanię prowadzi się pod hasłem „walki z maoizmem” który zniszczył, ale nie całkowicie, uczciwych chińskich komunistów, pragnących przyjaźni ze Związkiem Sowieckim.

Trzecim celem kampanii jest przekonanie sowieckich czytelników

ków o oczywistości tajnego chińsko-amerykańskiego spisku przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Codziennie we wszystkich piśmiech pojawiają się artykuły, wzmianki i fotografie, mówiące o przygotowaniach Pekinu i Waszyngtonu do wizyty Nixona w Chinach, przedstawianej jako szatańską machinację, której ofiarą ma paść Związek Sowiecki.

Ale jest jeszcze jeden kierunek propagandy antychińskiej — podkreślanie „żółtego niebezpieczeństwa”, które zagraża narodowi rosyjskiemu. Przede wszystkim wykorzystano w tym kierunku sztukę, którą Lenin nazwał „najbardziej ważną”, a Stalin „najbardziej masową” — film. Nowy film, który wszedł na sowieckie ekrany, nosi tytuł, którego symbolizm jest zrozumiały dla każdego widza: „Russkoje pole”. Mówi on o życiu pracowitej sowieckiej kołchoźnicy, uczciwie pracującej dla dobra ojczyzny, a której syn w końcu filmu ginie na granicy w potyczce ze zdraździeckim wrogiem. Sceny końcowe — rzędy grobów i płaczące kobiety — widzowie widzieli już przedtem w telewizji, w kronice filmowej — są to sceny pogrzebu ofiar walk nad Ussuri. W filmie „Russkoje pole” nowy wróg sowieckiego narodu nie jest wymieniony, ale łatwo odgadnąć kto nim jest. Chińczycy, mordercy pokojowych sowieckich obywateli, naruszający pokojową pracę.

Znacznie prostsza sprawa jest z drugim filmem, który wszedł na ekrany po pięcioletnim zakazie. Ma się rozumieć nie można porównywać słabego dzieła Mikołaja Moskolenko „Russkoje Pole” z wybitnym filmem Andrieja Tarkowskiego „Andriej Rublew”.

Ale jest w tych dwóch filmach jeden wspólny szczegół — kolor skóry tych, którzy zabijają rosyjskich ludzi — żółty. U Tarkowskiego są to Tatarzy — u Moskolenki — Chińczycy. Byłoby ogromną niesprawiedliwością z mojej strony uważać „Andrieja Rublewa” za narzędzie w walce z „żółtym niebezpieczeństwem”, ale niewątpliwie tym tylko można wytłumaczyć ukazanie się filmu na ekranach kin w Związku Sowieckim. I można się tylko dziwić zaskoczeniu moskiewskiego korespondenta *Le Monde*, piszącego „Nikt nie wie dlaczego film Andrieja Tarkowskiego „Andriej Rublew” po pięcioletnim oczekiwaniu wszedł na moskiewskie ekrany”. Kierownicy propagandy sowieckiej wiedzą doskonale dlaczego. Doszli widocznie do wniosku, że sceny zniszczenia przez Tatarów rosyjskiej cerkwi, mordowanie Rosjan itp. zasłonią wszystko to co jest w filmie.

Zewnętrzny wróg — to Chiny. To jest jasne dla wszystkich. I można by powiedzieć, że wszyscy są w tym zgodni — i oficjalna propaganda i „dysydenci” wyrażający swe poglądy w artykułach rozpowszechnianych przez Samizdat.

Bardziej skomplikowaną sprawą jest walka z wrogiem wewnętrznym. W starych dobrych czasach carskiej Rosji wszystko było proste. Wróg wewnętrzny to: Polacy, Żydzi i socjaliści. Właściwie wróg został ten sam. Do miejsca zwolnionego przez Polaków pretendują narody bałtyckie i Ukraińcy... Żydzi i socjaliści zachowali swoje miejsce w rządzie wrogów rosyjskiego (sowiec-

kiego) imperium. Ale do nich dołączono zwolenników „konwergencji”, burżuazyjnych liberałów, pacyfistów itd., itp.

W przeciągu ostatnich dwóch miesięcy Komitet Centralny partii, który specjalnie zajął się zagadnieniami ideologicznymi, ogłosił więcej postanowień i decyzji niż za czasów Zdanowa.

W końcu grudnia 1971 roku odbyło się posiedzenie kierowników katedr nauk społecznych szkół wyższych. Wystąpił na nim „sam” wódz sowieckiej ideologii, Michaił Susłow, wyliczając imiennie wszystkich wrogów sowieckiego ustroju i nakreślając zasadnicze linie ofensywy ideologicznej. Wyliczanie wrogów świadczy o przerażeniu, jakie opanowało Susłowa — wrogowie są wszędzie i wszyscy są wrogami. Wylicza więc kogo tylko może: Brzeziński i Aron, Garaudy i Marcuse, Fischer i Goldstücker.

15 stycznia 1972 roku *Izwestia* ogłosiły zasadniczy, teoretyczny artykuł o roli państwa sowieckiego w epoce komunizmu. Z artykułu tego, napisanego — jak by to nie było dziwne — nie przez filozofa, a przez prawnika, wynika jasno, że „przymus państwowy jest konieczny w okresie pierwszego okresu komunizmu”. A tak samo konieczne jest „umocnienia sił zbrojnych i organów bezpieczeństwa państwowego”.

Oto jak autor artykułu, wytłumaczył rozważania Susłowa na ścisły, prawniczy język: „cel komunizmu — wszechstronny i harmonijny rozwój jednostki — nie może być osiągnięty bez aktywnej, regulującej i organizatorskiej działalności państwa”.

Na tydzień przed ukazaniem się tego artykułu w *Izwestiach* sąd moskiewski pokazał w jaki sposób „regulująca i organizatorska rola państwa” przyczynia się do „wszechstronnego i harmonijnego rozwoju jednostki”: mianowicie skazał Władimira Bukowskiego na 7 lat pozbawienia wolności — w tym dwa lata więzienia w pojedynczej celi i 5 lat pobytu w obozie o obostrzonym reżymie. Wina Bukowskiego, oskarżonego o działalność „osłabiającą władzę sowiecką”, polega na tym, że przekazał na Zachód materiały dotyczące zamykania w szpitalach psychiatrycznych ludzi inaczej myślących.

Jednocześnie prowadzone są dwa procesy: proces zastraszenia — skazanie Bukowskiego, osiemnastogodzinna rewizja u jednego z liderów ruchu demokratycznego — Piotra Jakira, rewizje i aresztowania na Ukrainie oraz proces ideologicznego „podciągania” nauk społecznych, literatury i sztuki.

Pierwsza, po dwudziestoczteroletniej przerwie, decyzja Komitetu Centralnego w sprawach literatury, jest poświęcona zagadnieniom krytyki literackiej i artystycznej, ale ma na celu całość literatury i kultury. Właściwie nie ma w niej nic nowego: znów wezwanie do walki z ideologią burżuazyjną, dyskretne podkreślenie nowego niebezpieczeństwa zagrażającego oficjalnej ideologii — neostółwanofilstwa.

Znacznie bardziej szczegółowo były rozszyfrowane myśli zawierające to postanowienie na plenum Związku Sowieckich Pisarzy, spiesznie zwołany w celu mobilizacji pisarzy do walki z wrogami. Wyliczywszy raz jeszcze wrogów, podanych w grudniu

przez Susłowa, główny referent, Władimir Ozierow, dodał jeszcze nowego wroga, zagrażającego literaturze sowieckiej.

Ozierow potępia Lwa Annińskiego cytując jego buntowniczą myśl, że „prawdziwego” pisarza stwarza jedynie „wiara w moralne źródło, niezależne od niczego poza tym jednym, że jest moralne, wiara w wewnętrzną duchową wartość, która wiecznie odnawia jednostkę, a którą w rosyjskiej tradycji kulturalnej zawsze nazywano sumieniem”.

Ozierow ostro krytykuje Anninskiego. Twierdzi, że sumienie nie może i nie powinno być kryterium „prawdziwego” pisarza. Łatwo zrozumieć Ozierowa — jeśli sumienie ma być kryterium „prawdziwego” pisarza, to iluż ich zostanie w Związku Pisarzy Sowieckich?

Ozierow odrzuca sumienie, odrzuca również religię — co rozumiałoby się samo przez się — ale jest to zrobione w formie bardzo łagodnej. Cytując recenzję jednego z ideologów neostowianofilów, W. Czałmajewa, który zachwycając się opisem wielkiego krajobrazu, pisze: „Jak gdyby sam Chrystus otrząsnął swój ornat nad tą polaną”, Ozierow ogranicza się tylko do uwagi: „Bardzo wątpliwy jest taki świadek, jak Chrystus, choć niektórzy krytycy nie mogą się obejść bez powoływania się na niego”.

Znacznie ostrzej Ozierow krytykuje *Nowyj Mir* (z tego okresu kiedy go redagował Twardowski) niż *Młodą Gwardię*, w której ogłasza się artykuły Czałmajewa, ponieważ *Nowyj Mir* lekceważąc odnosił się do tak świętych pojęć, jak „historyczna pamięć narodu”.

Odrzuciwszy i sumienie i religię Ozierow proponuje pisarzom na ich miejsce „walkę z burżuazyjną ideologią” jako główną i jedyną ideologię.

Brak zaufania do skuteczności „wychowawczych” i przymusowych metod zmusza kierownictwo sowieckie do szukania nowych środków do walki z opozycją.

Ciekawą propozycję wysunął w rozmowie z Jamesem Sheyrem, amerykańskim kongresmanem, który odwiedził w styczniu Moskwę, zastępca członka KC, naczelny redaktor *Litieraturnoj Gaziety*, Aleksandr Czakowski: „Jeśli Amerykanie zlikwidują audycje dla Związku Sowieckiego, nadawane przez Voice of America i Radio Liberty, wtedy my — powiedział Czakowski — zmienimy nasz stosunek do naszych „dysydentów” i do wyjazdu Żydów ze Związku Sowieckiego”.

New York Times, który opublikował tę rozmowę, dodaje od siebie pytanie: „Czy Czakowski wyrażał swoje osobiste poglądy, czy też mają one oparcie w kierownictwie KPSS?”

Jak widzimy, osławiona naiwność Amerykanów dochodzi do tego, że uważają za możliwe by Czakowski posiadał własne poglądy, a tym bardziej by był zdolny wyrazić je w rozmowie z członkiem Kongresu USA (nawiasem mówiąc tegoż kongresmana po tej rozmowie i po spotkaniach z ludźmi inaczej myślącymi niż Czakowski, wydalono ze Związku Sowieckiego).

Znaczenie wspomnianej rozmowy polega przede wszystkim na tym, że kierownictwo sowieckie przyznaje się otwarcie zarówno do istnienia wewnętrznej opozycji, jak i do strachu przed informacją, przenikającą do Związku Sowieckiego z zewnątrz.

Eichman proponował państwu zachodnim kupienie u niego Żydów węgierskich za ciężarówki potrzebne armii niemieckiej. Czakowski proponuje Stanom Zjednoczonym kupienie sowieckich Żydów za zrezygnowanie z propagandy radiowej. Zmieniają się czasy, ale moneta obiegowa pozostaje bez zmian. W chwilach kryzysu rzuca się ją na stół.

Piszę tutaj o strachu, który ogarnął sowieckich kierowników państwowych, o zbliżającym się kryzysie, którego charakteru nie sposób przewidzieć. Piszę na podstawie tego, co czytam w prasie sowieckiej.

Ale o tym samym pisze i człowiek, którego dzisiaj nazywają sumieniem Rosji — Aleksander Sołżenicyn.

Poprzedni miesiąc można by nazwać miesiącem Sołżenicyna w prasie sowieckiej. Przede wszystkim, nie wiadomo z czyjego niedopatrzania, ukazał się w 10-tym numerze *Nowowo Mira* wiersz jemu poświęcony. Riazański poeta, Jewgienij Markin, który w listopadzie 1969 roku głosował za usunięciem Sołżenicyna ze Związku Pisarzy, coś przemyślał, coś zrozumiał i napisał wiersz „Biała boja”, nazywając w nim pisarza człowiekiem, który wskazuje drogę ludziom.

Jewgienij Markin, a jednocześnie z nim Aleksander Galicz zostali pospiesznie usunięci ze Związku Pisarzy Sowieckich.

Jakby w odpowiedzi na wiersz Markina *Litieraturnaja Gazieta* opublikowała „demaskujący” Sołżenicyna materiał, zapożyczony go od zachodnioniemieckiego pisma *Stern*.

Parę miesięcy temu w tejże samej *Litieraturnoj Gaziecie* demaskowano *Stern* jako nikczemnego oszczercę Związku Sowieckiego, jako pismo nie zasługujące na zaufanie, gdyż dwóch jego korespondentów ogłosiło reportaże o pobycie w Związku Sowieckim i niewystarczająco pochwaliło to co widzieli. Obecnie *Stern* stał się źródłem godnym największego zaufania.

Z artykułu przedrukowanego w *Litieraturnoj Gaziecie* czytelnik dowiaduje się, że Sołżenicyn pochodzi z bogatej rodziny ziemiańskiej, że jego dziad z linii macierzystej był bogaczem i ordynarnym człowiekiem i że Sołżenicyn nie pomaga dzisiaj swojej ciotce. W komentarzu redakcja *Litieraturnoj Gaziety* obłudnie zaznacza, że „ma się rozumieć jesteśmy dalecy od myśli udowodnienia wulgarno-socjologicznego związku między pochodzeniem człowieka, otoczeniem w jakim przebywał w młodości i jego wychowaniem z jednej strony, a jego działalnością w wieku dojrzałym z drugiej strony”.

Oświadczywszy, że „jesteśmy dalecy od myśli” pismo właśnie tę myśl przeprowadza. Sołżenicyn jest wrogiem władzy sowieckiej, gdyż urodził się w bogatej rodzinie.

Ogromną nienawiść do pisarza, który jest dzisiaj poza zasięgiem „organów przymusu” państwa sowieckiego, można łatwo

wyczytać w wybranych cytatach ze *Stern'a* i w uwagach redakcji.

Ale jeśli mówię, że ubiegły miesiąc można nazwać miesiącem Sołżenicyna, to mam na myśli wspomnienie pośmiertne, napisane po pogrzebie Twardowskiego.

Pisarz nie oszczędza wrogów rosyjskiej literatury. Wyraźnie mówi o zamordowaniu poety, któremu odebrano pismo — „jego dziecko, jego pasję”. Przypomina, że już od czasów Puszkina zawsze było tak, że „w ręce wrogów dostaje się zmarły poeta”. Dla mnie najważniejszą rzeczą w tym „wspomnieniu pośmiertnym” wydaje się przecucie strasznej katastrofy, nadejście „nowego”. I inaczej wygląda rola Twardowskiego, gdy czytamy u Sołżenicyna:

„Obstawili moglię kamienną grupą, i myślą — odgradzili! Zniszczyli nasze jedyne pismo, i myślą — zwyciężyli!

Trzeba zupełnie nie znać, nie rozumieć ostatniego wieku rosyjskiej historii żeby widzieć w tym swoje zwycięstwo, a nie pomyłkę nie do odrobienia. Nierozumni! Gdy rozlegną się głosy młode i ostre, gdy jeszcze będziecie żałowali, że nie ma z wami tego cierpliwego krytyka, którego miękkiego, strofującego głosu słuchali wszyscy, wówczas będziecie rękami rozgrzebywać ziemię, aby wrócić Tryfonicza. Ale to będzie już za późno”.

W 1972 roku Sołżenicyn prawie dosłownie powtarza ostrzeżenie, które dał w 1969 roku w „Procesji Wielkanocnej”¹ mówiąc o młodzieży pozbawionej religii, pozbawionej wiary, pozbawionej sumienia: „Zaprawdę: obróć się którego dnia i stratuja nas wszystkich! I tych, co ich tu naszczuli — tak samo stratuja!”

Czas buntu się zbliża — ostrzega pisarz. Buntu tym bardziej straszne, że nie będzie już takich ludzi jak Twardowski.

Adam KRUCZEK

1. *Kultura* nr 4/283, 1971.

Represje w Czechosłowacji

W cieniu innych ważnych wydarzeń światowych, u schyłku 1971 i na początku 1972 roku dokonano w Czechosłowacji licznych aresztowań politycznych i przeprowadzono kilka procesów sądowych. Aresztowania dokonane zostały w trzech rzutach.

Rząd w Pradze nie jest, rzecz jasna, zainteresowany, by te jego „akty konsolidacyjne” miały szeroki rezonans za granicą. Mimo to Czechosłowacka Agencja Prasowa była zmuszona opu-

blikować w dniu 12 stycznia oficjalny komunikat o „aresztowaniu większej ilości ludzi, którzy w powiązaniu z emigrantami politycznymi i zagranicznymi ośrodkami antykomunistycznymi próbowali przeszkodzić w wysiłkach konsolidacyjnych i którzy będą oskarżeni na podstawie § 98 (niszczenie republiki), § 100 (podburzanie), § 102 (ataki na państwo i jego przedstawicieli) oraz § 105 (szpiegostwo) Kodeksu Karnego”. Nieco później, jako odpowiedź na protesty z Rzymu, agencja potwierdziła wiadomość o aresztowaniu włoskiego dziennikarza Ochetti, a 31 stycznia podała krótką informację o procesie przeciwko Brodskiemu.

W związku z pseudowyborami, pod koniec listopada 1971 w Pradze, Brnie, Bratisławie i kilku innych miejscowościach aresztowano ok. 95 osób, oskarżonych o organizowanie bojkotu wyborów oraz o produkowanie i kolportowanie ulotek opozycyjnego „Socjalistycznego Ruchu Obywateli Czechosłowacji”. Poprzez swe wystąpienia, czasopisma i ulotki, ruch ten był już znany od roku 1970.

Szczególnie szeroki i ostry charakter miała ingerencja policji w Brnie. Wśród 40 aresztowanych znajduje się m.in. były sekretarz wojewódzkiego komitetu KPCz i członek Komitetu Centralnego, wybranego na XIV (tzw. wysoczańskim) zjeździe w sierpniu 1968 roku, doc. dr Jarosław Szabata. Szabata wystąpił przeciwko Husakowi już na posiedzeniu KC w dniu 31 sierpnia 1968. Występował przeciwko kapitulacyjnej „normalizacji” również na łamach prasy. W roku 1969 został wydalony z KPCz, usunięty z uniwersytetu i ostatnio pracował jako robotnik w przedsiębiorstwie Armabeton w Brnie. Razem z nim aresztowani zostali jego dwaj synowie, jego córka i synowa. Na wolności z całej rodziny została tylko złożona chorobą żona.

Wśród tej grupy aresztowanych znajduje się również były czołowy działacz Związku Studentów, Jerzy Miller. Już w roku 1966 został on wydalony z uczelni za krytykę reżymu Novotnego i z powodu rzekomych kontaktów utrzymywanych z ambasadą chińską w Pradze. Zrehabilitowany w 1968 roku, brał aktywny udział w rozwijaniu wolnego ruchu studenckiego. W listopadzie 1968 roku był jednym z głównych organizatorów znanego strajku studenckiego na znak protestu przeciwko okupacji i „normalizacji”. W Bratisławie m.in. aresztowano dr. Józefa Brzocha, byłego redaktora tygodnika *Kulturny život*, historyka literatury, a w latach 1968-9 — sekretarza Związku Pisarzy Słowackich. Policja znalazła ponoć w jego teczce kopię wywiadu udzielonego w październiku 1971 roku korespondentowi włoskiej gazety komunistycznej *Giorno* — *Via nuove* przez Józefa Smrkovskiego. Znaleziono podobno również egzemplarze emigracyjnego organu opozycyjnego *Listy*.

Mniej więcej w tym samym czasie aresztowano w Pradze niektórych działaczy protestanckiego kościoła czechosłowackiego, wśród nich filozofa Ladislava Hejdanka wraz z żoną, księdza Jaromira Dus, dr. Jariska, administratora synodu tego kościoła

dr. Novaka i in. oraz ich przyjaciół: historyka Jana Tesarza i socjologa Rudolfa Batteka, którzy już wcześniej spędzili rok w więzieniu za podpisanie „Otwartego listu 10 punktów” w związku z pierwszą rocznicą interwencji sowieckiej. Prawdopodobnie groźba aresztu wisi i nad innymi sygnatariuszami tego listu, m.in. nad pisarzem Ludwikiem Havelem i dramaturgiem Vaclavem Havelem.

W ostatnich dniach minionego roku miał miejsce w Pradze godny uwagi proces polityczny. W dniu 29 grudnia skazany został na 18 miesięcy więzienia b. działacz Związku Studentów Ladislav Mravec, na 10 miesięcy — tłumaczka z polskiego Helena Stachowa. Taką samą karę wymierzono Agnieszce Holland, (zamieszkałej w Czechosłowacji córce znanego polskiego publicyisty, Henryka Hollanda, zamordowanego przez polską Bezpiekę na początku lat sześćdziesiątych). Wszyscy byli oskarżeni o „próbę obalenia ustroju socjalistycznego w bratnim kraju” (!) w związku z tzw. sprawą taterników, sądzonych w 1969 roku w Warszawie. *Nota-bene* osoby skazane podówczas w Polsce zostały już przez nowe władze w Polsce wypuszczone z więzienia! Oskarżenie przeciwko Mravcowi sprowadzało się do tego, że udostępnił polskim studentom niektóre dokumenty o działalności Związku Studentów Czechosłowackich, dokumenty, legalnie opublikowane w Czechosłowacji. Drugim punktem oskarżenia było umożliwienie kupna powielacza; podówczas powielacze były w Pradze w wolnej sprzedaży.

Ponownie aresztowano b. redaktora czasopisma *Reporter*, Jerzego Lederera, który w związku z „taternikami” znajdował się w więzieniu już w latach 1969-70. W końcu stycznia 1972 roku skazano go na 2 lata więzienia, za to, że w 1968 roku opublikował artykuł zawierający oszczerstwa na Gomułkę! Jednocześnie z Ledererem aresztowano jeszcze kilka osób, ale tymczasem brak wiadomości o wyrokach.

Pod koniec roku 1971 w Bratisławie skazano na 18 miesięcy więzienia b. redaktora tygodnika *Kulturny život*, Pawła Liczko, który spędził już dłuższy czas w więzieniu śledczym. Liczko był jedynym zagranicznym dziennikarzem, który przeprowadził wywiad z Sołżenicynem.

Uruchomiono ponadto procesy sądowe, przeciwko tysiącom czechosłowackich obywateli, którzy opuścili kraj po sierpniu 1968 roku. Sądeni są zaocznie za „nielegalne opuszczenie republiki”; wyroki, opiewają na od 6 miesięcy do 3 lat. Procesy te odbywały się już wcześniej, ale wstrzymano je wiosną 1971, po „skazaniu” ok. 1/3 z liczby ponad 60 tys. posierpniowych emigrantów. Władze miały wówczas, zdaje się, wątpliwości, czy będzie rzeczą właściwszą uznanie wszystkich emigrantów za „zbrodniarzy politycznych”. Obecnie nadano bieg wstrzymanym procesom. Tak więc w dniu 31 grudnia został w miejscowości Usti nad Łabą skazany na 8 lat więzienia Jarosław Brodsky, mieszkający obecnie w Stanach Zjednoczonych, za to że opuścił nielegalnie re-

publikę, że był jednym z czołowych działaczy tzw. „Klubu 231”, łączącego ofiary procesów politycznych z lat pięćdziesiątych, że bierze udział w tworzeniu tzw. „Naardęńskiego ruchu uchodźców politycznych” i wreszcie za wydanie książki „Rozwiązanie Gama” o stosunkach panujących w czechosłowackich więzieniach w latach pięćdziesiątych. W związku z powyższym panuje przekonanie, iż w ten sposób został stworzony precedens do podobnych wyroków i wysokich kar dla innych emigrantów politycznych.

Druga wielka fala aresztów miała miejsce w dniach 26-28 grudnia 1971 roku kiedy to policja aresztowała kilkuset obywateli. Część z nich została zwolniona i dalsze postępowanie przeciwko nim toczy się z wolnej stopy. Większość jest oskarżona o „obrazę rządu i sojuszników”, popełnioną w prywatnej korespondencji, zwłaszcza w korespondencji z zagranicznymi przyjaciółmi. Chodzi o to, że w ministerstwie spraw wewnętrznych w Pradze i w urzędach wojewódzkich i powiatowych zostały przed kilkoma miesiącami rozbudowane wydziały kontroli korespondencji i podsłuchu telefonicznego. Wydziały te przedstawiały obecnie pierwsze rezultaty swej pracy, która — trzeba dodać — jest bezprawna w świetle obowiązujących w Czechosłowacji ustaw.

Trzecia fala aresztowań zaczęła się po 8 stycznia, trwa nadal i jej ścisły zakres jeszcze nie jest całkowicie znany. W każdym bądź razie aresztowania dotknęły dużą ilość ludzi, zwłaszcza w Pradze i w Brnie. Poza obywatelami Czechosłowacji aresztowano włoskiego dziennikarza radiowego, Valerio Ochetti. Przebywał on w Pradze prywatnie i został zatrzymany po rewizji na lotnisku, gdy znaleziono u niego „materiały szkodliwe dla interesów Czechosłowacji” — prawdopodobnie niektóre drukowane materiały czechosłowackiej opozycji.

Wśród aresztowanych do znanych osobistości należy przede wszystkim b. rektor Wyższej Szkoły Partyjnej w Pradze, członek KC, a w okresie od sierpnia 1968 do kwietnia 1969 — członek Biura Politycznego i docent Milan Hübl. Hübl zaczynał swą drogę życiową jako robotnik. Po 1948 roku ukończył tzw. studium przygotowawcze i studia uniwersyteckie w Brnie. Jako wykładowca Wyższej Szkoły Partyjnej już w 1964 roku był oskarżony o rewizjonizm i na żądanie Novotnego usunięty z uczelni. Pracował później w Instytucie Historii Państw Socjalistycznych. Odegrał znaczną rolę w kształtowaniu się opozycji przeciwko Novotnemu w KPCz i w swoim czasie należał do kręgu bliskich przyjaciół Husaka. M.in. odegrał dużą rolę w zrehabilitowaniu Husaka i w ponownym wprowadzeniu go do życia politycznego. Od początku był rzecznikiem słowackiego postulatu federalizacji republiki. W kołach opozycji — tak komunistycznej jak i nie-komunistycznej — cieszył się bardzo dużym autorytetem. Do kwietnia 1969 roku był posłem do parlamentu i do Czeskiej Rady Narodowej. Wydalony z partii i usunięty z uczelni w 1969 roku, długo wegetował bez zatrudnienia, utrzymując się wraz z rodziną z zarobków żony, której udało się znaleźć pracę jako posługaczka

w szpitalu. W 1971 roku dostał pracę pomocnika kontrolera w budownictwie mieszkaniowym w Pradze.

Wśród aresztowanych znajduje się również mistrz szachowy i dziennikarz Ludek Pachman, więziony już w latach 1969-70 i zwolniony z więzienia z powodu ciężkiej choroby. Wiadomo także o aresztowaniu dziennikarza radiowego Karola Kyncla, znanego ze swej ostrej krytyki husakowskiej „normalizacji” (wygłoszonej na posiedzeniu komitetu miejskiego KPCz w Pradze), później wydalonego z partii i ze Związku Dziennikarzy i wegetującego bez możliwości znalezienia pracy. Nieco później zostali aresztowani dwaj synowie ofiar procesów z lat pięćdziesiątych, Jan Szling i Jerzy Vlk. Szling jest synem czołowego działacza komunistycznego straconego wspólnie ze Slansky’im. Ojciec Vlka wówczas skazany jako członek zmyślonej „wielkiej rady trockistowskiej”, został wypuszczony w latach sześćdziesiątych i wkrótce zmarł na skutek nabytej w więzieniu choroby. W związku z powyższym należy dodać, że w Czechosłowacji pojawiają się artykuły, starające się przedstawiać terror lat pięćdziesiątych jako „sprawiedliwy i uzasadniony” i poddające w wątpliwość rezultaty późniejszych ustaleń rehabilitacyjnych. Taką m.in. treść zawierał artykuł umieszczony w *Svet socialismu* z 5 stycznia 1972, wymierzony przeciwko prof. Edwardowi Goldstückerowi, w którym o jego aresztowaniu w grudniu 1951 roku pisze się jako o „jego pierwszym konflikcie z czechosłowackim wymiarem sprawiedliwości” (!).

Ta tendencja jeszcze wyraźniej występuje w ulotce, kolportowanej w grudniu 1971 roku w Pradze i w Ostrawie, a której autorów trzeba szukać wśród byłych pracowników Bezpieki i innych aparatów ucisku z lat pięćdziesiątych, na tyle skompromitowanych że nawet w ramach „normalizacji” tylko częściowo można było skorzystać z ich usług przy obsadzaniu wakujących stanowisk. W ulotce atakuje się ekipę Husaka i ministerstwo spraw wewnętrznych za „benewolencję” w stosunku do „takich nieprzyjaciół socjalizmu i agentów imperializmu” jakim jest Józef Smrkovski. Bez zażenowania powtarza się wszystkie absurdalne oskarżenia, dokładnie w tej postaci, w jakiej zostały przeciwko niemu wysunięte w akcie oskarżenia w 1954 roku.

Gdy numer *Kultury* będzie w druku, prawdopodobnie znajdzie już potwierdzenie przypuszczenie, dobrze poinformowanych kół w Pradze, że areszty będą kontynuowane i że dojdzie do kilku politycznych procesów sądowych. Należy przypuszczać, że w czasie procesów będzie się usiłowało zbagatelizować działalność opozycyjną, przedstawiając ją jako „izolowaną działalność zdemoralizowanych elementów” — tak bowiem brzmi opublikowany przez radio komentarz znanego lokaja „normalizacji”, Vilema Novego. Z drugiej jednak strony będzie usiłowało się dowieść, że koła opozycyjne współpracują z polityczną emigracją, z „antykomunistycznymi ośrodkami” i z obcym wywiadem. Nie można wykluczyć, że będzie czyniona próba skompromitowania niektórych najwybitniejszych działaczy okresu Dubczeka.

W ostatnich miesiącach Pragę odwiedziło tyle delegacji sowieckiej sprawiedliwości i bezpieczeństwa, że wpływ Moskwy na tok wydarzeń wydaje się być wręcz bezpośredni i bezsporny. Ponieważ jednocześnie dokonuje się szerokich aresztowań rzeczywistych i potencjalnych opozycjonistów w Związku Sowieckim, być może, że została wydana ogólna dyrektywa zastraszająca opozycję poprzez terror policyjno-sądowy, celem zapobieżenia niebezpieczeństwu, że opozycja spróbuje „dojść do głosu” z okazji mających nastąpić rozmów europejskich.

Z drugiej strony jest jednak faktem, że w Czechosłowacji istnieje nadzwyczaj silna i liczna opozycja, której działalność w drugiej połowie 1971 roku zaktywizowała się. Prawdopodobnie więc, że w ten sposób umacnia pozycję „ultrasów”, niebezpiecznych i dla niego samego. Jednocześnie w 1971 roku nastąpiła „konsolidacja” aparatu policyjnego i sądowego, zainteresowanego w przeprowadzeniu dowodu swej wyjądnosci i niezbędności, a który żąda zwiększenia zarówno budżetu jak i etatów.

W każdym razie, nic nie pozostało z zapowiadanej po wyborach przez Husaka i Sztrougala „konsolidacji”. Przeciwnie, areszty są jednym z wielu dowodów, że dopóki trwa sowiecka okupacja i narzucony przez nią reżym, nie uda się usunąć napięcia.

Jan SEWER

Imprezy litewskie w Polsce

Z Wilna, 4 lutego 1972, donoszą „W PRL zostaną w bież. roku przeprowadzone dni kultury Litwy Radzieckiej. Zakomunikowano o tym na wczorajszym posiedzeniu prezydium Litewskiego Oddziału Przyjaźni Radziecko-Polskiej.

Dni kultury rozpoczną się w Rybniku, woj. katowickie. Zostanie tam zorganizowana wystawa książek litewskich; prace swe zaprezentują graficy, mistrzowie plakatu i fotografii Litwy Radzieckiej. Prócz tego odbędą się koncerty zespołów amatorskich republiki. Następnie wszystkie te imprezy zostaną powtórzone w Warszawie.

Dni o takim samym charakterze przewidziano przeprowadzić w czerwcu w Poznaniu.

Akademia Nauk Litewskiej SRR w połowie kwietnia zorganizuje w Warszawie wystawę litewskiej książki naukowej. Zamierza się na niej ekspozycje edycje prawie 1.000 tytułów.

Na posiedzeniu prezydium zatwierdzono plan pracy oddziału na rok 1972, w którym przewidziano szeroką wymianę kulturalną między Polską i Litwą. Na przykład w Litwie Radzieckiej zobaczymy w czerwcu wystawę prac polskich grafików. Odbędzie się ona w Wilnie. Jesienią rozpocznie się dekada polskiej literatury. Oba kraje dokonają wymiany dużych grup turystycznych”.

(*Czerwony Sztandar*, Wilno, 5 lutego 1972).

Sprawy i troski

P.O.S.K.

W początkach października 1971 zostały rozpoczęte prace przy budowie gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego na Hammersmith (238/244 King Street, London, W.6.). Koszty budowy z biegiem czasu na skutek ogólnego i stałego wzrostu cen będą się zwiększać. Kredyty bankowe są kosztowne. Stąd władze POSKu zwróciły się z odpowiednim apelem do polskiego społeczeństwa o udzielenie jak najszybszego wsparcia finansowego.

Całkowity koszt budowy jest obliczany obecnie na kwotę około £.500.000. Budowa całości podzielona jest na trzy fazy. W tej chwili realizuje się faza pierwsza, gdzie znajdują pomieszczenia: polskie sklepy, polskie księgarnie, lokal klubowy dla młodzieży, siedziba organizacji społecznych z SPK na czele, sale zebrań i klubowe, pokoje restauracyjne i barowe, garaże itp.

Druga faza przewiduje przebudowę zakupionego już kościoła Baptystów dla użytku wszystkich połączonych bibliotek, czytelnia, sal muzealnych itp.

Trzecia faza przewiduje nadbudowę głównej sali teatralnej, gimnastycznej i urządzeń sportowych oraz dalsze pomieszczenia dla biblioteki i archiwów.

Apel POSKu zmierza do uzyskania ofiar w sumie £.50.000 rocznie przez okres pięciu lat. Sumę taką można by uzyskać przez akcję zjednywania osób, instytucji, organizacji i przedsiębiorstw, które by zdecydowały wpłacać £.50.000 rocznie przez okres najbliższych pięciu lat. Dla osób prywatnych jest to zaledwie jeden funt tygodniowo. Po wpłaceniu udziału £.250 nazwisko Fundatora umieszczone zostanie na specjalnej pamiątkowej tablicy w gmachu POSKu. Fundator może zadeklarować pomoc przez zgłoszenie dowolnej ilości wpłat 250 funtowych.

„FUNDATORZY”
ROK 1971/1972

W odpowiedzi na Apel Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego do dnia 31 stycznia 1972 r. następujące osoby, instytucje, organizacje i przed-

siębiorstwa zadeklarowały wpłaty na fundusz budowy płatne jednorazowo, lub w ratach w ciągu następujących pięciu lat:

	£.stg.		£.stg.
1. M. Chmielewski	250.00	45. Polski Ośrodek Młodzieżowy	250.00
2. Colemor Electronics Ltd.	250.00	46. Gmina Polska Londyn-Południe	250.00
3. Continental Wholesale Co. J. T. Raca	250.00	47. Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii	250.00
4. M. Lorenz	250.00	48. E. Suwała	254.00
5. J. Godlewski	1.000.00	49. A. i J. Wojdat	250.00
6. J. Badeni	250.00	50. Koło Saperów 3 DSK.	250.00
7. B. Gozdek	250.00	51. A. i E. M. Brylowie	250.00
8. Zarząd Gł. Związku Karpatczyków	250.00	52. Komitet Parafialny przy Kościele św. Andrzeja Boboli	250.00
9. Stow. Techników Polskich w W. Brytanii	500.00	53. A. Tybulewicz	250.00
10. Panorama Radio Co.	250.00	54. A. Barszcz	250.00
11. R. J. Gabrielczyk ..	250.00	55. W. Orlik-Ruckemann .	250.00
12. M. Sas-Skowroński ..	250.00	56. R. i P. Honcel	250.00
13. O. i R. Wajda	250.00	57. H. Kostka	250.00
14. Z. Kotowski	250.00	58. Baltic Union Shipbrokers Ltd.	250.00
15. P. i K. Hołyńscy ..	250.00	59. Księgarnia P.S.K. P.C.A. Publications Ltd.	250.00
16. K. Zakrzewska	250.00	60. J. K. Gray	250.00
17. P.C.A. Radio	250.00	61. P. i J. Dadlezowie ..	250.00
18. J. i Cz. Woyno	250.00	62. T. Benirski	250.00
19. Gore Hotel - St. Stańczyk	250.00	63. Związek Polskich Spadochroniarzy - Zarząd Główny	250.00
20. Związek Harcerstwa Polskiego	250.00	64. Dr K. Dłużniewski .	250.00
21. G. Slepokora	250.00	65. L. Kantecki	250.00
22. J. Przybylski	250.00	66. Zrzeszenie Plastyków Polskich w W. Bryt.	250.00
23. B. M. i A. Rut	250.00	67. Family Link Club ..	250.00
24. T. Prus-Chąciński ..	250.00	68. Wincon Manufacturing Co. Ltd.	250.00
25. Tazab & Co. Ltd. - T. Zabłocki	250.00	69. Haskoba Ltd. - A. Cas-sel-Koczyński	250.00
26. B. Post	250.00	70. W. J. Klimkiewicz - USA	250.00
27. St. Soboniewski	250.00	71 S. Myron-Pietsch	250.00
28. J. Żaba	250.00	72. N. N.	250.00
29. R. Zakrzewski	250.00	73. Z. i H. Tyczkowsey .	250.00
30. W. Ostropolski	250.00	74. J. i M. C. Leśniakowie	250.00
31. A. Hermaszewska ..	250.00	75. J. Odron	250.00
32. śp. A. Motulewicz — spadek	1.200.00	76. J. i H. Wawrzekiewiczowie	250.00
33. N. N.	250.00	77. Silesia	250.00
34. A. Roclawski	250.00	78. N. N. - Londyn ..	250.00
35. P. Szendzielorz	250.00	79. Polski Związek Oficerów Marynarki Handlowej w Londynie ..	1.300.00
36. B. Miszewski	250.00	80. Skawa Trading Co. Ltd.	250.00
37. W. Wiśniewski	250.00	81. W. i A. Krzyckowscy	250.00
38. C. i J. Rutkiewicz ..	250.00	82. R. i M. Mafeld	250.00
39. J. Kazimierski	250.00		
40. Cz. Zychowicz	250.00		
41. T. Walczak	250.00		
42. T. Lisicki	250.00		
43. J. i M. J. Jarzębińscy	250.00		
44. J. i M. Brzezińscy ..	250.00		

	£.stg.		£.stg.
83. W. Karpiński	250.00	98. Księgarnia Orbis (Londyn)	250.00
84. R. i K. Stadtmullerowie	250.00	99. M. i J. Zieliccy	250.00
85. S. Michno	250.00	100. A. i H. Moszczyński	250.00
86. Dr inż. J. B. Lubicz-Nawrocki	250.00	101. A. i A. Rynkiewiczowie	250.00
87. A. i W. Cabański ..	250.00	102. Koło Kobiet Żołnierzy P.S.Z.	250.00
88. Polskie Koło Katolickie w Leamington Spa	250.00	103. Dr W. i M. Rumun	250.00
89. Zarząd Gł. Koła A.K.	250.00	104. H. Mindykowski ...	250.00
90. Cracovia Book Co. Ltd.	250.00	105. St. i B. Kucharczykowie	250.00
91. P. i B. Hęciakowie ..	250.00	106. Koło J. S. Kadetów	250.00
92. Polskie Stowarzyszenie Katolickie (Polish Catholic Association) Nottingham	250.00	107. K. Korsak	250.00
93. S.P.K. - Koło 11/SW.	250.00	108. Fundusz Społeczny Żołnierza	5.000.00
94. W. i Z. Szadkowsy ..	250.00	109. Polska Macierz Szkolna	1.000.00
95. M. Białkiewicz	250.00	110. Jan Bobrowski & Partners (Consulting Engineers)	250.00
96. śp. T. Krason	250.00	111. H. i W. Martinowie	250.00
97. J. Wysocki	1.000.00	112. M. i B. Stypiński ..	250.00

DARY NA FUNDUSZ BUDOWY POSK DO DNIA 31. I. 1972
W ODPOWIEDZI NA APEL POSK-u ZŁOŻYLI:

	£.stg.		£.stg.
1. W. A. Colonna Walewski	10.00	22. I. Munnich (Krystyna Markiewicz)	1.00
2. T. Bączkowski	5.00	23. M. Kosiewicz (H. Niedziałkowski)	1.00
3. F. Pawlak	20.00	24. Dar bezimienny	1.00
4. M. Radomski	1.00	25. Z. Romerowa	5.00
5. M. Pawłowicz 3 DSK ..	3.00	26. A. i M. Mirzwiński ..	10.00
6. W. Okoński	2.00	27. Polski Ośrodek Katolicki Melton Mowbray ..	50.00
7. Z. Gołębiowski	25.00	28. Emeryt — na uczczenie Generała Leopolda Okulickiego	100.01
8. W. Forkun	2.00	29. L. Łada-Grodzicki	10.00
9. Mrs. Pieńkowski	10.00	30. I. Karczewska	5.00
10. E. i Z. Snichowscy ..	10.00	31. L. C. K. Fiedorowicz, USA ..	\$ 5.00
11. F. Sobierajski	0.25	32. F. A. Wylegała	1.00
12. Ambasada przy Stolicy Apostolskiej, Rzym ..	5.00	33. R. Sochacka	0.25
13. O. Kościalkowska	1.00	34. Ks. L. Czapski	5.00
14. Koło SPK Nr 232	5.00	35. J. Piotrowiczowa	1.00
15. Prof. B. Brzeziński, USA ..	19.71	36. Mec. M. Chmielewski ..	120.00
16. L. Gryczan	10.00	37. Bareley & Sons Ltd. - I. Kupferman N.N.	50.00
17. Tow. Przyjaciół Paryskiej Kultury w Toronto, Kanada	39.26	38. K. Heller	3.00
18. Koło Komp. Zaop. 14 WLKP Brygady Panc.	10.00	39. M. Redgrave	2.00
19. K. Korsak	25.00	40. J. Doneghue	1.00
20. Księgarnia w Ognisku Polskim - p. Rudzka i p. Krynicki	2.00	41. T. Wyrwa (Paryż) ..	5.00
21. Edward Roche (Charitable Trust)	100.00		

	£.stg.		£.stg.
42. Lekarze, Siostry i Personel Polskiego Szpitala w Penley - zamiast kwiatów na grób śp. Doc. Dr. M. Odrzywolskiego ...	18.00	64. J. J. Szostak	1.00
43. S. Sitek	5.00	65. T. Burakiewicz	10.00
44. R. Reiss	0.50	66. W. H. Nowakowie	5.00
45. M. Dziubak	1.00	67. H. i J. Głowacy	10.00
46. H. Żukowski	2.00	68. B. K. M. „Pogoń”	10.00
47. M. Górnac, Doleżał, Heller, Gorman	12.00	69. Dr B. Stec - zamiast kwiatów na trumnę Doc. dr. M. Odrzywolskiego ..	3.00
48. W. J. Barker-Pieczka ..	2.00	70. J. Scypion	\$ 25.50
49. H. Kurek	1.00	71. Willem de Ruitter ...	\$ 5.10
50. A. S.	1.00	72. H. Białous - zamiast kwiatów na trumnę śp. inż. Rzymowskiego ...	5.00
51. W. Szaflir	2.50	73. W. Długolecka	10.00
52. X. L. Czapski	5.00	74. Z. Jasińska, R. Rodziewicz ..	29.50
53. Dr Z. Cietak	5.00	75. Koło SPK Nr 342 Bristol ..	20.00
54. T. Wysocki	5.00	76. Koło Pań Ealing i okolice ..	10.00
55. A. i E. Milewscy	5.00	77. A. i W. Janta-Polczyński ..	100.00
56. M. M. Popławski	1.00	78. Dr J. Pilat	1.00
57. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów - Koło CAPE Province	34.66	79. M. Loster	2.00
58. Z. Żelazko	5.00	80. Dr M. Błońska	2.00
59. S. Schwarzburg-Gunther ..	10.00	81. O. L. Ley z córką ..	2.00
60. S. F. Dobrzański	15.00	82. N. N. ze Szwajcarii ..	50.00
61. C. Dzierko	1.00	83. W. Kołtonowski	10.00
62. X. Fr. Kącki	10.00	84. Zjednoczenie Osadników Polskich w Płdn. Afryce ..	25.00
63. W. i C. Gorzałowie, A. i B. Olszewscy	5.00	85. M. Siewiński	1.00
		86. E. Fall	0.50
		87. F. W. Szykowie	5.00

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Wolna trybuna

Neodmowszczyzna Gierka

REFLEKSJE UKRAIŃCA PO VI ZJEŹDZIE

Nie myślę się chyba twierdząc, że nie tylko ukraińskim internacjonalistom-przyjaciółom Polski „słuchać było hadko”, kiedy Edward Gierek w programowym przemówieniu zjazdowym wyrecytował jednoznaczne credo rusofilskie. Każdy prawdziwy internacjonalista przeczyta ten rozdział gierkowskiego programu z uczuciem wstrętu, ale w moim wypadku — właśnie Ukraina — nie oddaje ono w pełni charakteru refleksji podczas słuchania transmisji radiowej referatu nowego władcy Polski. Pierwszą reakcją była mieszanina gniewu i śmiechu. Uważna lektura tekstu drukowanego wywołała raczej gorzką konstatację, że mamy tu do czynienia z o wiele głębszym zjawiskiem sprowincjonalizowania roli PRL, niż się to wydaje znacznej części obserwatorów zagranicznych i ogromnej zapewne większości współczesnej inteligencji polskiej. Popętniam błąd podejrzewając prominentów kultury i nauki polskiej o minimalizm i lekkomyślność, które graniczą często ze starą przywarą, datującą się z epoki rozbiorów, niedoceniań miejsca, znaczenia i roli Polski w układzie międzynarodowym kontynentu euro-azjatyckiego. Analizy, które wykluczają szersze spojrzenie niż horyzont oglądany z zapiecka nadwiślańsko-śląskiego, prowadzą nieuchronnie do oportunistycznej zgody na los małego tranzytowego kraju między wielką Rosją imperialistyczną a potężnymi Niemcami: obojętne czy będzie to Rosja pseudo-komunistyczna, monarchistyczna lub technokratyczno-militarystyczna, a Niemcy czy będą zjednoczonym państwem czy dwiema potęgami przemysłowymi o dwóch kierunkach ekspansji na Zachód i na Wschód. Z tym zagadnieniem wiąże się zresztą wiele innych, pochodnych, których tutaj niesposób wy-czerpać. Ograniczam się do akcentów najważniejszych; rola Polski wobec sąsiadów: Ukrainy, Białorusi, Litwy, Czechosłowacji, a w szerszej perspektywie wobec Chin, Bałkanów, Skandynawii

i Zachodniej Europy. Rzecz jasna, stosunek do rdzennej Rosji nie jest sprawą drugorzędną, ale recepta gierkowska prowadzi albo do nikąd, albo do statusu *Przywislanskowo Kraja*.

Problem zasadniczy przedstawia się tak: czy Polska zadowolony się szansami odnowy w aspekcie lodówki, telewizora i samochodu, czy też spróbuje się równocześnie wydobyć z marazmu prowincji polityczno-ideologicznej. Program Gierka znalazł pełne poparcie Breżniewa, bo to jest wizja „dobrej roboty” *ad maiorem gloriam Russiae*. Wolno jednak stawiać sobie pytanie czy Polacy ulegną złudzie drobnomieszczańskiego nacjonalizmu „konsumpcyjnego”, roztaczanej przez rządzącego ze śląskiej Katangi, czy raczej zachowają mimo wszystko świadomość historyczną że ich kraj, z racji swego położenia i potencjału, jest jedynym obok Czechosłowacji zwrótnikiem między Wschodem a Zachodem.

„Wschodniacy” i „zachodniacy”

Łatwym chwytem publicystycznym byłoby twierdzenie, że to co reprezentuje Gierek jest wyłącznie produktem własnej koncepcji małomieszczańskiego oportunistu, z zapożyczeniami z ideowej spuścizny Dmowskiego. Cała sprawa wydaje mi się bardzo złożona. Abstrahuując od czynników subiektywnych — takich jak ambicje polityczne, przekonanie o przyrodzonych zdolnościach wodzowskich i o doświadczeniu w dziedzinie polityki gospodarczo-socjalnej — należy wskazać obiektywne uwarunkowania rozwoju osobowości pierwszego sekretarza PZPR i jego postawy w kontekście komunizmu polskiego z jednej strony, a międzynarodowego z drugiej. Do czynników subiektywnych wypada zaliczyć trudną drogę życiową Gierka: wytyczały ją położenie proletariatu w Polsce międzywojennej, emigracja zarobkowa robotników polskich i ich rodzin, długotrwałe oderwanie od kraju. Na takim gruncie formowały się poglądy polityczno-społeczne i skłonności ideowe młodego Gierka. Jest on niewątpliwym owocem tragedii zawężonego pola widzenia i działania francuskiego i belgijskiego ruchu komunistycznego, ich tępoty i uległości wobec reżymu stalinowskiego w ZSSR.

Ale istnieją jeszcze dwa elementy, których nie podobna nie wymienić. Jeden to specyficzny charakter polskich ośrodków wychodźczych. Tradycja pielęgnowania starego ludowego nacjonalizmu, bez głębszych powiązań internacjonalistycznych, wpłynęła — moim zdaniem — w jakimś stopniu na sposób traktowania przez Gierka dążeń narodowych Polski; nawet jego słownictwo przypomina chwilami język ruchu polonijnego. Drugi element, na przeciwnym biegunie, to polska odmiana stalinizmu, która umocniła w Gierku po powrocie do kraju bałwochwalczy stosunek do Moskwy. Kto śledził jego karierę po repatriacji z Belgii i w okresie nasilonego przeszczerpania późnego stalinizmu na grunt polski, wie jak bojaźliwie i oportunistycznie zachowywał się wówczas obecny przywódca PZPR. W tej dwoistości przeciw-

stawnych elementów kształtowała się, według mnie, sylwetka duchowa młodego emigranta z Belgii i późniejszego reemigranta z Francji i Belgii.

Wreszcie — jakościowa zmiana w komunistycznym kierownictwie Polski, która na dalszą metę może się okazać donioślejsza niż sądzimy. Mam na myśli bardzo wydatne przesunięcie w ekipie rządzącej na korzyść działaczy z Polski zachodnio-środkowej. W obecnej czołówce partyjno-rządowej niewiele jest ludzi, pochodzących ze wschodu. W aparacie czysto partyjnym dominuje typ śląsko-warszawsko-poznański.

Proces ten nie spadł oczywiście tylko z pogrudniowego nieba i nie odbył się na zawołanie. Grudzień był po prostu punktem kulminacyjnym rozwoju, który zapoczątkowało marcowe trzęsienie ziemi z roku 1968. Exodus bądź degradacja komunistów pochodzenia żydowskiego, którzy w dużej mierze należeli przed drugą wojną światową do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy lub Zachodniej Białorusi, przesądziły o przejściu władzy z rąk „wschodniaków” w ręce „zachodniaków”. Klęska kierownictwa gomułkowskiego proces ten przypieczętowała.

Będzie to miało dalekosiężne następstwa. Znajdą się może Polacy i Ukraińcy, którzy czytając moje uwagi zareplikują natychmiast, że jest to proces najzupełniej normalny, bo wynikający z geograficznego przesunięcia terytorium państwowego Polski. Wcale temu nie przeczę. Mimo to, albo właśnie dlatego, sprawa jest z punktu widzenia sąsiedzkich stosunków między Polską a Litwą, Białorusią i Ukrainą skomplikowana. Gdyby zniknięcie z widowni życia politycznego „wschodniaków” miało oznaczać ostateczną eliminację zadr nacjonalistycznych, nie byłoby powodu do zmartwienia. Niestety rzecz się ma inaczej.

Od czasu uznania polskiej granicy zachodniej przez NRF, widmo nowych walk granicznych między Polakami a Ukraińcami rozplętnęło się niemal całkowicie, odeszło w niebyt. A przecież uspokojenie obaw polskich wobec polityki Bonn nie wyraziło się jakimkolwiek ożywieniem na linii Warszawa-Kijów. Trudno bowiem przypisywać sporadycznym, i stale wątlejącym, kontaktom grzesznościowym rangę prawdziwej polityki. Dla PRL Ukraina (podobnie jak inne nie rosyjskie części imperium moskiewskiego) w praktyce nie istnieje. Istnieje jedynie nowa Rosja w duchu neodmowszczyzny, co wyraźnie na VI Zjeździe powiedzieli Gierk i Olszowski. Jest to zwrot tak dobitnie przez nowe kierownictwo podkreślany, że trzeba się u jego źródła dopatrywać odmiennych przesłanek ideologicznych. W połączeniu z innymi sprawami, typu raczej wewnątrz-politycznego i społecznego, sprawia on wrażenie jakiegoś skrzyżowania interesów socjalizmu ze spuścizną lub odrodzeniem endencji i popularnej niegdyś w Polsce zachodniej i północnej Narodowej Partii Robotniczej (której większość haseł społeczno-ekonomicznych i światopoglądowych wyłazi ze sformułowań pierwszego sekretarza PZPR). Możliwe że są to echa nieświadome, ale nawet w takim, najprawdopodobniejszym przypadku, uważam je za bardzo znaczące i wymowne.

Neonacjonalistyczny prąd w partii i w społeczeństwie został rozkołysany przez grupę Moczara i rozmaite przybudówki powstałe na tym swoistym narodowo-socjalistycznym folwarku. Gierk folwark Moczara wywłaszczył, ale atmosfera pozostała. Atmosfera pełna czadu, którego działanie wydaje się silniejsze niż przypuszczają liczni obserwatorzy sytuacji w PRL. Zresztą trudno się temu dziwić. Polskie przystowie „na bezrybiu i rak ryba” znajduje tu pełne zastosowanie. Dotknięty sklerozą Gomułka od lat niczego nie widział, nie czuł i co gorsza nie rozumiał; w warunkach politycznego bezwładu skamieliną stały się partyjne statuty, a bełkotem głuchoniemych kazania agitatorów; teoria i praktyka marksizmu doczekały się definitywnego sprostytuowania w inwazji Czechosłowacji z woli „nowych carów”. Powstało zamówienie społeczne na inną ideologię. Wysłała mu naprzeciw nowa polska mistyka narodowa pod szyldem socjalizmu, operująca w miejsce jugosłowiańskiej konkretności czy rumuńskiej zręczności samymi symbolami, o których da się najwyżej powiedzieć, że są prowincjonalną polską karykaturą znanej stalinowskiej formuły o „narodowej formie” i „socjalistycznej (czytaj: sowieckiej) treści”. Ale karykaturalne symbole omamiły w pewnej mierze ogół, sparaliżowany w każdym razie walkę o prawdziwe miejsce socjalistycznej Polski w Europie.

Zawężenie widnokęgów

Następstwa zwycięskiej mitologii ojczyźnianej doprowadziły szybko do stworzenia frazeologii, która szafuje szumnymi i górnolotnymi pojęciami. Warte są one oczywiście, w przekładzie na język realny, tyle co weksle bez pokrycia. Kursują jednak, i to nieźle. Wypierają powoli dawną terminologię z okresu „bez-ojczyźnianego”, co łatwo zrozumieć zważywszy że jego właściwością była jak wiadomo „drętwa mowa”. A przecież, mimo wszystko, „okres miniony” miał więcej prawdziwych wyznaczników na określenie realiów. Dziś spotykamy się z powszechnym kontrastem między językiem aktualnych problemów bytowych a słownikiem polityczno-uczuciowym. Z jednej strony wysiłek odmitologizowania słów w dykjonarzu ekonomistów i robotników, z drugiej tendencja do napuszonego patosu, roznieciania ckliwego sentymentalizmu, zachłystywania się patriotycznymi frazesami, wśród polityków i publicystów.

Ciekawe, że uprawiają to właśnie „zachodniacy”. Może trzeźwość jest cechą śląsko-poznańską, a lubowanie się we frazesie atrybutem mentalności warszawskiej? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć, z pewnością Polacy mają w tym labiryncie lepsze rozeznanie. Zjawisko nie byłoby zresztą samo w sobie takie ważne, gdyby nie towarzyszyły mu w szerszej i głębszej strukturze politycznej przemiany wręcz zastraszające. Wydaje się, że w duchowości polskiej nastąpiło jakieś piekielne rozdwojenie. Mimi-
kra jest co prawda reakcją znaną i praktykowaną we wszystkich

satrapiach i imperiach, zwłaszcza o typie tak bezwzględny jak imperium rosyjskie w każdym swoim wcieleniu dziejowym. Ale polska mimikra jest szczególnego rodzaju. Płaszczenie się z przy-
milnym uśmiechem przed Rosją, przy jednoczesnym ignorowaniu całej wschodniej Europy na mocy urojonej lepszości i wyższości, w parze z oficjalnym wymyśleniem na Zachód, za którym to wymyśleniem kryje się naturalnie arcypozytywny i wyimaginowany obraz Zachodu, w pierwszym rzędzie enerefowskiego kraju mlekiem i miodem płynącego.

Do starego już rozdwojenia między życiem na niby i naprawę dochodzi obecnie coś w rodzaju nadfazy, stanowiącej w gruncie rzeczy brnięcie w ślepy zaufek samowystarczalnego prowincjonalizmu. Taki domowy, swojski mininacjonalizm i miniszowinizm, któremu wyznaczono zadanie integracji społeczeństwa w sensie niefrasobliwego pływania we własnym stawie, otoczonym groblami ignorancji wobec wielkich problemów międzynarodowych i zagadnień najbliższych sąsiadów, jest na dobrą sprawę powtórką lekcji lojalizmu popowstaniowego i pracy organicznej. Współczesna deklaracja u stóp tronu brzmiałaby tak: „Przy Tobie Najjaśniejszy Carze Leonidzie wiernie stać chcemy, ale naszego małego nacjonalizmu na domowy użytek bardzo łakniemy. Dzięki Ci za pobłażliwość wobec tych naszych małych form wielkości. W zamian przysięgamy, że się do żadnych spraw poza obrębem grobel naszego spokojnego stawu mieszać nie będziemy”.

Hołdów moskiewskich w stylu Gierka nie znała nawet Polska gomułkowska. Mamy tu do czynienia z narodzinami swoistej neodmowszczyzny, tyle tylko że w skali dostosowanej do możliwości intelektualnych przywódcy PZPR. Potwierdza się znana obserwacja Marksa, że dramatyczność pewnej określonej sytuacji historycznej może się w innej epoce powtórzyć już jedynie jako farsa.

Ale i żałosna farsa wystarcza, by pogłębić wzmagający się nurt kołtuństwa. Od lat informacja prasowa i radiowa o sprawach sąsiadów Polski na wschodzie kurczy się, przybiera rozmiary wprost śmieszne. W żadnym reprezentacyjnym piśmie społeczno-literackim nie ma stałego działu, poświęconego życiu społecznemu i kulturalnemu Litwy, Białorusi, Ukrainy i Czechosłowacji. Znajomość języków tych bratnich, czy tylko sąsiednich, narodów jest w porównaniu z Polską przedwojenną skandaliczna. Rzadkie przekłady nielicznych utworów roją się od rusycyzmów. Takie chałtury nie produkuje się nawet w Rosji. Niewiedza o podstawowych procesach zachodzących w łonie wspomnianych narodów, nie mówiąc już o ich walce przeciw przymusowej rusyfikacji, jest niebywała. Do czego to prowadzi, łatwo sobie przy odrobinie wyobraźni politycznej dośpiewać. A równocześnie Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, pod nowym kierownictwem „zachodniaka” Szydłaka, chwala samo swoją rzekomą działalność. W rzeczywistości wolno je uznać za towarzystwo krzewienia powszechnej ignorancji i wstępu do Wschodu. Mos-

kwie w to graj, bo — jak powiadają świątli Czesi — prawdziwej znajomości Rosji i jej kolonii Kreml „sobie nie życzy”.

Zwornik i sprzęgło

Polska upadła i nas przywaliła — pisał ukraiński poeta w połowie ubiegłego stulecia, tak złowrogiego i dla Lachów i dla Rusinów. Światło umysłu na ówczesnej zgnębionej Ukrainie i w uciskananej, podzielonej przez zaborców, Polsce pojmowały sens tych skarg. Dzisiaj sprawa przedstawia się pozornie tylko lepiej. Gdyby było tak dobrze, jak to urzędowo zapewniają w Kijowie i Warszawie, można by z otuchą patrzeć w przyszłość. Ale nie jest. Ludzą się ci co sądzą, że schlebając w pojedynkę Rosji uda się zaspokoić jej odwieczną zaborczość i zachanność. Nic nie pomoże wiernopoddanicze hołdy pod adresem wielkiego narodu rosyjskiego. Nie zdarzyło się jeszcze w historii by taką drogą narody podbite lub zależne trafiły do sumienia hegemonu, do sumienia uśpionego mitami mocarstwowymi i „misją dziejową”. Naród rosyjski, chory na imperializm i rządzony (jak niegdyś twierdził Lenin) przez „dzierżymordów”, może się ocknąć z kultu przemocy tylko dzięki prawdziwej informacji, rzetelnej perswazji i rozumnym przestrogom.

Taktyka stosowana przez Gierka w Polsce i przez Szelesta na Ukrainie, taktyka wyścigów w zabieganiu o łaski Rosji, nie wrzuci satrapów. Można nią uzyskać od „nowych carów” patent na wykonywanie władzy generał-gubernatorskiej czy namiestniczej, ale ileż to warte w świecie stojącym pod znakiem dekolonializacji? Nie chodzi mi tu o restaurowanie przebrzmiałych, i z punktu widzenia przyszłości niekorzystnych, idei rozczłonkowania wieloobszarowych systemów powiązań. Stary schemat podziału na narody Związku Sowieckiego i narody Europy Środkowo-Wschodniej czy Południowo-Wschodniej, którym operowała dawna polityka Stanów Zjednoczonych, jest już dzisiaj anachronizmem. Nie pozostaje nic innego jak działać na rzecz nadania strukturom, monstrualnie wykrzywionym przez stalinistów i ich pogrobowców, nowego kształtu i odpowiedniej treści.

Z Moskwy nie podobna zarządzać centralistycznie całą Euroazją, wchodzącą w zasięg rosyjskiej hegemonii militarnej. Klóci się to z wszelkimi zasadami gospodarności i jest istotnym źródłem permanentnych kryzysów. Urağa też podstawowym prawem rozwoju społeczeństw i jednostek. Czas najwyższy uruchomić w tym ogromnym cielsku poszczególne części, nadać im określone funkcje samodzielności i aktywności jako przeciwwagi zabójczej inercji.

Rosja ma swoje odrębne zadania i porachunki euroazjatyckie. Jest i będzie coraz bardziej uwikłana w sprawy azjatyckie, obejmujące niemal wszystkie połacie tego kontynentu od Zachodu (Syberia), poprzez Środek (Chiny), aż do Południa (Indie i Pakistan). Większa część Federacji Rosyjskiej nie będzie nigdy praw-

dziwym członem Europy. Stąd też pod kątem widzenia współpracy ogólnoeuropejskiej, tak żywo postulowanej przez Moskwę i jej podopiecznych, wykrystalizowuje się konieczność stworzenia regionalnego planu społeczeństw o dzisiejszym ustroju biurokratycznego socjalizmu jako przyszłego partnera Europy Zachodniej oraz rosyjskiej Euroazji.

Taki regionalny i najbardziej naturalny twór powinien obejmować Litwę, Białoruś, Ukrainę, Węgry, Czechosłowację, Polskę i NRD. Potencjał ekonomiczny i ludnościowy, położenie geograficzne, linie komunikacyjne i wielkie arterie wodne, przemawiają za realnością podobnego Centralnego Rynku Europejskiego. Polska jest powołana by stać się jego ośrodkiem, niejako sprzężeniem i zwornikiem całej koncepcji. Ale wymaga to szerszego niż dotąd widnokągu, czynnego zaangażowania, a przede wszystkim przezwyciężenia psychologii neosarmackiego zapiecka. Alternatywą jest dreptanie po na wpół zatartych ścieżkach orientacji rusofilskiej, które prowadzą do *prywatnisko-sileskiej guberni*.

Bohdan OSADCZUK

Nowość wydawnicza

Witold LEITGEBER

W KWATERZE PRASOWEJ

Dziennik z lat wojny 1939-45
Od Coëtquidan do "Rubensa"

Stron 368. Oprawa płócienna z obwolutą.

Cena: £ 2.70; \$ 8,00; F. 40,00

Cena w przedpłacie do dnia 31 marca 1972
a dla Czytelników *Kultury* poza Europą do 1 czerwca 1972:
£ 2.00; £ 6,00; F. 30,00.

lub równowartość w innych walutach.

ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ:

Veritas Publications,
4 Praed Mews
London W2 — W. Brytania

Kronika kulturalna

Przemówienie

Z OKAZJI WYBORU DO NIEMIECKIEJ AKADEMII LITERATURY
(DEUTSCHE AKADEMIE FÜR SPRACHE UND DICHTUNG)
W DARMSZTACIE

Wielce Szanowny Panie Prezesie, Wielce Szanowni Członkowie Akademii,
Panie i Panowie!

Szczerze żałuję, że nie mogę osobiście, w Darmsztacie, podziękować Wam za ten nadzwyczajny zaszczyt, jakim jest dla mnie Wasz wybór na członka-korespondenta Niemieckiej Akademii Języka i Literatury.

Zaszczyt ten jest niezwykle, gdyż przyjęliście do Swego grona polskiego pisarza, którego nazwiska w dzisiejszej Polsce publicznie się nie wymienia, a którego książki mogą być tylko przemycane do jego ojczyzny. W świetnym Waszym gronie znajdują się również pisarze i uczeni, którzy swe książki tworzą w innych niż niemiecki językach. Francuzi, Włosi, Amerykanie, Anglicy, Skandynawowie itp. Ale każdy z nich pracuje we własnym kraju, a jeśli przebywa poza jego granicami, to nie jako emigrant czy uchodźca. O ile wiem, moja obecność w Waszej Akademii jest bez precedensu.

Toteż wybór Wasz odczuwam nie tylko jako szlachetny gest, lecz także jako akt solidarności niemieckich poetów i pisarzy wobec polskiego kolegi. Odczuwam to również jako przezwyciężenie nacjonalizmu w literaturze, co sprawia mi szczególną radość, jako że ponad pół wieku starałem się zwalczać w pismach i w publicznych wystąpieniach wszelkie rodzaje nacjonalizmu i szowinizmu.

Przebywając dłużej niż trzydzieści lat poza krajem rodzinnym miałem dosyć sposobności do medytacji nad wszelkimi aspektami wygnania. Wygnanie może istnieć nie tylko z przyczyn politycznych. Pojęcie *exilium* odnosi się nie tylko do pewnej przestrzeni, do wygnania z jakiegoś miejsca na ziemi. Istnieje również wygnanie, ucieczka z pewnej epoki, dobrowolne odejście od własnego czasu. Temat ten próbowałem poruszyć przy innej sposob-

1. W maju ub. roku Józef Wittlin został wybrany członkiem-korespondentem niemieckiej Akademii Literatury w Darmsztacie. Według zwyczaju nowi członkowie wygłaszają przemówienia na najbliższym plenarnym zebraniu Akademii. Tekst Wittlina, który nie mógł przybyć na to zebranie, odczytał wiceprezes Akademii, Dr Dolf Sternberger, profesor uniwersytetu w Heidelbergu, honorowy prezes PEN-klubu Niemieckiej Republiki Federalnej. Zamieszczamy polski przekład tego tekstu, dokonany przez autora.

ności. Istnieli wszak i wciąż istnieją liczni poeci którzy nigdy nie opuścili swej ojczyzny, lecz mimo to żyją na wygnaniu. Czy mam podać przykłady? Czy wygnańcami nie byli Hölderlin albo Georg Trakl? Pierwszy w Niemczech, drugi w Austrii? Baudelaire lub Rimbaud w Francji? Edgar Allan Poe w Ameryce? Może każda praca twórcza jest wygnaniem, ucieczką od banalności i konformizmu? Azylem? Ratunkiem?

W przedmowie do zredagowanej przezeń książki pt. „Niemieckie piśmiennictwo na wygnaniu. Listy autorów europejskich z lat 1933-1949”, mój przyjaciel Hermann Kesten powiada: „Wygnanie jest stanem pierwotnym (*ein Urzustand*)”. Jest to bardzo trafne stwierdzenie.

Aby jednak nawiązać do spraw języka, wydaje mi się, że dzisiaj niekoniecznie trzeba być poetą, aby nieraz tzw. język ojczysty uważać za język obcy. Żyjemy wszak w czasach, kiedy nie tylko pojęcia — ale i same poszczególne słowa tracą wartość i ulegają fałszowaniu.

„*Honneur des Hommes Saint LANGAGE*
Discours prophétique et paré
Belle chaîne en qui s'engage
Le dieu dans la chair égarée” —

powiada Valéry w swym poemacie „La Pythie”. Jak bardzo już oddaliliśmy się dzisiaj od „świętej mowy”. A przecież te słowa Valéry'ego jeszcze dzisiaj obowiązują poetów.

Wielce Szanowni Członkowie Niemieckiej Akademii Języka i Literatury! Pozwólcie mi tu wspomnieć inną Akademię, chociaż nie służy ona pielęgnowaniu języka czy twórczości literackiej. Mimo to nieraz rozmyślałem w niej nad zjawiskiem ludzkiego języka. Mam na myśli ową salę w florenckiej „Galleria dell'Accademia”, gdzie stoją kamienni „Jeńcy” czy „Więźniowie” Michała Anioła, i gdzie na ścianach wiszą flamandzkie gobeliny, przedstawiające Stworzenie Świata, pierwszych rodziców i Wygnanie z raju. Na jednym z tych gobelinów oglądamy naszego praojca Adama, jak na rozkaz Stwórcy nadaje imiona wszelkiej żywej kreaturze: Na czele defilujących zwierząt kroczy dumnie jednoróżec, za nim postępuje para ogromnie zadowolonych lwów, potem słoń itd. Co mnie przy oglądaniu tego obrazu szczególnie zastanowiło, to język, w jakim Adam ponazywał te wszystkie zwierzęta. *Ad usum* jakiego Delfina nadawał Adam nazwy wszystkim tym stworzeniom, co pełzają, biegają, latają, chodzą lub pływają? Musiał to być jakiś uniwersalny język, jakim Adam jeszcze nie posługiwał się nawet w konwersacji z własną żoną, skoro Ewa została znacznie później stworzona. Pomianował więc Adam wszystkie te stworzenia *ad usum* swoich potomków, przede wszystkim zoologów przyszłości. Musiała to być dla niego ciężka, jeszcze przed wygnaniem z raju „w pocie czoła” dokonana praca. W księdze Genezis nie znajdujemy ani słowa o tym, jakoby Pan Bóg, zanim Adamowi rozkazał nadać imiona wszelkiemu żywemu stworzeniu, udzielił mu kilku lekcji w tym przedmiocie. Co prawda na florenckim gobelinie widzimy Boga-Ojca jak w rozwianej, szkarłatnej szacie szybuje w powietrzu i władczym gestem pokazuje ssaki, gady, płazy a także przeróżne ptactwo, które sfruwa właśnie na ląd i na wodę. Ale Stwórca ma usta zamknięte. Wolno zatem przypuszczać, że Pan Bóg niczego Adamowi nie podpowiedział, lecz po prostu natchnął go umiejętnością języka.

Rola, czy wyrażając się mniej skromnie, misja poety i w ogóle twórczego pisarza jest trochę podobna do Adamowej. My też nadajemy imiona zjawiskom tego świata. Niekiedy dajemy nowe nazwy zjawiskom starym, kasując dawne nazwy, nie odpowiadające już obecnemu tych zjawisk znaczeniu. Na ogół jednak staramy się nazywać po imieniu nowe, dotychczas nienazwane fenomeny. Czynimy to, jeśli nie z nakazu Stwórcy, to z nakazu owego dajmoniona, który w nas siedzi i spija krew naszej duszy.

Gobeliny florenckie nie pokazują katastrofy z wieżą Babel. To wielkie dla ludzkości nieszczęście może nie było tak wielkim nieszczęściem dla literatury. Bo jeśliby gniewny Stwórca ukarał grzeszną ludzkość w inny sposób, nie mielibyśmy dzisiaj tylu narodowych literatur, ani agentów literackich, zajmujących się tłumaczeniami, i wielu tegich pisarzy, zarabiających na życie przekładami z obcych języków, mogłoby całkowicie poświęcić się własnej twórczości. Filologowie zaś, językoznawcy, strukturaliści, semantycy i semiotyicy byłiby zmuszeni do pracy w zakresie tylko jednego, jedynego języka. Ale nie przeceniajmy znaczenia jednego uniwersalnego języka, tego sprzed wieży Babel. Można mówić tylko i wyłącznie po niemiecku albo po polsku, a mimo to nie rozumieć o co chodzi ludziom, z którymi w tym języku rozmawiamy.

Co się tyczy moich związków z językiem niemieckim, są one bardzo stare. Prawie tak stare jak ja. Język niemiecki był językiem mojej machochy². Nie jest to metafora. Miałem bowiem niemiecką drugą matkę. Zanim wyszła zamąż za mojego ojca, była artystką dramatyczną i występowała w licznych teatrach niemieckich. Tak też już w bardzo wczesnej młodości, w polskim mieście Lwowie, jeszcze zanim poznałem poezję polską, karmiłem się monologami z „Marii Stuart”, z „Dziewicy Orleańskiej” i z „Don Carlosa”. Niech mi więc będzie wolno powiedzieć, iż dzięki wczesnemu spoufaleniu się z językiem i z poezją niemiecką mogłem w późniejszych latach bez wielkiego trudu przekładać na polski — niemieckie wiersze liryczne i utwory pisane prozą. Już jako gimnazjalista prowadziłem korespondencję z Richardem Dehmlerem i uzyskałem od niego autoryzację na tłumaczenie jego „Stu wierszy wybranych”, ogłoszonych w berlińskim, podówczas, domu wydawniczym S. Fischer Verlag. Przełożyłem sporą ilość tych wierszy, a jeden nawet z manuskryptu, który Dehmler mi przysłał do Lwowa. Była to ballada pt. „Córka Stońca” i zaczynała się od słów: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

W późniejszych latach przekładałem Rilkego, przetłumaczyłem tak dziś wśród młodzieży lubianą powieść Hermanna Hessego „Wilki stepowy” („Der Steppenwolf”), kilka powieści mego wielkiego i nieodżałowanego przyjaciela Josepha Rotha, oraz wiele innych dzieł niemieckiej beletrystyki, poezji i dramatu.

Takie mniej więcej byłyby, Szanowne Panie i Panowie, moje związki z niemiecką mową i literaturą.

Józef WITTLIN

2. Po polsku mówi się „język ojczysty”, po niemiecku język ojczysty nazywa się *die Muttersprache*, czyli język matczyny. Użyty w niemieckim oryginalnie tego przemówienia nowotwór *Stiefmuttersprache*, a więc „język macochy” jest dwuznaczny i ma lekkie zabarwienie ironiczne. Ta dwuznaczność zatraca się w języku polskim dzięki wyżej podanej różnicy płci tego samego pojęcia w obu językach.

Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie

Wydarzeniem, które ubiegłego roku najbardziej zbulwersowało polskie środowisko muzyczne, stało się rozpetanie przez partyjnych karierowiczów i wątpliwej wartości etyczno-zawodowej pe-

dagogów Warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej kampania, przeciwko objęciu stanowiska rektora tej uczelni przez doświadczonego, wypróbowanego organizatora, świetnego muzyka, znanego w świecie dyrygenta, Bohdana Wodiczkę. Ci, którzy — pomimo starannego ukrywania przez władze tego skandalu — mieli możliwość obserwowania całokształtu wydarzeń, przekonali się, że szumne pogrudniowe zapowiedzi odnowy, pozostawiające jeszcze długo będą w sferze pobożnych życzeń społeczeństwa. Komitet Warszawski Partii udowodnił, że słuszne stanowisko Ministra Kultury i Sztuki nie może równać się z fachową, jedyną i wnikliwą oceną sytuacji przez partyjnych aparatczyków, nie mających co prawda ze sztuką, a tym bardziej z kulturą wiele wspólnego, wydających jednak obowiązujące i nie mogące podlegać jakiegokolwiek dyskusji zarządzenia. Przekonano nas, że rzetelna umiejętność, entuzjazm i pasja pracy, ustąpić muszą przed tępotą i małymi interesami tych, którzy dzięki serwilistycznym usługom opanowali po 1968 roku tłuste synekury w polskim świecie muzycznym.

Sprawa była głośna, nie przekroczyła jednak nigdy dość hermetycznego kręgu środowiska artystycznego. Usiłowania niektórych publicystów, którzy zamierzali ukazać w swych artykułach całą aferę szerszej opinii, kończyły się na biurkach cenzorów: zakaz pisania na ten niewygodny i kompromitujący temat wydał sam najgłówniejszy warszawski towarzysz Józef Kępa.

Zacząć jednak trzeba od początku.

Warszawskie Konserwatorium, czy jak kto woli Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie, to uczelnia o bogatych tradycjach, jej zasługi dla narodowej kultury są ogromne. Po wojnie uczelnia ta, dzięki doświadczonej kadrze pedagogicznej, entuzjazmowi pracowników i studentów rozwijała się imponująco — okres największego jej rozkwitu, którego wykładowcą stał się bardzo wysoki przeciętny poziom nauczania, przypadek na czas rektorstwa niezapomnianego Stanisława Szpinalskiego. Aby zbyt nie obciążać Czytelników mało istotnymi w gruncie rzeczy faktami, datami i personalnymi zmianami, wystarczy powiedzieć, że mniej więcej od roku 1960 rozpoczęła się stopniowo, a w miarę upływu lat coraz szybszy regres. Starzy i doświadczeni profesorowie zaczęli odchodzić, brak odpowiednio wysokiej klasy następców nie mógł wpływać korzystnie na wyniki nauczania; uczelnia zaczęła jednocześnie przekształcać się po mału z instytucji *par excellence* artystycznej, w biurokratyzowany, skostniały w urzędniczej rutynie zakład produkujący masowo przeciętnych muzyków. Liczba przeróżnych — w przytłaczającej większości niepotrzebnych — konferencji, sesji, komisji itp., a przede wszystkim nieodzwyczajonych papierów rosła w niepokojącym tempie. Studenci tracić zaczęli orientację i poczucie rzeczywistości, gdy okazało się, że dobre wyniki w najważniejszych muzycznych dyscyplinach nauczania, niezawsze wystarczają np. do promowania na kolejny, wyższy rok studiów. Momentem kulminacyjnym — oczywiście nie w sensie pozytywnym — stał się pamiętny Marzec.

„Ukarano” wielu znakomitych pedagogów, odbierając im możliwość oddziaływania na studencką społeczność, do minimum ograniczono ich głos w sprawach decydujących o przyszłości uczelni. Awansowano młodych pracowników dydaktycznych, których kwalifikacje nie były rozpatrywane bynajmniej z punktu widzenia ich przydatności pedagogicznej, naukowej ani stażu artystycznego, a jedynie zasług w tłumieniu marcowego ruchu intelektualistów i studentów.

Wbrew statutowi akademickiemu, według którego o wyborze nowego rektora decydować winien senat uczelni, odgórnie mianowano, a właściwie narzucono rektora niezbyt rozsądnego, lecz za to posłusznego — Tadeusza Paciorkiewicza. Jego Magnificencja spełniał niezbędne warunki — był miernym muzykiem, a jego intelekt z powodu braku skłonności do samodzielnego rozumowania nie budził zastrzeżeń, lojalność sprawdzono wiosną. Prawdziwą i jedyną władzą uczelni stała się partia. Papierowy rektor istotnie spełniał znakomicie pokładane w nim nadzieje: nie zastanawiał się nad odgórnymi zaleceniami, podpisywał co mu kazano i wydawał odpowiednie zarządzenia. Wszystkie kluczowe stanowiska uczelni poobsadzane zostały w szybkim tempie przez oddanych partii ludzi, ci z kolei dobierali sobie współpracowników, o których wiadomo było z góry, że nie będą przeszkadzać. Organizacje studenckie, które tak piękną rolę odegrały w wydarzeniach Marca, opanowane zostały przez studentów partyjnych. Jakikolwiek działanie zmierzające do zmiany katastrofalnego stanu stało się niemożliwe.

Przytoczyć mogę kilka „kwiatków” z działalności uczelnianych władz.

Od dłuższego czasu niewielu wybitnych studentów opuszcza z dyplomem w ręku mury uczelni. Tym bardziej więc należałoby jak największą opieką otaczać talenty wybitne. To prawda oczywiście dla wszystkich, ale nie dla władz PWSM. Dwa lub trzy lata temu, na skutek niewypełnienia obowiązku odbycia letnich praktyk robotniczych (tak, przepis ten obowiązuje w socjalizmie również przyszłych wirtuozów, a że ktoś na skutek przypadkowej kontuzji stracić może na zawsze możliwość uprawiania zawodu — kogóż to obchodzi?), student II roku, laureat I nagrody Konkursu im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu — Janowski skreślony został z listy studentów. Incydent ten z dumą skwitował jego inicjator rektor Paciorkiewicz mówiąc: „To nie jest szkoła dla Janowskich” (autentyczne). Na szczęście Ministerstwo okazało nieco więcej rozsądku. Delikatnie dano do zrozumienia rektorowi, że nie należy przesadzać tam, gdzie nie ma wyraźnych dyrektyw — Janowskiego przyjęto z powrotem. Podobną „przyjemność” przeżył niedawno laureat ostatniego Konkursu im. Chopina Janusz Olejniczak. Na skutek niedopełnienia papierowych formalności i tego bardzo utalentowanego studenta chciano usunąć z uczelni. I tym razem udało się poskromić pedagogiczne zapędy Jego Magnificencji. Widmo skandalu, jaki musiałby pow-

stać po relegowaniu ulubieńca warszawskiej publiczności, przywrócić władcom uczelni zdrowy rozsądek.

A oto kolejny „wyczyn” człowieka zasiadającego w kolegium rektorskim i w Senacie, dyrektora administracyjnego, byłego funkcjonariusza UB, p. Tabora. Ów dystyngowany pan, który podczas Dnia Nauczyciela z oficjalnej trybuny grzmiał o konieczności wychowywania młodzieży również przez pracowników administracyjnych, w trakcie studenckiej zabawy w czyn wprowadził swoje teorie: kompletnie zalany pobił studenta, przy czym w czynności tej widać było niemałą profesjonalną wprawę. Incydent miał miejsce nocą, a rano odwiedził rektora wysoki funkcjonariusz Komitetu Centralnego Kwiatek. O czym rozmawiało dwóch dżentelmenów nie wiadomo, do dziś jednak funkcję dyrektora administracyjnego PWSM w Warszawie pełni osobisty przyjaciel Kwiatka — p. Tabor. Nie udzielono mu nawet ustnego upomnienia.

Niezbyt wybredne są również metody działania uczelnianej organizacji partyjnej. Dziekanowi wydziału wokalnego p. Kunińskiej zasugerowano, że Partia chciałaby awansować do stopnia docenta swojego starego członka p. Skalikównę (studenci, którzy wiedzą wiele twierdzą, że Skalikówna drugą pensję po kryjomu otrzymuje z ul. Koszykowej). Ponieważ historia zdarzyła się stosunkowo niedawno, gdy skończyły się już czasy gromadnego mianowania docentów, którzy — jak głosi smutna anegdota — aby uzyskać ów naukowy stopień spełnić musieli jeden warunek: wydać skrypt i dwóch kolegów — usiłowano różnych wpływów, by dziekan zezwolił na przeprowadzenie przewodu naukowego p. Skalikówny. Niespodziewanie jednak p. Kunińska okazała się mało podatna. Po prostu nie zgodziła się, uważając słusznie, że kandydatka nie spełnia żadnych warunków, by stać się samodzielnym pracownikiem dydaktycznym. Nie można jednak bezkarnie nie wypełniać poleceń partii, nawet wtedy, kiedy przybierają one formę prośby. Podczas posiedzenia Senatu w lipcu ubiegłego roku, padł wniosek o awans zasłużonego dziekana do stopnia profesora nadzwyczajnego. Ogólna akklamacja przerwana została zgrzytem w postaci wystąpienia docenta do spraw polityczno-kulturalnych (sic!), długoletniego członka partii p. Krzywobłockiej, która nie krępując się licznym audytorium stwierdziła bez owijania w bawełnę: „Partia nie może zgodzić się na awansowanie człowieka, który wykazuje wobec niej nieposłuszeństwo i krnąbrność” (cytat niemal dosłowny). Członkowie Senatu wycofali się więc natychmiast z niewygodnych pozycji; partyjni — bo musieli, niepartyjni — bo demoralizowani, szantażowani i zastraszeni byli od lat: bali się. Dziekan wydziału wokalnego p. Kunińska nie została profesorem.

Dość tego grzebania się w brudach. Podobne przykłady można by mnożyć — wystarczy jednak te trzy najbardziej charakterystyczne. Nie trzeba dodawać jak incydenty takie wpływały na postawę młodzieży.

Kompromitujący poziom nauczania w warszawskiej PWSM

i wewnętrzne stosunki zaczęły wreszcie powodować publiczny niepokój, coraz szerzej rozpoczęto mówić o tym co dzieje się przy ul. Okólnik. Głosy te zaczęły wreszcie docierać do władz. Pierwsze zreflektowało się Ministerstwo. Postanowiono mianować rektora z prawdziwego zdarzenia. Wybór padł na Wodiczkę. Pisałem już w którymś z artykułów o nim — nie będę powtarzał tych wcale nie grzecznościowych komplementów.

Gdy na Okólniku dowiedziano się o kandydaturze Wodiczki, zapanowała tam panika. Sitwa partyjnych ćwierćmuzyków poczuła się zagrożona. Wiedzano, że Wodiczko na żadne kompromisy nie pójdzie, że ci, którymi obsadzono najbardziej eksponowane stanowiska, wrócić będą musieli do pracy, odpowiadającej ich rzeczywistym muzycznym umiejętnościom. Rozpoczęła się owa kampania, o której wspominałem we wstępie. Teraz dopiero przydały się osobiste, nierzadko przyjacielskie kontakty. Stałymi gośćmi Wydziału Kultury Komitetu Warszawskiego stał się były uczelniany sekretarz partii Mazur, aktualny sekretarz Szymański, a wreszcie wyniesiony na fali marcowych wydarzeń do stanowiska prorektora Maklakiewicz. Swoje możliwości dotarcia do najwyższych władz wykorzystywali Tabor i Krzywobłocka. Zbiorowa psychoza udzielała się nawet ludziom, wydawałoby się zastróżonym dla polskiej muzyki — tej grupie przewodził — wstyd o tym mówić — dość znany kompozytor Perkowski. „Piotruś” — bo tak pieśzczośliwie nazywają go studenci — wydeptywał progi KC, KW, Ministerstwa Kultury, Ministerstwa Obrony (?), organizował samorzutnie zebrania na których oczerniał i obrażał Bogu ducha winnego Wodiczkę.

Ministerstwo, w którego gestii spoczywają rektorskie nominacje, dość jednak miało awantur konserwatoryjnych. Zbyt długo obserwowano staczenie się i powolny proces konania tej uczelni. Pełniący po odejściu Motyki obowiązki ministra Wiśniewski postanowił za wszelką cenę przeforsować kandydaturę Wodiczki. W przeddzień podpisania nominacji musiał jednak na skutek osobistej interwencji Kępy skapitulować.

Kiedy stało się jasne, że kandydatura Wodiczki została przez najwyższe władze partyjne utracona, w polskim świecie muzycznym zawrzało. Z inicjatywy najpoważniejszej polskiej organizacji muzycznej — Związku Kompozytorów Polskich — wystosowano pismo sygnowane przez najwybitniejszych przedstawicieli polskiego świata muzycznego zaadresowane do:

- 1) Wicepremiera Wincentego Kraśki,
- 2) Kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Jerzego Kwiatka (o którym to towarzyszu pisałem powyżej),
- 3) Komisji Kultury Sejmu PRL,
- 4) Ministerstwa Kultury i Sztuki,
- 5) Wydziału Kultury Komitetu Warszawskiego PZPR.

Wszystkie te instancje — z wyjątkiem Ministerstwa — pozostawiły list bez odpowiedzi... Kilku publicystów w swojej naiwności chciało opublikować w swoich gazetach ów memoriał — nie trzeba dodawać: bez rezultatu. Pozwolę sobie zacytować ob-

szerne fragmenty pisma, sędzę bowiem, że ich smutna wymowa najlepiej zorientuje Czytelnika w sytuacji, w jakiej znalazło się nie tylko warszawskie konserwatorium, ale zdecydowana większość wszystkich uczelni artystycznych w kraju.

A oto treść:

„Niżej podpisani powodowani głęboką troską i zaniepokojeniem o dalszy rozwój polskiej kultury muzycznej w świetle niektórych niedawnych wydarzeń i decyzji pozwalają sobie zwrócić się do Was w następującej sprawie.

Wśród całego szeregu czynników wyznaczających dalszy rozwój naszej narodowej kultury muzycznej, najważniejszym bodaj jest kwestia właściwego funkcjonowania szkolnictwa muzycznego wszystkich stopni. Nic bowiem w takim zakresie, jak wysoki stopień nauczania nie określa w tak decydującej mierze możliwości rozwoju wszystkich dziedzin działalności muzycznej i szerzenia kultury muzycznej w najszerszych kręgach narodu. Innymi słowy osiągnięty przez obecnych absolwentów stopień fachowości i rzetelności artystycznej i zawodowej w sposób bezpośredni określać będzie stan kultury muzycznej kraju na następne dziesięciolecia... Pogłębiający się stopniowo kryzys na terenie wyższego szkolnictwa muzycznego, w szczególności zaś w wiodącej i przygotowującej się do przekształcenia w akademię Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie, budzi żywy niepokój i uzasadnione obawy niżej podpisanych.

Jest rzeczą oczywistą, że właśnie tej uczelni rangę nadawać powinni najwybitniejsi nasi wykonawcy, dyregenci, kompozytorzy i teoretycy. Truizmem jest przecież stwierdzenie, że wybitnych osiągnięć nie zapewnią żadnej uczelni najlepiej nawet pomyślane reformy strukturalne bez udziału w pracach uczelni ludzi reprezentujących najwyższy poziom wiedzy i legitymujących się oczywistą indywidualnością i osiągnięciami artystycznymi. Przypomnijmy sobie nie tak dawne jeszcze czasy, gdy wśród wykładających w polskich wyższych szkołach muzycznych znaleźć można było nazwiska wszystkich nieomal najwybitniejszych ówczesnie działających polskich muzyków, jak: Drzewiecki, Bierdiajew, Sztompka, Wiechowicz, Malawski, Woytowicz, Rowicki, Szabelski, Sikorski, Dubiska, Szeligowski, Śledziński, Bacewiczówna, Rutkowski, Wodiczko, Kędra, Szpinalski, Feicht, Łobaczewska, nie wspominając już o czasach, gdy Rektorem Akademii Muzycznej w Warszawie był Karol Szymanowski...

Jakże inaczej przedstawia się sprawa obecnie. Nie chcemy oczywiście twierdzić, że wśród wykładających aktualnie w Warszawie nie ma ludzi odpowiadających opisanym powyżej wymaganiom i kwalifikacjom, nie mniej jednak wśród ogółu pracowników dydaktycznych Szkoły stanowią oni zdecydowaną mniejszość i ich wpływ na charakter uczelni i artystyczną atmosferę uczelni w obecnym układzie nie może być dostateczny. Smutnym faktem jest, że w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie kluczowe pozycje zajmują, a tym samym nadają ton ludzi, bynajmniej nie reprezentujący najwyższego poziomu w muzyce polskiej.

Niepokój o stan i dalsze losy uczelni skłoniły w ostatnich miesiącach niektórych przedstawicieli polskiego świata muzycznego nie związanych ze Szkołą do interpelacji pod adresem Zarządu Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki, które przyjęte zostały ze zrozumieniem. Wobec spowodowanej względami zdrowotnymi rezygnacji przed upływem kadencji, złożonej przez dotychczasowego rektora Tadeusza Paciorkiewicza, otworzyła się przed Ministerstwem Kultury i Sztuki możliwość rozpoczęcia kroków zmierzających do uzdrowienia sytuacji w uczelni. O ile nam wiadomo, stanowisko Rektora PWSM w Warszawie zamierzało Ministerstwo Kultury i Sztuki powierzyć Bohdanowi Wodiczce...

Sprawy zaszyły tak daleko, że z upoważnienia Ministerstwa Kultury i Sztuki Bohdan Wodiczko opracował koncepcje rozwoju Szkoły aż do momentu jej akademizacji oraz przeprowadził rozmowy z szeregiem wybitnych przedstawicieli polskiego świata muzycznego, którzy kierowanej przez niego uczelni przyrzekli współpracę.

Niestety, wskutek działania nieznanego nam bliżej sił i osób, które jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa identyfikujemy jako tych, którzy wobec wspomnianej już bezkompromisowości Wodiczki, poczuli się zagrożeni w swej życiowej i zawodowej sytuacji oraz w zajmowanych stanowiskach — kandydatura ta upadła.

Ktokolwiek z wybitnych artystów podjąłby się obecnie zadania uzdrowienia Uczelni spotkałby się z takim samym nieprzebiegającym w środkach oporem tych samych ludzi.

Co gorsza, przytłaczająca większość tych osób nie posiada, naszym zdaniem, należytych kompetencji do nauczania w Uczelni tego szczebla, w dodatku zaś ilość takich pracowników powiększa się z roku na rok.

Upadły jednocześnie projekty przyciągnięcia do współpracy ze Szkołą nowych wybitnych specjalistów. Tak więc zdaniem niżej podpisanych realna szansa wejścia warszawskiej PWSM na drogę rzetelnej, konstruktywnej odnowy nie została wykorzystana...”

Pismo to, datowane 15 października 1971 roku podpisał:

Krzysztof Meyer, Kazimierz Serocki, Stefan Śledziński, Florian Dąbrowski, Witold Lutosławski, Maria Wiłkomirska, Jerzy Jaroszewicz, Stefania Woytowicz, Kazimierz Wiłkomirski, Jan Ekier, Witold Rowicki, Józef Patkowski, Tadeusz Baird, Henryk Schiller, Józef Bok, Jan Stęszewski, Władysław Szpilman, Andrzej Pytlak, Witold Rudziński, Kazimierz Sikorski, Andrzej Dobrowolski, Tadeusz Raczynski, Józef Kański, Elżbieta Dziębowska, Andrzej Markowski, Zbigniew Turski, Michał Bristiger, Andrzej Chodkowski, Zygmunt Mycielski, Teodor Liese i Zdzisław Sierpiński.

Sprawa Wodiczki powoli ucichła, nie zapomnieli jednak o niej partyjni aktywiści z PWSM. W stosunku do prorektorów Uczelni, których podpisy figurowały pod przytoczoną enuncjacją postanowiono wytoczyć dochodzenie i zastosować sankcje dyscyplinarne. Na posiedzeniu Senatu (późną jesienią) sekretarz uczelnianej organizacji partyjnej Jan Szymańda zreferował — dziwnym zbiegiem okoliczności bowiem przedmiot „przestępstwa” czyli tekst listu w oryginale nie został zebrany odczytany — treść pisma, na podstawie owego chytrze skonstruowanego „referatu” Senat jednogłośnie potępił jedynych profesorów zwyczajnych jakich ma uczelnia: Marię Wiłkomirską i Jana Ekiera, profesora nadzwyczajnego Witolda Rudzińskiego i docentów: Andrzeja Dobrowolskiego i Józefa Boka. Owo zebranie Senatu jako żywo przypominało przebieg tak niedawnych jeszcze procesów „przy drzwiach zamkniętych”.

Oczywiście „obwinieni” śmiać się jedynie mogą z owej ponurej szopki, wydaje się jednak, że nie jest to uśmiech radosny.

Całkowite zdeprawowanie i zdemoralizowanie młodzieży studenckiej nie jest — o czym przekonywaliśmy się niejednokrotnie — rzeczą łatwą. Studenci to barometr, który nieomylnie

wskazuje nastroje uczelniane. Podobnie było ze sprawą Wodiczki. Tuż po inauguracji nowego roku akademickiego, gdy wiadomo było, że znakomity dyrygent wyszczuty został ze stanowiska rektora, które *de facto* było mu już przez Ministerstwo oficjalnie przyznane, studenci wywiesili na tablicy z okolicznościowymi ogłoszeniami rezolucję, w której ukazywali własny — bardzo trafny zresztą — pogląd na sprawę uczelni, przytaczali program odnowy Wodiczki i zapytywali dlaczego nie został on rektorem. Rezolucja owa wisiała niecałe pół godziny, zerwana została na polecenie Mazura, Szmańdy i Krzywobłockiej, po czym wymienieni włąmali się do pomieszczeń Zrzeszenia Studentów Polskich, by dokonać rekwizycji „nieprawomyślnych” maszynowych kopii tej rezolucji. Po kilku dniach uparci studenci, porozumiewając się zresztą przezornie z władzami uczelni, wystawili w hallu Szkoły urnę, do której każdy miał prawo wrzucać kartki z propozycjami, pytaniami itp. Te supozycje, pytania i wnioski rozpatrzył miał rektorat, przeanalizował, wyciągnął wnioski. Urna zapełniała się przez kilka dni, po czym jej zawartość spotkał los identyczny jak wspomnianą „rezolucję”. Wczesnym rankiem któregoś dnia, urnę otworzyła bezprawnie pani docent kulturalnopolityczna, zabrała ze sobą kompromitujące karteczki, by w zaciszu swego gabinetu, dokonać wraz z p. Mazurem precyzyjnej selekcji. Jak twierdzą wtajemniczeni niemal wszystkie pytania i propozycje były zbyt — jakby to powiedzieć — konkretne i „nielojalne”, kilkanaście głosów wiernopoddańczych stanowiło zbyt skromny materiał do obszernych studiów nad programem uzdrowienia uczelni.

I tak toczy się życie w warszawskiej wyższej uczelni muzycznej. Nadal nie ma rektora, jego funkcję pełni tymczasowo posłuszny Maklakiewicz, partia pokazała na co ją stać, rośnie liczba niedouczonej, lecz za to wiernopoddańczych pedagogów, coraz większy strach przed utratą niełatwej przecież do zdobycia w PRLu posady paraliżuje poczynania tych, którzy znaczą coś w polskiej muzyce.

Maklakiewicz chcąc zabezpieczyć się przed ewentualnymi atakami na swoją osobę oferował stanowisko rektora ludziom, o których wiadomo było z góry, że z zaszczytu tego w istniejącej sytuacji nie przyjmą. Mówi teraz skromnie: „Nie nadaję się na rektora, nie chcę nim być. Proponowałem tę funkcję Bairdowi i Lutosławskiemu — odmówili, dla dobra uczelni sam więc muszę dźwigać ten ciężar ponad siły”. P. Maklakiewicz proponował również tę funkcję Małcużyńskiemu, poczekajmy, może zwróci się — bo ja wiem — do Stokowskiego?

Jerzy KOWALSKI

Komunikat

STYPENDIUM POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO W KANADZIE

Oddział w Kanadzie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce ufundował ze składek uzbieranych dla uczczenia pamięci Generała Kazimierza Sosnkowskiego, zmarłego w 1969 roku w Arundel, Que., stypendium naukowe w kwocie tysiąca sześciuset dolarów kanadyjskich.

Stypendium to przyznane będzie, na wniosek powołanej w tym celu Komisji stypendialnej, młodemu naukowcowi bez różnicy płci ani przynależności państwowej. Kandydat winien wskazać wykazać się odbyciem przynajmniej części swych studiów uniwersyteckich w Kanadzie.

Ocena podań o przyznanie stypendium nastąpi na podstawie zgłoszenia przez kandydata jego życiorysu, wyciągu ze świadectw uniwersyteckich i właściwych referencji jak również planu zamierzonych badań z dziedziny najnowszej historii Polski. Pierwszeństwo mieć będą tematy związane z udziałem Polski, jej sił zbrojnych i oporu podziemnego po stronie zwycięzców w drugiej wojnie światowej jak również z analizą powodów dla których, pomimo swoich świadczeń i poniesionych strat i ofiar, Polska wyszła z tej wojny pozbawiona prawdziwej wolności.

Podania o przyznanie stypendium powinny być zgłoszone na piśmie w języku polskim, angielskim lub francuskim nie później niż 15-go maja 1972 roku pod adresem:

The Polish Institute of Arts and Sciences in America, Canadian Branch at McGill University, 3479 Peel Street, Montreal 112, Que., Canada.

NOTA BIOGRAFICZNA

Janina KATZ, ur. w marcu 1939 r. Ukończyła polonistykę i socjologię w Krakowie. Pisywała do pism *Życie Literackie*, *Twórczość*, *Kultura i Społeczeństwo*, *Miesięcznik Literacki*, *Współczesność*. W lutym 1969 r. wyjechała z kraju. Przebywa obecnie w Kopenhadze gdzie dorywczo współpracuje z radiem i miejscową prasą; pisze na tematy literackie, głównie polskie, oraz tłumaczy polskie teksty literackie na język duński.

Książki

Jak być emigrantem ?

(W CZTERECH PRÓBACH)

Przeczytałam cztery książki, napisane przez cztery kobiety. Omówieniu chciałam dać tytuł: „Kobiety o emigracji”. Albo: „Kobiety na emigracji”. Ale kwalifikacja wydała mi się pozabawiona sensu, bo wszystkie cztery książki przede wszystkim stanowią dokument pewnej sytuacji ogólnej. Na cztery różne sposoby opisują zjawisko psychologiczne: wrzucenie w obcość językową, obyczajową, geograficzną.

Nie znam wieku autorek. Ale wszystkie przeżyły dzieciństwo i młodość w Polsce. Wojnę. Wyrzuciła je z kraju wspólna sytuacja, niezależnie od tego, jakie były ich losowe odmiany. Teraz usiłują określić się wobec Polski, którą pamiętają i wobec miejsc, w których znalazły się później. Każda robi to na swój sposób, bo każdej inaczej ułożyło się życie.

Wychodźcy, tak jak pokolenia wchodzące w dojrzałość, spisują swe autobiografie. Odczytuje się je w odniesieniu do momentów politycznych i historycznych wspólnoty, w której zaczęli dojrzewać. W miejscu w którym to piszę mieszkam już dwa lata. Przedtem mieszkałam rok w innym miejscu. Trzy lata emigracji. Jest wczesne popołudnie, w pokoju pali się światło. Mieszkam na północy. Ale od wiosny do jesieni dzień trwa tu przez większą część doby i w nocy niebo jest jasne. Życie układa się lepiej lub gorzej, w zależności od tysiąca czynników. Ale w owym najgłębszym sensie zawsze wwozi się i wywozi siebie. Mam na myśli, że w każdym miejscu, w którym jesteśmy próbujemy przede wszystkim ułożyć się ze sobą. Dopiero potem motywuemy historię swego życia otoczeniem, Historią, polityką, zdrowiem, chorobą. To są banały, które trzeba powtarzać, bo największej wokół nich automatyzacji.

Z czterech kobiet na pewno zrozumiały to dwie. Dwie zaś — być może podświadomie — gromadzą argumenty. Argumenty za emigracją. W ostatniej *Twórczości* przeczytałam opowiadanie Juliana Strykowskiego „Syriusz”. Argumenty — za pozostaniem

w Polsce. Musiał po to Strykowski wyjechać do Ameryki, odnaleźć przedwojennych znajomych i przyjaciół z Polski. Aby siebie usprawiedliwić musiał tamtych oskarżyć. Ale z czego się tu tłumaczyć? Życie... jest naturą, przypadkiem, losem. W tej właśnie kolejności. Oto cztery różne próby ujęcia życia w postawę. Wobec siebie, Polski, otoczenia.

... próba codzienności

Là ou Dieu nous plante, il faut savoir fleurir. Takie jest motto tej książki* i tyleż w nim rezygnacji, co heroizmu, a tyle heroizmu co konieczności życiowej. Chwała takim książkom i ludziom, którzy je przed napisaniem przeżyli. Co do literatury... Jej funkcją, i to nie najmniej ważną, jest opowiedzieć jak było. Jeszcze raz sobie. I jeszcze raz innym.

Miasteczko po francuskiej stronie Pirenejów. Z okien mieszkania widać góry. Kiedy przychodzi pora zganiania owiec z hal, pasterze prowadzą je przez ulice.

Książka Guilley-Chmielowskiej zaczyna się według dobrej recepty „ogary poszły w las”. Nie wiadomo, kim jest czekająca, nie wiadomo kim ten, który właśnie dzwoni do drzwi. Matka nie zastanawia się nad tym jak wygląda jej syn, syn nie opisuje w myślach twarzy matki. Ale autorka od początku wprowadza w charakter bohaterki, w jej mentalność, nawet w sferę społeczną:

„Ogarnęła ją nagła chęć, by mu to od razu, nieoczekiwanie powiedzieć. Zawahała się tylko nad formą. Nie chciała bowiem użyć wyrażenia — ciąża. To słowo w jej pojęciu było nabrzmiałe czymś w rodzaju fizycznej ułomności. Chwilę wahała się więc, aż rzekła: — Oczekuję teraz maleństwa”.

Czas tej książki biegnie w zgodzie z biologią. Kobieta jest w ciąży, za parę miesięcy urodzi. Potem przejdzie jeszcze parę miesięcy i zdarzy się wiele rzeczy, które zwykły się w życiu zdarzać. Nie przynosząc odmiany, na którą Hanka podświadomie liczyła; Tomasz nie pozostanie we Francji.

Nie udało się Chmielowskiej próba sprobrematyzowania przeszłości. Jej Hanka nie należy do ludzi, którzy ujmują swoje życie w postawę. Czasem pomyśli się jej coś przy garnkach, czasem — kiedy słucha narzekania sąsiadek. I tak powinna była napisać całą książkę. Mam na myśli, że retrospekcja mogła stać się żywym ciałem opowieści, przekazanym naturalnym językiem bohaterki. Z tym jednak, że ta literacka nieporadność wzrusza i przekonuje;

* H. Guilley-Chmielowska, *Spotkania na galerii*, Instytut Literacki, Paryż 1960, str. 192.

jest częścią losu i mentalności Hanki. Czy po prostu pisarki — jeśli opowiada o sobie.

Jest to książka autentyczna, uczciwa w zamierzeniu. Czyta się ją tak, jak słucha się opowiadania kogoś, kogo głos nie kłamie. Podoba mi się jej celowy dyskretny tytuł; pozornie najważniejsze spotkanie — z synem po siedemnastu latach — następuje też na galerii. Jest to zwykły drewniany balkon, na którym spotykają się sąsiadki, gonią koty, wynosi się dziecko — żeby pochwalić się jego pierwszym zębem, nocniki — bo klozet jest wspólny, męża z nogą w gipsie — żeby popatrzeć na świat. I która nagle — galeria — po upalnym i uciążliwym lecie pustoszeje. Gruba pani Duval umiera. Wścibska Marylou przenosi się z mężem do nowych bloków. Inna sąsiadka, doczekawszy śmierci zniechęconej matki, wyjeżdża...

Przed wojną Hanka miała na imię Halszka i mieszkała we Lwowie. Jej ojciec był kresowym szlachcicem, później wyższej rangi urzędnikiem i posiadał „...doprawdy niezwykle talent literacki”. Hanka tak charakteryzuje rodzinę ze strony ojca:

„Może to był brak praktycznego zmysłu, czy po prostu życiowego sprytu, którego byli pozbawieni. Faktem było, że każdy z tych ludzi przewekslowany na jakiś inny tor niż potrzeba, czuł się życiowo zrujnowany, rozlubowywał się w swoim tragizmie i nie był zdolny do wysiłku, który by ten stan rzeczy zmienił. Hanka przyrzekała sobie zastosować inną taktykę życiową. Ona nie da się przez los nabrać. Ma wybitne zamiłowanie do malarstwa i zostanie artystką”.

Jakkolwiek ironicznie los się później obrócił, jest Hanka pierwszą z rodziny, która zastosowała inną taktykę życiową. Nie to, że los swój przyjmuje z pogodą czy z pokorą. Jej stoicyzm jest praktyczny, wiarygodny. Hanka umie, popłakując, złościąc się i cierpiąc, żyć życiem, które jej przypadło. Bardziej niż Tomasz, choć z natury są do siebie podobni.

Tomasz bowiem wróci z Paryża, gdzie studiował i zmywał garnki, gdzie znalazł i stracił dziewczynę. Przyjedzie się pożegnać, z biletem powrotnym do Polski, z pragnieniem, aby matka starała się go zatrzymać. Ale Hanka nie zatrzymuje syna; wie że nie potrafi mu pomóc ani w kłopotach praktycznych, ani w kłopotach duszy. Żegna go, zawiadziona, ale przeciw pogodna. Prawdziwe życie — teraz i tutaj — toczy się na galerii. Na Tomasza zaś czekają studia polonistyczne, brak przyjaciół, perspektyw. O czym on sam opowiada, rozczarowany zarówno do Zachodu jak Wschodu. Jeśli Hance uda się ponownie uciąć pieniądze na bilet, Tomasz jeszcze przyjedzie. I jeszcze raz wyjedzie. Ale to druga książka.

Wracamy do przeszłości. Halszka, nie przyjęta na akademię w Warszawie zajęła się „fotografiką” — retuszowaniem zdjęć

do legitymacji. „Bądź co bądź miała pędzelek w ręku, więc czuła się trochę artystką”. Wyszła za mąż za doktora M., nawet się nie zdążywszy zakochać. Małżeństwo było udane. Przyszła wojna i okupacja sowiecka. Doktora M. zabrało NKWD. Jedyna siostra zaginęła bez śladu, druga znalazła się ponoć na Syberii. Hanka musiała rozstać się z synem.

Swego drugiego męża poznała w łagrze niemieckim. Dwa razy uratował jej życie, potem zawiózł do rodziny we Francji. Hanka poczuła się obco i źle; poza Markiem nikt jej tu nie chciał. Zaczęła pracować jako pokojówka w hotelu, jednocześnie starała się o zaproszenie z Kanady. Niezdecydowana na małżeństwo, pragnęła mieć lepsze życie niż to które ofiarowywał jej lekkomyślny i kochający Mark. Była potem jeszcze jedna możliwość: praca w bibliotece dla polskich żołnierzy w Paryżu. Ale pieniądze odłożone na podróż do Kanady Hanka oddała Markowi a z Paryża zrezygnowała, kiedy zaszła w ciążę.

W czasie teraźniejszym książki życie toczy się w na pół uświadamianych pragnieniach, w mieszkaniu i na galerii, gdzie bawią się dzieci i pyskują sąsiadki. Rodzi się miłość matki do nieznanego jej, dorosłego już syna. I nienachalna ciekawość. Przychodzi moment, kiedy Tomasz sam zechce jej opowiedzieć swoją historię — mniejsza o nią, jest także typowa! — i zreferuje swą filozofię życiową. Hanka odpowie mu — bez cienia emfazy — iż wierzy w ofiarę Chrystusa, w konieczność bólu, w moc dobra i w to, że nic nie jest na próżno. Tak właśnie to wyraża. I tak wygląda jej życie, rozświetlane rzadko i zniecka. Jak wtedy, kiedy w kuchni polewa truskawki: winem dla męża, śmietaną dla syna.

Tomasz rzadko pisze z Paryża, Hanka jest w ostatnim okresie ciąży. Mark zaczyna pracować w kinie i flirtuje z młodziutką Conchitą. Hanka cierpi i złości się. Słowo miłość nie pada w tej książce. I kto wie, może w Hance nie ma miłości, tylko zmęczenie, lojalność wobec ludzi, cicha ciekawość życia. Tuż przed rozwiązaniem zaczyna ciężko chorować. Modli się słowami codziennych modlitw, ale boi — słowami syna: „A może to jest definitywny kres, noc, milczenie, nicość — jak mówił Tomasz. — Koniec i pustka”.

Lokatorzy procesują się z właścicielką kamienicy, mąż pani Campotte rąbie meble siekierą. Rodzi się Patrick, przychodzi pełna oczekiwania Wielkanoc. Mark rozkochany w synu, zapomniął o Conchicie. Pan Prate proponuje Hance, żeby malowała produkowane przez niego statuetki Matki Boskiej z Lourdes:

„Miało się ochotę raczej przymknąć oczy. Było to jedno z tych oblicz Matki Boskiej w obramowaniu z niebieskiego welonu, oblicze zaróżowione,

jak twarz prowokacyjnie uszminnowanej prostytutki, oblicze bez wyrazu, a może właśnie pełne wymowy — tego co można zrobić w bezkarnej świadomej profanacji, gdy chodzi tylko o zysk”.

Mark ulega wypadkowi, Hanka zaczyna pracować w kuchni hotelowej. Córki wracają z kolonii, Tomasz przyjeżdża aby się pożegnać. Miłość do Patricka wydaje się jej nagle jedynym ogniwem, które łączy ją z odjeżdżającym. Ale jej życie nie jest „ucieczką, pogonią, powrotem”, jak parę razy melancholijnie powtarza. Jest lojalnym trwaniem, ciężką pracą i biedą. A także bukietem kwiatów, które często stawia na stole, przykrytym pocerowanym obrusem. I to wcale nie takie zgrzebne.

... próba literatury

„W czas morowy”¹ jest książką konwencji mieszanych. Wiele tu Gombrowicza, trochę Mary McCarthy, trochę — jak sądziłam, nie doceniając Rury — stylu *nouveau roman*, wzbogaconego o humor. Opis rury biegnącej wzdłuż mieszkania zajmuje około dwóch stron:

„Przesiaduje na własnym siedzeniu, rzekłbyś chwilowo, jak piesek który służy grzecznie, ale wyczekująco, w każdym momencie gotowy do skoku. Po tym ukłonie trochę grubsza wyrzuca z siebie krótszą odnogę i wpija ją w licznik, a sama, wraz ze swą najwierniejszą towarzyszką, rwie dalej wzdłuż sufitu, odbijając dumnie swą zgrabną sylwetkę w lśniącej białości ścianie. To znaczy biegła — jeszcze do niedawna”.

Na zaproszenie narratorki przyjeżdża z Kraju Ciocia, szepczą „ach Paryż, Paryż”, obładowana połówką, bursztynami, czekoladkami „22 Lipca”. I gdyby nie połączenie zbyt odległych od siebie literackich wzorów, zabawna byłaby jedna z pierwszych ich rozmów:

„— Dla mnie nie trzeba większego, tylko pokoik, właśnie pokoik w sam raz — powtarzała uparcie. — Zresztą, tu już, jak widzę, stoją moje walizeczki.

I rozgaszcza się w pokoiku z tym burym swoim misiem.

— Ach, jak przytulnie! — wykrzykuje rozdygotana. — Ja lubię właśnie pokoiki. Mój Boże! Amfilady! Ambasady! Gdzie te czasy”.

Jak zauważyć nietrudno krótki ten fragment zaczyna się Gombrowiczem a kończy Hanką Bielicką. Ale duch książki — idea stylu — wywodzi się z Gombrowicza. Olga Scherer nie całkiem bezprawnie uznała ją za własną; jest to po części jej wyznanie wiary literackiej, po części zaś — naturalny temperament pisarski.

1. Olga Scherer, *W czas morowy*, Instytut Literacki, Paryż 1967, str. 201.

Jej opowieść celuje w polski snobizm: krajowy i emigracyjny. Okazów jest aż nadto. Państwo Wrażeniowie przyjmują od narratorki „pierścien na patyku” — kupiony przez nią do umocnienia Rury! — wieszają go na ścianie, wykrzykując: „cacko, piękny przedmiocik”. Dwie dziewczyny świeżo przybyłe z kraju, szukają herbów rodowych, aby zrobić sobie odpowiednie pierścienki. Dentysta-emigrant odnajduje w jej szczęce łudzące podobieństwo do szczęki własnej, tragicznie zmarłej żony. Polacy „na wyjeździe” z kawiarni GOOD LUCK sprzedają Nikifora i swój cwaniacki styl. W rozdziale trzecim, retrospektywnym, pojawia się Artysta. Ten wróci do kraju i jako jedyny uzyska rozgrzeszenie ze swego stylu bycia.

Emigranci, paszportowcy konsularni, wszystkie kategorie pośrednie. Obsmiewamy się nawzajem, broniąc własnej wyjątkowości, jedynej i niepowtarzalnej. Za wiele mamy luster, niechęć... tworzymy grupę. Ale temat jest niezawodny: jest się czym wzruszać, jest się z czego śmiać. Wszystko co w „Czasie morowym” dotyczy emigracji jest zabawne, trafne i... przeszarżowane. Na szczęście, ilości udało się tu przejść w jakość. W tym wypadku — z pomocą Gombrowicza i wolą autorki — w groteskę. Kiedy Ciocia rozmawia z narratorką, odnosi się wrażenie, że obydwie od lat „mówią Gombrowiczem”. Ale „W czas morowy” to nie „Trans-Atlantyk”, nawet nie „Trans-Atlantyk” *à rebours*, jakby chciała pisarka. Na tę grzeszną, pełną pychy intencję wskazuje zakończenie. Słynny fragment „A płyńże...” mogłaby bohaterka odmawiać jak pacierz, chociaż jedzie w odwrotnym niż w pierwowzorze kierunku.

Olga Scherer opowiada o Polsce i Polakach w Paryżu. Krytycznie, groteskowo, zjadliwie. Ale jej książka jest historią samotności — i to bardzo kobiecej — udatnie rozpuszczonej w brawurowym stylu i przewrotnej poincie. Historia zaczyna się od przyjazdu Cioci i pojawienia się rysy na Rurze.

Rura skomponuje tę książkę, w życiu narratorki zajmując nie mniej miejsca od przyjezdnej. Ale to wszystko stanie się literacko składne i psychologicznie uzasadnione dopiero w ostatniej części. Półki co rozmowy z Rurologiem (!) przypominają historyjki Wiecha o warszawskich monterach. Może i celowo skoro narratorka stopniowo przestaje wierzyć w optymistyczne zapewnienia Cioci: „... gdybyś tak u nas powstała przez dwie godziny w kolejce”.

Amerykańska proza, Gombrowicz, humor polski... Ingredience się nie zmieszały, dając pozór czystego stopu tylko w partiach liryczno-erotycznych, jeśli przeszarżowanych, to w śmiertelnej obawie, aby nie wpaść w „kobięcy styl”. A przecież, wbrew wszystkiemu, jest to książka dobra i oryginalna. Niemal dobra...

Gdy ją tylko oczyścić z point, zwrotów w rodzaju „ortopedyczna inteligencja” i następujących dowcipów:

„Trzeba wiedzieć, że gdy Polacy się upijają, śpiewają nieodmiennie i niegramatycznie rosyjskie piosenki, a to dlatego, że Polacy mają mentalność, Rosjanie zaś monumentalność”.

Tymczasem Totuś, szwagier i kochanek Cioci („mąż tej kochanej Toli”) ginie w Polsce w katastrofie samolotowej. Narratorka sugeruje, że Ciocia powinna jechać na pogrzeb. Ale Ciocia trzeźwo konstatuje, że nie ma już po co wracać. I narratorka wcale się nie broni; w końcu bardziej zależy jej na tym, żeby Ciocia i Rura nałożyły jej Gębę, niż żeby Cioci się pozbyć, a Rurę zreperować. Nadchodzi wieczór sylwestrowy u Malarza, gdzie Forma i Bełkot na dobre się rozpasali. Ale w tym wszystkim... w tym wszystkim *la femme est une femme*. I dlatego, nie całkiem podświadomie wietrzyłam, że w zbitym tłumie idiotów i nowoczesnych snobów narratorka spotka bratnią duszę i ciało. Spotkała. W drodze do toalety. Romantyczny epizod skończył się jednak jak przystało dobrej literaturze. W swojej torebce odnalazła własny adres, zapisany we własnym notesie.

Z nowym rokiem Ciocia rozrasta się, krząta, zagaduje. Forma święci swe triumfy: gest pociąga za sobą gest, słowo domaga się kolejnego słowa. Z bezmyślnie powtarzanego przez Ciocię: „a może byśmy się zamienili” — rodzi się rzeczywistość. Narratorka postanawia wyjechać do Polski.

I tak wpada we własne literackie sidła. Następuje druga przystopka miłosna — drastyczna i bezsensowna — z tłustym Niemcem, Helmutem Eigentlichem z Królewca. Kolejny etap degradacji czy raczej autodestrukcji.

Ale groteska jest nie tylko stosunkiem do rzeczywistości. Jest sposobem uczestniczenia w niej i jako taka wymaga konsekwencji, ciągłości, niemieszania z innymi stylami. Pisarce też to doskwiera; podczas drugiej wizyty Rurologa zadaje sobie pytanie, czy aby nie przesadziła. Czy jeszcze jest realistką:

„Tej umowności było mi trochę za wiele. To już zakrawało na udział w jakiejś teatralnej scenie. Po cóż aż tyle symbolizmu, pierwiastka ostatecznie obcego mojemu stylowi? Nic tu przecież nie wykraczało poza granice wytyczone poznawalną rzeczywistością, moim od pewnego czasu polem działania. Zresztą zawsze byłam wyznawczynią pełnego realizmu i gdyby nie nagłe pojawienie się w moim życiu Cioci, cóżby Rurolog lub ktokolwiek inny miał w tej chwili do rozumienia, czy też domyslenia się?”

Rura i Ciocia wyznaczyły jednak — przymuszone przez literackie ambicje autorki — konsekwentny bieg zdarzeń, życia i otoczeniu nadając intencjonalne, nie realistyczne znaczenie. Ru-

ra, Ciocia, nieleczony ząb, nuda w pracy, wreszcie decyzja wyjazdu. Zaraza nie objęła tylko epizodu z Artystą.

Narratorka odbiera więc paszport, podpisuje pustą kartkę (zobowiązanie do współpracy z milicją?), którą zdecydowanie choć w popłochu podsuwa jej kolega Szyja z wydziału spraw paszportowych. Potem udaje się do kawiarni GOOD LUCK, gdzie po raz pierwszy czuje się wśród swoich. I trzeba to wszystko rozumieć zarówno od strony praktycznej jak i artystycznej. Wyjazd do Polski uchroni narratorkę przed wybuchem Rury i Ciocią. Ale to nie wystarcza. I dlatego ze strony na stronę obserwujemy jej przemianę w Ciocię, kreację osobowości trochę sztucznie masochistyczną. Wreszcie:

„Ostatni raz! Z pozostałej do mojej dyspozycji szuflady w komodzie wyciągałam podwiązki, pończochy, piżamy, kombinacje, staniki — wszystko OHNE BÜGELN GLATT i nowe (bo wiadomo, że w Polsce) — jeszcze szwajcarskie chusteczki i belgijskie koronki, angielskie trykoty i włoską portmonetkę, a potem już tylko serdak haftowany w ceglaste parzenice, skórzane kierpce i zakopiański piórnik. Naszyjniki z bursztynów, bursztynowe kółko, bursztynowe kołczyki, broszkę bursztynową i bursztynowe spinki włożyłam na siebie — 'bo to też wszystko moje i ciężko zapracowane' — mówiłam głośno, litując się nad własną, zadyszaną i grzechoczącą osobą, aż z tej litości upadłam na fotelik”.

I tak bohaterka stworzyła siebie od nowa; z podejrzanej Europejki przekształciła się w podejznaną Polkę i na użytek tej przemiany skomponowała swą książkę tak, aby wszystkie elementy były sobie niezbędne. Ulepiła Gębę, aby ją sobie własnoręcznie przyprawić. Z Ciocią w roli... Iwony!

Ale w planie psychologicznym jest to także ucieczka od Francji i od życia, w którym Ciocia i Rura stanowią tylko przysłowiową kroplę. „W czas morowy” to historia o życiu, które się w żaden sens nie układa. Z winy Polski, z winy niczyjej. Historia ucieczki z jednego bez-sensu w drugi.

... próba losu

Były dwie siostry, Anisia i Pola. Anisia — dobra, Pola — zła. Anisia — jasna, Pola — ciemna. Anisia — chorowita, Pola — zdrowa jak koń. Powieść Barbary Toporskiej² otwiera rozdział pt. „Pokój jadalny”. Świat dzieci i dorosłych oglądamy najpierw oczami czułościwej Anisi, potem oczami Poli:

„Pola płacze. Skulona w długiej koszulinie na posadzce, twarz w twarz

2. Barbara Toporska, *Siostry*, Instytut Literacki, Paryż 1966, str. 208.

z księżycem, płacze nie nad Jackiem, który patrzy-nie-widzi jednym okiem, ale ze złości, tak jak to powiedziała Marianna, ze złości na Anisię, na mamusię, i na to, że ona, Pola, nie ma serca, że bije północ, a jadalnia skrzypi cała jakimiś złymi rzeczami”.

Były dwie siostry, matka, ojciec, babka i służąca Marianna. Ojciec — rzeczowy, matka — niedoszła aktorka. Żyli dostatnio, mieszkali w Warszawie. Przyszedł kryzys. Pola i Anisia nosiły na zmianę jedno futro przerobione z karakułów matki. Babcia prasowała i prała. Nie było już służącej. Cztery kobiety — o ojcu mówiło się że umarł — odwiedza niejaki Pyzowski, przegrany aktor, ofiara umasowienia sztuki i głupio kochanej żony. Dobra Anisia spotyka go na ulicy i sprowadza do domu. Pyzowski mieszka w przytułku, ale na obiady stawia się we fraku. Kobiety mieszkają w wilgotnym mieszkaniu i zalegają z czynszem. Pyzowski kradnie Biblię, pamiątkę po ojcu, czego mu zła Pola nie omieszką wspomnieć. Przy okazji wyjaśnia się tajemnica rodzinna; drugi mąż matki Anisi i Poli ożenił się po raz wtóry. Pola nie jest jego córką. Ale przypomina go charakterem, jak po czterdziestu latach wypomni jej Anisia. Na dodatek prawdziwy ojciec Poli był Żydem. „Pochodził z rodziny żydowskiej...” — jak to ujmuje babcia.

Życie dramatyczniej i poważniej styl książki. Nad Anisią, ironicznie pogodzoną ze swym losem panny na wydaniu, przejmuję opiekę jej warszawska ciotka. Kiedy Elegancki, sekretarz wojewody, zaprasza ją do teatru, Anisia wybiera cyrk i wspomina o szkolnym wypracowaniu, w którym napisała, że chciałyby zostać cyrkówką. „I jak to pani umotywowała” — pyta Elegancki.

„Ze chciałybym robić coś, czego inni nie potrafią, i że chciałybym być co dzień odważna, nie bać się lwów, czy że spadnę z trapezu, i jeszcze napisałam, że chciałybym wędrować z cyrkiem po świecie, z miasta do miasta, z kraju do kraju i... — Anisia się śmieje — że chciałybym się nazywać Lili Marita”.

Był taki cyrk. Wędrowało się z miasta do miasta, z kraju do kraju i należało być co dzień odważnym. Ale na razie Anisia jest młoda, bezkompromisowa i pełna oszałamiającej wiedzy zaczerpniętej z miejskiej wypożyczalni. W końcu wychodzi za mąż za inżyniera imieniem Jerzy, którego poznaje u niejkiej Rebece.

Potem jest wojna. Anisia mieszka w Krakowie z Marcinem i małym Krzysiem, który nie jest ich dzieckiem, ani dzieckiem żadnego z nich. Po powstaniu wyszli z Warszawy i teraz planują wyjazd do Włoch. Dojeżdża do nich Maria, matka obydwu sióstr, kurierka przy Komendzie Głównej AK, która „... odmłodziła w tej wojnie”.

Anisia i Marcin wyruszają na zachód i cudem, znanym tylko z tych lat, nie giną w kolejnych nalotach. Docierają do Wiednia, idą w kierunku Włoch. Etapy ich wędrówek stają się coraz krótsze, opowiadane coraz bardziej rwaną narracją. Pisarka żegna swą pierwszą parę ładnie i staroświecko: „Front niemiecki cofa się na wołach, a pod prąd jemu brną uparcie Anisia i Marcin”.

Pierwsza część książki należy do Anisi, druga do Poli, trzecia jest wspólna. Wszystkie białe plamy w historii życia i wędrówek zostaną opowiedziane. Ludzie, których ślad Toporska nagle zatarała, powrócą trochę później, w akcji lub wspomnieniach. Jest czas tuż-po-wojnie, w Paryżu spotykamy Polę z Jakubem. Zaczyna się opowieść o innej rodzinie, równie typowej i równie wyjątkowej. Powraca migawkowo wspomniana Rebecka, fascynująca i trochę symboliczna. Pierwszy mąż Anisi był jej kochankiem, mąż Poli, Jakub, był w niej zakochany. Czy to raczej Rebecka, ładna, trochę zbyt literacka w tej swojej nic-nie-żącej miłości — kochała się w Jakubie.

Jakub Mayer był synem aptekarza i ukończył medycynę w Krakowie. Ojciec Mayer był zaśluzonym działaczem niepodległościowym, o którym nikt nie wiedział, że jest Żydem, tak jak ojcu Poli nikt nie pamiętał że nazywał się niegdyś Lilienthal. „W domu Mayerów czciło się Boga Jedyneho, uniwersalną wiedzę i polską kulturę”. I do żydostwa powróciło się w getcie.

Pola z Jakubem uciekli z getta dzięki aryjskim rysom. Pola przeszła skrobanekę, po której nie może mieć dzieci. Jakuba irytuje jej egzaltacja sztuką. Ma do Poli pretensję o Rebeckę i nie tylko o Rebeckę; Pola nie chce już być ani Polką ani Żydówką. Zdaniem Jakuba wojna określiła ich raz na zawsze. Życie zatrze później ostrość poglądów, stare mieszając z nowymi. Nazywa się to przystosowaniem.

We Włoszech zaś młody oficer wojsk alianckich od dziesięciu dni czeka na kobietę, która wreszcie nadchodzi. To Jerzy i Anisia, od wojny żona Marcina. Jerzy strzela sobie w usta. Plotki nadadzą samobójstwu znaczenie polityczne.

Tu kończy się pozorna amorficzność tej książki, mieszanie chronologii wypadków, opuszczanie tła i motywacji zdarzeń. Siostra ciemna i zła osiedla się z mężem w Niemczech. Jakub jest lekarzem, Pola — gniewną ale lojalną żoną. Anisia z Marcinem od lat mieszkają w Australii, właśnie są przed rozwodem. Jasnowłosa łagodna siostra zjeżdża do Poli, która umiera na raka. Opowiadają sobie etapy wędrówek, przypominają nawzajem to, czego o własnych losach nie wiedzą, albo po prostu, czego nie wie czytelnik. Obydwie dojrzały, postarzały się, ich losy się wypełniły. W sposób wiarygodny tragiczne, choć zakończone literackim efektem.

„Siostry” są książką mądrą i przejmującą, jak wcale nie każda opowieść o ludziach, przez których przeszła wojna. Jest to książka o wymiarach i strukturze tragedii, choć z mądrej woli autorki jedyną w niej postacią tragiczną jest Pola. Siostra ciemna i zła osiąga świadomość samej siebie. Pełną i wiarygodną, bo pisarka nie sugeruje iż to wystarczająca nagroda za życie.

W ostatniej części napisała Toporska swój „oddział chorych na raka”. Pole, która nigdy nie umiała wybaczyć i zawsze chce się „doszukać słuszności”, znacznie bardziej interesują sprawy chorych sąsiadek niż czuła opieka Anisi i częste wizyty męża. Sztuka już dawno przestała ją obchodzić. W zamian za to potrafi rozkoszować się dekoracją pokoju szpitalnego, drzewami za oknem, tą chwilą życia, która nieodwołalnie prowadzi do śmierci:

„Czas słoneczny i czas Poli rozłączyły się, rozminęły, pracowały w przeciwnych kierunkach. Pierwszy wydłużał dnie, drugi je skracał. Rozwożoną o szóstej rano kawę piła w półmroku, ale nie trzeba było już zapalać światła. Potem zapadała w nową drzemkę. Przed siódmą pukała folksdojczka z Łodzi, i pytała, czy Pola chce do kaplicy. Pola chciała... Lubiła nabożeństwa, zapach kadzideł, ciepłe brzozy w migotaniu świece i dzwoneczków, pochylone nad kornetami profile sióstr i ich melodyjne półgłosne pacierze. Nie, nie ulegała iluzji, że łagodny nastrój jest spływającą na nią łaską z nieba. Brała pokornie to, co dostawała, nie nazywając innym imieniem”.

Ciemna siostra powoli umiera w szpitalu. Jasna, co rano namawia ją do malowania ust i przygotowuje surówki. Nie zwycięstwo nad egoizmem, lecz trwanie w nim, nie — porozumienie, lecz wzajemne niezrozumienie stają się pomostem ich wzajemnej miłości. W tym ostatnim śmiertelnym spotkaniu obydwie kobiety szukają jednoznacznych formuł swego życia, początku winy. Czy dlatego — pyta Anisia — życia ułożyły się nie tak jak trzeba, że wszystkie kobiety z ich rodzin „... ciągnęły za niewłaściwy koniec...”.

Zakończenie książki wskazuje, że pytanie było jeszcze jednym oszustwem. Żadnej z nich nie są potrzebne wspomnienia i rodowody klęsk. Pola rozumiała to zawsze, Anisia — głupsza i pretensjonalna — dopiero w ostatniej chwili. Ostatni rozdział nosi naiwny albo przewrotny tytuł: „Przeznaczenie”. Pola umiera, Anisia ginie w katastrofie samolotowej.

„Co za zbieg okoliczności” — opowiadał Jakub wszystkim, którzy nadawali się do słuchania tego rodzaju wynurzeń”. Jakub nic nie rozumiał. W epilogu opowieści, nad wspólnym grobem kazał posadzić dwie brzoźki i wyręć napis SIOSTRY.

Książka Toporskiej opowiada o splataniu się Historii z przypadkiem i charakterów z przypadkiem. W Los, który też jest przypadkiem. Wbrew Historii i wszystkim jej procesom. „Siostry” wyrażają to proste przeświadczenie, że życie nie układa

się w żaden logiczny sens. I że przeznaczenie jest dopisywane co chwilę, do końca, do śmierci.

... próba antropologii

„Świat przetłumaczony”³ to dziennik ze zbierania materiałów do pracy etnograficzno-socjologicznej o jednym z indiańskich plemion w Meksyku. Indianie nazywają się Mazahua, wioska, która służy za teren badań — Mbayo. Tutaj mieszka autorka, czy raczej Donia Marylita — jak ją nazywają tubylcy — stąd zachodzi do okolicznych wiosek, stąd dojeżdża do Meksyku-miasta, aby porozmawiać ze swym przejawicielem Ulissesem, tutejszym Jean-Paul Sartrem, lub załatwić coś dla swych Indian.

Książka Iwańskiej jest dziennikiem paromiesięcznej pracy, poszerzonym o wspomnienia z przedwojennej młodości, a także z okresu wojny. Kilka luźnych uwag odnosi się do pobytu w Stanach Zjednoczonych. Donia Marylita wyklada bowiem na jednym z amerykańskich uniwersytetów, od którego otrzymała stypendium. Ale książka jest także dziennikiem jej życia wewnętrznego; notatnikiem emocjonalnym i bardzo, bardzo kobiecym — z wrastania w niewielką na pozór odmienną społeczność. Plemię jest nieliczne, w Historii nie umiało się niczym szczególnym wyróżnić. Posiada własny język.

Iwańska wybrała teren i metodę swych badań. Ale zanim o tej metodzie, parę uwag o jej naukowych patronach. Są to Malinowski i Florian Znaniecki. Pierwszego autorka nie lubi, drugiego — nie wymienia. On jednak patronuje naukowemu i osobistemu zamierzeniu jej książki.

Znaniecki przedmioty kulturalne czyli układy ludzkie nazywa wartościami. W myśl jego teorii, wartość od rzeczy różni się posiadaniem „znaczenia”. W koncepcji badań Iwańskiej nie mniejszą rolę odgrywa jego pojęcie „współczynnika humanistycznego”; patrzenia na badaną zbiorowość oczami tej zbiorowości. „Ideałem nauki społecznej — pisał Znaniecki — jest możliwość interpretowania możliwie największej ilości faktów przy pomocy możliwie najmniejszej ilości praw, to znaczy wyjaśnianie przyczynowe nie tylko życia poszczególnych społeczeństw w poszczególnych okresach lecz jeszcze podporządkowanie tych praw poszczególnych prawom ogólnym, stosowanym do wszystkich społeczeństw wszystkich czasów”. A Iwańska:

„Więc wiem już co to znaczy petate dla ludzi, z Mbayo, chociaż nie wiem jeszcze z czego jest zrobiona i prawdę mówiąc, wbrew etnografii uczciwej

3. Alicja Iwańska, *Świat przetłumaczony*, Instytut Literacki, Paryż 1968, str. 234.

i obowiązkowej, nie bardzo mnie obchodzi z czego się robi petaty! Dowiem się naturalnie i zapiszę na twardych kartkach (fiszki? — jk), ale dla mnie, mimo to że nadal jestem na pewno pozytywistką, dla mnie przedmioty są zrobione ze znaczeń i tak naprawdę to obchodzi mnie tylko znaczenia”.

Czyli ludzie.

I jeszcze jeden cytat, dla uwidocznienia założeń i sprzeczności tej książki, dziennika badań naukowych o literackich ambi-
cjach:

„Wiedziałam że nie można już więcej pytać o ten zakaz niespodziewany, ale o zwyczajach ślubnych też jakoś nie chciało mi się po tym wszystkim rozmawiać... Bo oto zaczyna się naprawdę dziać i zaczyna się to dzianie od takiego zagmatwania i jak tu można w obliczu własnych dziejów, splatających się właśnie z ich dziejami, zbierać spokojne i beznamiętne dane etnograficzne?”

Iwańska jest przeciw mitom i przeciw pozytywistycznym metodom. Tworzy za to mit na osobisty użytek. Wrasta w badaną wspólnotę, aby wioskę Mbayo przyrównać do Polski, a historię Mazahuów do rodzimej historii. Łącznie z okupacją i Powstaniem Warszawskim. Na użytek tego mitu, wspomnienia z własnego dzieciństwa porówna z niejednoznacznym obliczem rewolucji w Meksyku:

„Który to rok? 1932? Rok Reformy Rolnej w tych okolicach? Początek nowego świata dla Indian Mazahua!... A może ten dziedzic to mój własny ojciec przed bramą dworu w lubelskim? Co to się działo wówczas w tych po-pierwszo-wojennych nie pamiętanych już latach? Strajk pracowników dworskich? Chłopski bunt? Pomruk nienazwanej rewolucji?”

Historię każdego kraju, każdej społeczności — mówi Iwańska — można ze sobą porównać. Można. Ale ten zabieg w całej swej niewinności i uniwersalnym humanizmie bardzo jest utylitarny.

Donia Marylita próbuje odnaleźć siebie wśród Indian, a to znaczy wczuć się w dolę jakiegokolwiek wspólnoty, byle tylko solidnie krzywdzonej i napiętnowanej Historią. Wioska Mbayo, plemię Mazahuów to dla niej ów typ idealny — tyle że praktyczny, a nie teoretyczny — znany z prac Maxa Webera. Założenie zostało przyjęte *a priori* a terenowa prawda w pełni mu odpowiada. Donii Marylicie udaje się stać niemal jedną z plemienna, a w każdym razie z wioski. Z przeszłości swoich Indian poznaje to, co dla nich samych stanie się Historią. Historią w znaczeniu mitu: lekcją dla potomnych, tym co warte zapamiętania. Donia Marylita nauczy ich myślenia historycznego, oni ją — przewagi mitu nad Historią w rozumieniu europejskim i północnoamerykańskim.

Uda się jej nawet napisać historię plemienna, na co zresztą

starszyna wioski od dawna miała ochotę. Posługując się magnetofonem Donia Marylita spisuje za nich ich Księgę. Potem odczytuje, co napisała a Indianie, po każdym fragmencie, powtarzają chóralnie: prawda! Czasem ktoś ze starszych podchodzi do mikrofonu, aby coś uzupełnić, poprawić... Powstaje pytanie, w jaki sposób Mazahuowie rozumieją prawdę historyczną. Odpowiedź: prawdą historyczną jest to na co wszyscy zgodzili się, że jest prawdą. Arcysłusznie! Tyle że w społecznościach bardziej liczebnych trudne do przeprowadzenia.

Księga Mbayo zostaje złożona w kościele, rozdział którego Indianie sobie nie życzyli wyjęty przez nich samych.

Wybrana metoda badań to tak zwana obserwacja uczestnicząca. Częściowa zresztą, bo wprawdzie autorka mieszka wśród Mazahuów, je to co oni, żyje ich sprawami, ale nie całkiem przebrała się za Indiankę. Krótko mówiąc obydwie strony znają swoje role: Indianie wiedzą że są przedmiotem jej zainteresowania, ona zaś stara się, żeby to oni przychodzili do niej ze swymi opowieściami. Pomocą naukową jest hamak, w którym zwykła leżeć, słuchając co do niej mówią:

„Chodzenie od domu do domu byłoby i niepotrzebne i szkodliwe: szkodliwe dla moich badań, szkodliwe dla ludzi z Mbayo, szkodliwe dla mnie samej, dla wszystkich moich ludzkich treści”.

Owe „ludzkie treści”, warstwa dygresyjno-literacka tej książki wyglądają następująco: emigrantka z Polski ratuje się przed tęsknotą i brakiem zakorzenienia. To co nie udało się chyba w Stanach Zjednoczonych, udaje się jej wśród Indian. Na sukces złoży się przede wszystkim jej dobra wola poznania i rozumienia ludzi. Umiejętność zaskarbiania sobie ich szacunku, sympatii. Wreszcie — pozycja w Mbayo, co trochę drażni ją na początku — ale przeciwie stopniowo sprzyja pracy i duchowym zachciankom. Dla Mazahuów Donia Marylita do końca pozostaje kimś z zewnątrz, kimś Ważnym. Zlecają jej więc załatwienie elementów dla uczniów nowej szkoły, pragną żeby została nauczycielką w tej szkole, szukają ratunku w chorobie. Ich stosunek jest mieszaniną szacunku, pobłażania i protekcjonalizmu.

A także zaufania. Indianie powoli wtajemniczają Donię Marylitę we wszystkie sprawy wioski. Ona zaś posłuszna jest starszynie, uznaje jej rację i zwierchność. Czeką ją za to nagroda. Oprócz zgromadzonej masy materiałów zyskuje świadomość, że mogłaby wśród nich zostać i żyć. Nie przeszkadza jej brak cywilizacyjnych udogodnień a ludzie fascynują. Zarówno ich przeszłość jak i zbliżająca się przyszłość, już nie etnograficzna: postęp cywilizacji, oświata, a także bezrobocie i zniechęcenie wśród młodych. Konflikt między pokoleniami.

W Mbayo, co więcej, dzięki autorce, dochodzi do zbiorowej katharsis. Po wielu przygotowaniach Mazahuowie opowiedzą Donii Marylicie najtragiczniejsze zdarzenie z ich nowożytnej historii. Właśnie to, które Iwańska przyrówna do okupacji w Polsce.

Kilkanaście lat przed jej przyjazdem odbyła się pacyfikacja Mbayo i okolicznych wiosek. Represja za zamordowanie weterynarza amerykańskiego, który przyjechał zabijać chore bydło. W grę weszły — czego Indianie są całkiem świadomi — międzynarodowe machinacje ekonomiczne; siuchy między rządem meksykańskim a amerykańskim, postęp jako przymuszanie do kupowania traktorów, nagle potaniałe sardynki, które po otwarciu puszek okazały się wołowiną. Jest to kulminacyjny punkt książki, łącznik między jej warstwą literacką a naukową. Koronny argument przy porównywaniu odległych od siebie wspólnot.

Wszystko bowiem w „świecie przetłumaczonym” zmierza do snu, który wreszcie śni się Donii Marylicie. Jego wymowa jest prosta: dzięki poznaniu i pokochaniu Indian autorka „wraca” do Polski:

„— A może Mazahuas z Polonii a może Polacos z Mazahuaniu, a może, a może, może... i czy to pani *tierra* czy nie, a jeśli nie, to czyje to *pueblo*, czyje *ciudad*, czyje *memenhi* usłyszałam nawet zdziwiona słowo znaczące stolica w języku otomi. I wówczas poczułam na sobie znówu spokojny, ale ostrzejszy niż poprzednio wzrok obcego z ciemności gestej... *A donde, a donde, a donde?* — dokąd, dokąd, dokąd? — i wówczas zobaczyłam wyglądając przez okno, że podnoszą się czarne liny windy i wpełzają na same wierzchołki niby to gór niby drzew, których nadal nie umiałam nazwać, ale wiedziałam za to na pewno, jak się nazywa ta *tierra* przedziwna, do której już jechałam wspinając się stromo w górę, moją windą z deszczu, i tę nazwę im Czekaającym z radością i bardzo głośno, przez moje okno z deszczu wołałam i wołałam”.

Jestem pełna szacunku i sympatii dla stosunku pisarki do ludzi, dla umiejętności ich opisywania, dla jej wrodzonego poczucia sprawiedliwości i kultury współżycia. Sympatyczna i bliska jest mi nawet jej egzaltacja: pragnienie aprobaty i pełna szczerść w tym względzie. Ale mam za złe tę dziwną, na siłę spreparowaną analogię. Choćby nawet była prawdziwa. Mam za złe literackość tej książki; tę masę dygresji na temat własnych koncepcji życia, prawdy, nauki, literatury, historii, polityki. Koncepcji mało odkrywczych, ale podawanych tonem rewelacji i wtajemniczenia. Nie lubię kiedy „językiem serca” spisuje się takie sprawy. I nie lubię notowania drgnień własnej duszy, choćby były najbardziej szczerze. I wyrazów pisanych rozstrzelonym drukiem i z wielkich liter po to, żeby tylko nie nazwać czegoś w sposób normalnie przyjęty, a bardziej po indiańsku. I meandrycznych

zdań. A najbardziej nie lubię wjeżdżania po „linie z deszczu” do Polski.

Praktyczniejszy wydaje mi się sposób Olgi Scherer. Pociągim. Na złość cioci i chwaleb literaturze.

Janina KATZ

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Historia postaw etycznych

I. CYWIŃSKI, Bohdan: *Rodowody niepokornych*. Warszawa, 1971, str. 519. (W serii Biblioteka „Więzi”, t. 29).

Książka interesująca i ważna, napisana przez autora pewnie władającego piórem, dobrze — choć jak się okaże — jednostronnie obeznanego z historią polityczną Polski. Przemawianie per „my” i staroświecka stylizacja wykładu nasuwa przypuszczenie, że autor należy do pokolenia dobrze „przedwojennego”; w rzeczywistości liczy około 30 lat, jest działaczem katolickim, blisko związanym ze środowiskiem K.U.L.u. Zadaniem książki jest udowodnienie możliwości „dialogu” z „niepokornymi” tj. wszelkiego gatunku niekonformistami i agnostykami o wysokim progu postaw etycznych, szukającymi radykalnych rozwiązań problemów społecznych, politycznych i religijnych. Autor ogranicza pole badań do zaboru rosyjskiego i rozpoczyna od obrazu sytuacji postycziowej i losów pokolenia, które wyrastało w atmosferze kłeski. W tok rozmowania wtrącone są sylwetki najwybitniejszych (w pojęciu autora) „niepokornych”, a więc np. Waryńskiego, Stanisława Brzozowskiego, Mariana Bohusza (Potockiego), ks. Korniówicz oraz większych grup działaczy oświatowych, co daje mu punkt wyjścia do kreślenia typowych sylwet „inteligenta-radykała” i „Polaka-katolika”. Tu, w najważniejszych rozdziałach książki, autor rozprawia się surowo z powierzchownym, tanim katolicyzmem i odbiciem takiej postawy w literaturze „wyidealizowanych dworców”. Widzi dwie postawy Kościoła: „konstantyńską” (= zgodzie z władcą-cesarzem) i „juliańską” (od Juliana Apostaty, w opozycji do władzy). Ilustruje je na przykładzie biskupa Felińskiego, który wyszedł z postawy „konstantynizmu” a skończył na zesłaniu. W rozdziale pt. „Etyka egoizmu narodowego” Cywiński poddaje surowej analizie „Myśli nowoczesnego Polaka” Dmowskiego, który już przedtem — jako autor „Dziedzictwa” — określony został mianem chwalecy „pogromów i wypraw z laskami” (str. 369). W polemice z poglądami Dmowskiego wyczuwa się jednak ton „dialogu” i chęć dostosowania programu Endecji do potrzeb postawy ideowej „dobrego” Polaka-katolika. Razi to tym więcej, że poświęcając kilkadziesiąt stron Dmowskiemu, Cywiński nie znalazł miejsca na najkrótszą bodaj wzmiankę o wielkim „niepokornym”, jakim był Piłsudski i środowisku Strzelca i Legionów. Na ujęciu okresu 20-lecia Niepodległości odbiła się jednostronność informacji, na których się opierał. Stąd przecenienie wpływu Wolnej Wszechnicy Polskiej i środowiska „Verbum”, czy wypowiedzi Jerzego Zawieyskiego.

„Rodowody niepokornych” kończą się wezwaniem do szukania wspólnego języka z chrześcijanami, przede wszystkim na polu etyki społecznej. „My” — a więc środowisko katolickie (w tym wypadku oznaczające „Więź”) — „chcemy być Kościołem wiernym swojemu postannictwu, a więc wolnym od pokusy jakiegokolwiek neokonstantynizmu i stojącym na straży godności i wolności osoby ludzkiej, Kościołem ludzi, którzy potrafią świadczyć i którzy wiedzą, że świadectwo bywa czasem trudne a czasem wymaga płacenia wysokich cen za Prawdę, w którą się wierzy”.

Sztuki plastyczne (malarstwo)

2. IHNATOWICZ, Ireneusz: *Obyczaj wielkiej burżuazji warszawskiej w XIX wieku*. Warszawa, 1971, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 233, ilustr., bibliografia. (Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie. Biblioteka Wiedzy o Warszawie subsydiowana przez Wyd. Kultury Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy).

Autor stara się odtworzyć „realia życia codziennego” warszawskiej „burżuazji”, do której to klasy zalicza: bankierów, właścicieli sklepów a nawet wzbogaconych rzemieślników. Ci ostatni interesują go mniej; przedmiotem książki są „górne warstwy burżuazji”. Autor stara się o równe rozłożenie blasków i cieni; sporo miejsca poświęca np. działalności filantropijnej i popieraniu nauki, oświaty, sztuki i literatury. Uważa, że „szlachecka legenda” miała przemożny wpływ na kształtowanie „obyczajów burżuazyjnych”. „Procesy te prowadziły ku unifikacji, ku zlanii się różnych substancji w całość składową kultury nowoczesnego narodu”. Wielokrotnie zauważa szybkie tempo asymilacji Niemców i Żydów (przyśpieszane u tych ostatnich zmianą

Florilegia

3. „NIE KAŻDY WEŹMIE PO BEKWARKU LUTNIEJ”. (Wybór popularnych urywków klasycznej poezji polskiej oprac. przez Pawła Herta i Władysława Kopalńskiego). Warszawa, 1971, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 89 (1).

Sarmackim upodobaniem do cytowania autorytetów towarzyszyły dawniej *florilegia* albo „wieńce poetyckie”, będące odpowiednikami angielskich „dictionaries of quotations”. Nie wydawano ich od dawna, choć, co znakomicie wyczuł Gombrowicz i Adam Czerniawski, potrzeba wspierania przemowień wzniosłymi cytataми bynajmniej nie wygasa. Z ulgą donieść więc można, że wydana obecnie po bibliofilsku mała książeczka jest tylko zapowiedzią pomnikowej „Księgi cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku”. O retyl „Tysiąc wierszy o sadzeniu grochu” — jak powiedział Mickiewicz, „Trza być w butach na weselu” — jak powiedział Wyspiański, „O ówiewku z byronowego krzyża!” — jak powiedział Słowacki (a gdzie? a dlaczego?).

(Sztuki plastyczne (malarstwo))

4. WYKA, Kazimierz: *Thanatos i Polska czyli o Jacku Malczewskim*. Kraków (1971), Wydawnictwo Literackie, str. 176 (2), kolorowe ilustr.

Autor książki raz jeszcze potwierdził swą przynależność do Krakowa, miasta wspaniałych pogrzbów, biorąc za punkt wyjścia książki *castrum do-*

loris Malczewskiego w kościele Franciszkanów. W obrębie formacji Młodej Polski — pisze Wyka — wytworzyło się w opinii i sądach ogółu coś, co by można nazwać Olimpem tego pokolenia”. Wyka umieszcza na nim: Żeromskiego, Reymonta, Kasprowicza, Przybyszewskiego i *ex aequo*, jako malarzy, Wyspiańskiego i Malczewskiego. Z ogromnej twórczości wybiera dwa dominujące motywy śmierci i polskości („krajobraz był dla Jacka Malczewskiego zarówno miejscem polskości, jak miejscem losu ludzkiego w ogóle”). Eros, jako trzeci motyw, bardzo jest w tej wzniosłej księdze pokrzywdzony. Stąd rada: niech uczony profesor raz jeszcze popatrzy na kolejne wersje Ellenai, na cykl „Zatruta studnia” i zwiąże je bliżej, po freudowsku, z życiorysem artysty.

Literatura piękna (utwory powieściowe)

5. GŁOWACKI, Janusz: *Nowy taniec la-ba-da*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 168 (4).

Autor debiutował w roku 1968 „Wirówką nonsensu” (II wyd., 1970) i zyskał duży rozgłos jako felietonista warszawskiej *Kultury*. Tom zawiera cztery opowiadania: „Polowanie na muchy”, „Ból gardła na dwóch”, „Nowy taniec la-ba-da” i „Kuszenie Czesława Pałka” (przerobione na sztukę teatralną pt. „Czesław Pałek albo Cudzołóstwo ukarane”). Ta ostatnia nowela najlepsza. Bohaterem jej jest półinteligent-technik, kuszony przez wampę PRLu, żonę szefa obyw. Pałka. Wamp jest czytelniczką „Życia seksualnego dzikich”, spragnioną silnych doznań przy dźwiękach patefonu z nagraniami muzyki afrykańskiej. Nowela nasuwa pewne analogie ze „Śmiercią w starych dekoracjach” Różewicza, jeśli idzie o język i tok rozumowania Pałka.

6. KUNCEWICZOWA, Maria: *Fantomy*. Warszawa, 1971, „Pax”. Str. 254.

Powieść o samej sobie. *Powieść* — a nie pamiętnik czy autobiografia, bo przy tej drugiej klasyfikacji rzecz domagałaby się setek sprostowań, usuwanych jest w tonacji przed-serajewskiej. Mieści się lepiej w latach 1910-ych, niż we współczesności, w której dostrzega raczej drugoplanowe szczegóły, niż sprawy istotne. Książka przesycona jest „wytwornością” strojów, itinerariów, rzucanych od niechcienia nazwisk wielkich pisarzy i wybitnych osobistości zaprzyjaźnionych z autorką. To utrudnia lekturę, nieco bawi, więcej irytuje a w sumie obniża autorytet pisarski Kuncewiczowej. A przecież jest to książka zręcznie napisana, umiejętnie przerzucająca się z przeszłości w lata powojenne, wypracowana i dociągnięta. Jeśli potraktujemy ją, wbrew zamierzeniu autorki, jako fikcję (= ang. *fiction*) będzie to próba nakreślenia dwutorowego portretu sławnej pisarki, która mogłaby (?) zdobyć laury śpiewaczki, gdyby wybrała tę alternatywę, — podreźnic organizowania kariery życiowej nastawionej na sukcesy osiągnane bez większych skrupułów, — wreszcie łańcuch zaczepień o różne środowiska: wojenny PEN-Club, emigrację (do której, oczywiście, bardzo się rozczarowała), Stany Zjednoczone i Kraj (z paszportem amerykańskim). Nie jest to budujące, ale zajmująco nakreślone. Im mniej wie się o autorce (i szanownym jej małżonku), tym lepiej wypada odbiór książki.

ORYSZYN, Zyta: *Najada*. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 152 (2).

Krótką powieść o akcji osadzonej na współczesnej wsi. Całkowicie apolityczna, wolna od propagandy, ukazująca jednak interesujące dzisiejsze konflikty: ścieranie się dawnych tradycji z „nowym” stylem życia młodych wyrwywających się w świat. Fabuła obraca się wokół „córci gospodarskiej”, i reemigranta z Francji, który przywiózł ze sobą syna „Lusjen”, romantycz-

nie wspomianej francuskiej kochanki. Niedoświadczonym partnerem „Marychny” jest Sawka (= Sławomir), znajda, wychowany przez znaczkorkę, a następnie w Domu Dziecka. Tam usłyszał od kucharki: „Nie myśl sobie, że wszystko zawsze przed tobą, bo nagle się okaże, że wszystko już przeżyłeś i nawet o tym nie wiedziałeś. Że przeżyłeś, choć zawsze czekałeś na co innego, na innego siebie niż jesteś, na inne życie niż to, którym żyjesz”. Tło powieści nasuwa przypomnienie „Wesela w Atomicach”. Zadziewia aktualność starych problemów: mezaliansu, nieślubnych dzieci, podrzutek.

8. OSIECKA, Agnieszka: *Zabiłam ptaka w locie*. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 177 (1).

Powieść o Monice Arden, rówieśnicze autorki, osadzona w dobrze znanym Osieckiej środowisku młodzieży inteligentkiej. Bohaterka, której życiorys zawiera wiele elementów autobiograficznych, po wypadku samochodowym, przebiega w majaczeniach kluczowe wydarzenia młodości, nad którą dominowała postać ojca, austriackiego skrzypka estradowego o znanym nazwisku. „Ptak” z tytułu jest (jak u Kijowskiego) symbolem; odnosi się formalnie do przypadkowo zabitego ptaka, co, jak nie trudno się domyśleć, równa się zawiedzionym aspiracjom. Symboliczny jest również stosunek do przyrody (Bachelard?). Pisana zajmująco, ale z dużą dozą minoderii powieść „środowiskowa”. Czy warto, by próbowała pisać dalej? Warto.

E s e j e

9. RÓŻEWICZ, Tadeusz: *Przygotowanie do wieczoru autorskiego*. Warszawa, 1971, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 281.

Wydawcy określili wartość tomu jako „głęboko przemyślany” cykl wielu „spotkań autorskich”. Można polemizować z takim ujęciem, zestawiając np. składankę Różewicza z „Kontynentami” Miłosza, książką o ileż dojrzałszą! Ale, nawet przy tak krytycznym podejściu do tomu jako całości o przemyslanej kompozycji, otrzymaliśmy wiele. Na część pierwszą składają się wspomnienia głównie o charakterze autobiograficznym. Zadziewia stosunek do Staffa. Dla Różewicza i wielu jego rówieśników był on autorytetem nie mniejszym niż dla Skamandrytów! Sylweta Czechowicza wypadła blade, grzecznościowo, a już wręcz laurkowo pochwała Karola Kuryluka. W części drugiej przeważają teksty ważne jako komentarze do twórczości własnej (w szczególności esej „Nic, czyli wszystko”, nawiązujący do „Nic w płaszczu Prospera”). Warto przytoczyć zdania otwierające ten wspaniały esej: „Nasze współczesne Nic jest inne niż Nic w przeszłości. Struktura naszego Nic jest przeciwieństwem nicości. Nasze Nic nie jest przeciwstawne w stosunku do świata realnego, do „rzeczywistości”. Ono jest rzeczywistością” (str. 119). Na uwagę zasługuje autointerpretacja „Śmierci w starych dekoracjach”, jako rzeczy „o życiu i przypadkowej śmierci w starych dekoracjach”. „Jest to opowiadanie o tym, że w „murze” życia, w murze „rzeczywistości” nie ma żadnych mistycznych drzwi, którymi można wyjść w inny wymiar, w „lepsze życie” (myśl z Huxley’a, ulubionego pisarza Różewicza).

10. ŻAKIEWICZ, Zbigniew: *Ludzie i krajobrazy*. Gdańsk, 1970, Wydawnictwo Morskie, str. 168 (2), ilustr. fotografiami wykonanymi przez autora.

Szkice o tematyce rosyjskiej, ogłoszone poprzednio w *Twórczości, Miesięczniku Literackim i Więzi*. Autor jest rusycystą, porywającym się na próby ukazywania „nieujarzmionego, nieokreślonego nigdy do końca życia”. Tom zawiera wrażenia z literackich wędrówek śladami Puszkina, Tołstoj, Dostojewskiego. W szkicu pt. „Polacy u Dostojewskiego” omawia poglądy

Jerzego Stempowskiego, Karola Zawodźńskiego i Wacława Lednickiego, dochodząc do wniosku — na podstawie wspomnień Tokarzewskiego, iż „Dostojewski szukał satysfakcji za urazy, jakich doznał od Polaków (trzymających się na dystans), dyskredytując ich za odmiennosć poglądów, odmiennosć tym dokuczliwszą, że widzianą u przedstawicieli narodu słowiańskiego, a więc tym silniej dostrzegalną i tym trudniejszą do wybaczenia”. W końcowej części tomu Żakiewicz relacjonuje spotkanie z pisarzami sowieckimi, traktując krytycznie Jewtuszenkę („Poeta ustępującej fali”).

Historia i teoria literatury

11. JASIŃSKA, Maria: *Zagadnienia biografii literackiej*. Geneva i podstawowe gatunki dwudziestowiecznej beletrystyki biograficznej. Warszawa, 1971, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 342.

Autorka analizuje gatunki literackie, biorąc za punkt wyjścia życiorysy opisywanych postaci. Są to: opowieść biograficzna (Maurois, Berent, Pruszyński), biografia upowieściowana („Król życia” Parandowskiego) i powieść biograficzna (Woroszyńskiego „Sny pod śniegiem”). Jasińska przypomina, iż na gruncie polskim przemyślał teoretyczne problemy tych gatunków Berent, rozróżniając esej biograficzny, opowieść biograficzną i *vie romancée*. Najciekawsze rozdziały książki dotyczą problemu fikcji i granic swobody autora przy wykorzystaniu autentycznych wypowiedzi i faktów, a także na znacznie niebezpieczniejszym gruncie tworzenia „wypowiedzi czy nawet sytuacji fabularnych” (transpozycji). Jasińska zaniepokojona jest zjawiskiem masowego fabrykowania „samograjów”, jakimi są utwory z zakresu beletrystyki biograficznej. Zdaje się kłaść zbyt wielki nacisk na „wielkość” bohatera, choć słusznie wyuczawa, że „socjologia daje tu operatywny klucz do zrozumienia różnych problemów”. Ciekawe, jak — stosując ów klucz — oceniłaby i sklasyfikowała „Moje uniwersytety” Janiny Kowalskiej.

12. SPRUSIŃSKI, Michał: *Juliusz Kaden Bandrowski*. Życie i twórczość. Kraków, 1971, Wydawnictwo Literackie, str. 341 (3), ilustr., bibliogr.

32-letni autor, wychowanek Uniw. Jagiellońskiego, podszedł niezmiernie rzeczowo do niełatwego zadania skreślenia portretu Kadena, człowieka i pisarza. Co więcej, przypadł mu do smaku wymyślny i pretensjonalny język post-młodopolski, „inwazja epitetów”, „szum nieustannej odmiany kształtów”, „drobinowość widzenia i pasja analityczna”. Doszukując się istoty „kadenizacji” został sam (nieszkodliwie) „skadenizowany”. Przegląd twórczości Kadena opiera się w wysokim stopniu na recepcji utworów przez współczesnych i próbach powiązania fikcji z wydarzeniami, na tle których Kaden snuł swoje powieści. Warto przytoczyć sąd Stanisława Mackiewicza o „Gen. Barczu”. Cat zestawia „Pożogę” Zofii Kossak z powieścią Kadena: „Kossakówna jest kobietą. Kaden kapitanem czy majorem. Kossakówna jest żołnierzem-Polakim, Kaden jest kelnerem”. W drugiej wypowiedzi poszedł jeszcze dalej: „Pan Kaden nie jest pisarzem ściśle pornograficznym. Jego prostactwo i chamstwo nie zasługują nawet na skromne skądinąd miano pornografii”. Dla Sprusińskiego „Gen. Barcz” jest triumfem „pisarskiej przewrotności Kadena”. Wielkość jego jako pisarza widzi w książkach o „kraju lat dziecinnych” „uznanych” — jak pisze — „za ostateczne spełnienie wielkiego lecz długo zabłąkanego w rewirach polityki talentu”. Genezę „Czarnych skrzydeł” wywodzi Sprusiński z belgijskich doświadczeń Kadena, z „filozofii pracy” Brzozowskiego — i na dalekim dopiero miejscu z rzekomych wrażeń wyniesionych z pracy w kopalni w Zagłębiu. Zwiędzał ją; nie pracował pod ziemią. — „Bigda” rysuje się Sprusińskiemu jako powieść obrachunkowa, urwana wpół słowa, z zapowiedzią nienapisanych „Białych skrzydeł”. Boli

Sprusińskiego rezygnacja Kadena z poszerzania horyzontów myślowych, jego samowystarczalność w latach trzydziestych. Podpisuje się pod opinią Witkatego o Kadencie: „Gdyby dbał o swój rozwój umysłowy, byłby geniuszem wszechświatowym najwyższej rangi”.

Zyciorysy i wspomnienia

13. Polska Akademia Nauk. POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY. Tom XVI, zes. 2-3, og. numeracji zes. 69-70: Kulisiewicz, Jan Szczepan — Lang, Jan. Wrocław, 1971, Zakł. Nar. im. Ossolińskich, str. 161-480.

Obok przesadnie obszernych i szeroko uwzględnionych sylwetek działaczy komunistycznych (np. Alfreda Lampego) znalazło się w tych zeszytach nieco nazwisk emigracyjnych. Oto najważniejsze:

KUSZLEWSKA, Stanisława. Autor zyciorysu przypomina, że w czasie okupacji przełożyła „Step by step” Churchilla, że straciła w czasie powstania córkę z 1-go małżeństwa Ewę Matuszewską (łącznie „Mewę”) i że pozostawiła w rękopisie tom wspomnień pt. „Ludzie Mokotowa”;

KUŚNIERZ, Bronisław — zyciorys zawiera wzmiankę o książce „Stalin and the Poles. The indictment of the Soviet leaders”, London, 1949 (z pełnym brzmieniem tytułu);

KUTRZEBA, Tadeusz — wzmianka o zasługach Generała jako organizatora prac. Kom. Historycznej Szt. Gł., która wydaje „Polskie Siły Zbrojne”. „Śmierć w dn. 8. I. 1947 uniemożliwiła mu powrót do Kraju”.

KWAPIŃSKI, Jan. W obszernym zyciorysie m.in. zdanie następujące: „W czasie kampanii wrześniowej 1939 K. udał się na Wschód i był internowany przez władze radzieckie w Jakucku”. Po roku 1945 „zajmował stanowisko wrogie Polsce Ludowej”.

KWIATKOWSKI, Michał, red. *Narodowca* „dziennika nastawionego nieprzychylnie do przemian społeczno-politycznych dokonujących się w Polsce Ludowej”.

14. CHUDZIKOWSKA, Jadwiga: *Dziwne życie Sadyka Paszy*. O Michale Czajkowskim. Warszawa, 1971, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 600, ilustr., bibliog. (W serii „Ludzie żywi”, 19).

Jeż nazwał go „gromicielem mar” i, mimo wszystko, żałował, że nie może rzucić grudki ziemi na trumnę 80-letniego samobójcy. Bałagula, powstaniec, „romansista”, żołnierz, renegat, niedoszły hetman wiernej Polsce Kozaczyzny, wszedł do legendy kresowej jako postać negatywna, otoczona pogardą i kto wie, czy nie zaszczyta atakami przeciwników. Władysław Mickiewicz dopatrywał się podobieństwa do Alex. Dumas'a w tym, że i Sadyk „nigdy nie wie, czy to, co opowiada, zdarzyło mu się naprawdę”. A przecież książkę Adam radził mu: „Strzeż się serca i imaginacji to jest słuchaj zimnej roztropności, której masz pod dostatkiem”.

Sadyk Pasza doczekał się obszerniej i arcysumiennej biografii, w której autorka stara się przeciwstawić zarzutom „znakomite usługi” oddane przez Czajkowskiego Turcji w roli doradcy Wysokiej Partii. Jest on wdziesięć wspomniany w Rumunii i Bułgarii. Autorka oparła się na materiałach rękopiśmiennych znajdujących się głównie w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie. Z wdzięcznością cytuje dane zaczerpnięte z „Ludwiki Śniadeckiej” Marii Czapskiej a pochodzące z zatraconych w czasie wojny rękopisów raperswilkich. Ten, którego działalność Władysław Mickiewicz porównał do „kuli wystrzelonej do własnej ojczyzny” doczekał się aż nazbyt świetnej, bo i gruntownej i dobrze napisanej biografii. Lektura pasjonująca i, niestety, nasuwająca wiele analogii z naszymi najnowszymi dziejami.

15. ZECHENTER, Witold: *Uplywa szybko życie*. Książka wspomnień. Kraków (1971), Wydawnictwo Literackie, str. 694 (2), ilustr.

Stron mogłoby być mniej z korzyścią dla pamiętnika prześladowanego nieistotnymi szczegółami. Przy uważnym czytaniu wyłowić jednak można takie ciekawostki, jak fotografia autora „w ogrodzie domu Mieroszewskich przy ul. Krupniczej. Fotografował... Juliusz Mieroszewski, jakże daleki wtedy od dzisiejszego 'londyńczyka'”. (Ciekawe, czy małe „l” jest pomysłem Zechentera czy cenzora?). Środowisko „I.K.C. a wypadło blade, mimo dobrych intencji autora, który zdobył się na ciepłe słowa o wielu źle za życia widzianych nieboszczykach: Marianie Dąbrowskim, Ludwiku Rublu, czy wreszcie Zygmuncie Nowakowskim. Po lwowskim spotkaniu z gen. Sikorskim (11. IX. 1939), zainicjowanym przez Nowakowskiego, Zechenter rozstał się z panem Zygmuntem na zawsze i tylko po latach „stanął na krakowskim cmentarzu przed grobowcem, gdzie zamknięto — sprowadzoną z Londynu, zgodnie z jego ostatnią wolą — urnę z jego prochami” (str. 473).

Historia

16. KALEMBKA, Sławomir: *Wielka Emigracja*. Polskie wychodźstwo polityczne w latach 1831-1862. Warszawa, 1971, Wiedza Powszechna, str. 476, ilustr., bibliog. (W serii „Biblioteka Wiedzy Historycznej”).

Autor wyjaśnia w postawie, iż chodziło mu o przybliżenie czytelnikowi „ludzi tamtej epoki, tak w zbiorowości, jak w indywidualnym działaniu” i „pokazanie ich codziennego życia na wygnaniu, a równocześnie bogactwa charakterologicznego i sytuacyjnego, mającego dziś wręcz posmak egzotyizmu”. Sądzi, że Emigracja nie mogła „przyczynić się w zasadniczy sposób do wyzwolenia Polski, a więc dopełnić celu swego istnienia”. Przez działalność swą i stałe przypominanie o zbrodni rozbiórów opóźniła jednak proces „dławienia polskości przez zaborców”, symbolizowała jednolitą państwowość polską, ponaddzielnicową. Działalności tej sprzyjał fakt, iż wśród emigrantów znalazło się wiele wybitnych osobistości. W bibliografii razi pominięcie zarysu historii Wielkiej Emigracji pióra Ad. Lewaka w „Polsce, jej dziejach i kulturze” (pod red. St. Lama). Przyjemnie, że zostały uwzględnione prace gen. Kukiela i Ciołkoszów. Przy korzystaniu odczuwa się dotkliwie brak indeksu.

Nadesłane nowości wydawnicze

GRYNBERG (Henryk). *Antynostalgia*. Wiersze. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

GOLDBERG (Lea). *Sonet*. Przełożył z hebrajskiego Zew Szeps. Wstęp Stanisława Wygodzkiego. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

HEMAR (Marian). *Wiersze staroświeckie*. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).

ZAGÓRSKI (Wacław). *Wolność w niewoli*. Przedmowa Adama Ciołkosza. Str. 543 i 1 nlb. (Nakładem autora i czytelników-przedpłacicieli, Londyn, 1971).

- GAMBIT (Jerzy). *Kopyto polskiej gospodarki*. Str. 67 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka Socjalisty, tom I, Sztokholm).
- GALEWSKI (Stefan). *Jak żyć żeby długo żyć*. Wiersze. Str. 62. Okładka i 20 ilustracji Barbary Świdorskiej. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1971).
- KLUGMAN (Aleksander). *Powroty*. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. „Nowiny-Kurier”, Tel-Aviv, 1972).
- ŻYTOTMIRSKI (Eugeniusz). *Jerzego Szaniawskiego droga do teatru snów*. Str. 14. (Odbitka z nr. 1295 i nr. 1335 „Wiadomości”, Londyn, 1971).
- NIEKRASZEWICZ (P.). *Sztandary I-szej Dywizji Grenadierów*. Str. 42 i 2 nlb. (Londyn, 1972, cena 72 p.). Do nabycia u Autora, 18, Hamilton Rd., Londyn W.5.).
- SEROKA (Antoni). *Trzydzieści dwa dni obrony Helu*. Str. 209. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn 1971, cena 20 zł.).
- JĘDRZEJEWICZ (Janusz). *W służbie idei*. Str. 355. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1972).
- CHMIELEWSKA (Bożenna). *Współgospodarzenie miastem*. Z badań w Koszalinie. Str. 263. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1971. Cena 55 zł.).
- PANKOWSKI (Marian). *Matuga kommt.* (Przełożył Walter Tiel). Str. 209. (Wyd. Neske Verlag, Pfullingen 1972).
- LOWIT (Thomas). *Le syndicalisme de type soviétique. L'U.R.S.S. et les pays de l'Est européen*. Str. 415 i 17 nlb. (Wyd. Librairie Armand Colin, Paryż, 1971).
- DE LOUPONIAK (Pierre). *La disparition de l'empire romain en Occident*. Str. 325 i 3 nlb. (Wyd. La Pensée Universelle, Paryż 1971, cena F. 16).
- Aspects des relations soviéto-roumaines 1967-1971*. T. 2. *Sécurité européenne*. Praca zbiorowa. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Minard, Paryż, 1971, cena F. 50).
- MADEY (Jean). *Le Patriarcat Ukrainien — Vers la perfection de l'état juridique actuel*. Str. 265 i
- 3 nlb. (Wyd. Opera Theologicae Societatis Scientificaе Ucrainorum, Tom XIX, Vol., Rzym, 1971).
- Echanges*. Revue franco-ukrainienne. Bimestriel — Novembre 1971 — Numéro 1 (Wyd. L'Association Franco-Ukrainienne, Paryż).
- A Leszek Kolakowski Reader*. Przedmowa George Gömöri. Str. 250 i 6 nlb. (Nr 22 Tri Quarterly, Ann Arbor, Mich. USA, 1971).
- JANAVICIUS (Jurgis). *Journey to the Moon*. Poems 1962-1970. Str. 63. (Wyd. A Poetry and Prose Publication, Canberra, Australia, 1970).
- IHNATOWICZ (Janusz A.). *Pejaż z postaciami*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971).
- HOFFMAN (Bruno). *Nowe opowiesci Hoffmanna*. Wierszem i prozą. Str. 179 i 1 nlb. (Nakł. autora, Tel-Aviv, 1972).
- ŻYTOTMIRSKI (Eugeniusz). *Lermontowiana*. Przekłady poetyckie. Str. 54 i 2 nlb. (Nakł. autora, London, Ont., Kanada, 1971).
- ŻYTOTMIRSKI (Eugeniusz). *Lermontowiana*. Artykuły i eseje. Str. 34 i 2 nlb. (Nakł. autora, London, Ont., Kanada, 1971).
- GUSTAITIS (Algirdas). *200,000,000 and Lithuania*. Str. 14 i 1 nlb. (Wyd. Lithuanian American Community. Inc. of Los Angeles Youth Council, Los Angeles, Cal., USA, 1971).
- Newsletter 1971-1972*. Str. 36 i 2 nlb. (Wyd. Department of History, Boston University, Boston, Mass., USA).
- KORTSCHMARYK (Frank B., Ph. D.). *Christianization of the European East and Messianic Aspirations of Moscow as the „Third Rome”*. Str. 56. The Shevchenko Scientific Society, No. 10. (Wyd. Studium Research Inst. Inc., Toronto-New York, 1971).
- KRYŃSKI (Magnus Jan), MAGUIRE (Robert A.). *The Poetics of Tadeusz Różewicz*. Str. 15. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVI, No. 4, Autumn 1971, pp. 24-36, New York, N.Y.).

- SKOLIMOWSKI (Henryk). *Open Marxism and Its Consequences*. Str. 23-28 Studies in Comparative Communism — An Interdisciplinary Journal, Vol. 4, No. 1, January 1971. (Wyd. School of Politics and International Relations, University of Southern California).
- THUNIG-NITTNER (Gerburg). *Die tschechoslowakische Legion in Russland*. Str. 299 i 1 nlb. (Wyd. Otto Harrassowitz, Wiesbaden, 1970).
- STROBEL (Georg W.), DELBRUECK (Jost). *Das deutsch-polnische Verhältnis in Gegenwart und Zukunft*. Str. 51 i 1 nlb. (Wyd. Grenzakademie Sankelmark, Flesenburg, 1971, „Neue Folge” 15).
- MIEDWIEDIEW (Żores A.). *Mieżdunarodnoje sotrudnichestwo uczoonych i nacjonalnyje granicy. — Tajna pieriepiška ochranajetsija zakonom*. Str. 597 i 3 nlb. (Wyd. Macmillan, Londyn, 1972).
- MIEDWIEDIEW (Ż. A.), MIEDWIEDIEW (R. A.). *Kto sumaszszedszyj?* Str. 163 i 1 nlb. (Wyd. Macmillan, Londyn, 1971).
- Archiwjeypyskopski synody ukrajinskiego katolyckiego jepyskopatu i ich prawni osnowy*. Str. 71 i 3 nlb. (Wyd. „Litterae Nuntiae Archie-
- piscopi Maioris N. 1, Castello Gandulphi, 1970).
- WOJCENKO (Olga). *XIII Miżnarodnyj Kongres Istorycznych Nauk i podoroż po Ukraini 1970*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Free Academy of Sciences, Series: UVAN Chronicle No. 8, Winnipeg-Kyiv, 1970).
- MUROWYCZ (Łarysa). *Żar-Ptacha*. (Poezje wybrane). Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. „Svitannia” — The Dawn, Toronto, 1971).
- Almanach „Homin Ukrainy” na 1972 rik*. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont., Kanada, 1972).
- Mała ukrajinska muzyczna encyklopedia*. Opracował Osip Zaleskij. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”, Monachium, 1971).
- Katendarec na 1972 rik*. (Nakładem „Dniprowoiji Chwyli”, Monachium, 1972).
- Katendar „Stowo” na Bożyj 1972 Rik*. Str. 144. (Wyd. „Wilne Słowo”, Toronto, Kanada, 1972).
- ZYWOTKO-CZERNOWA (Aleksandra). *Dumy moji*. Str. 290 i 6 nlb. (Nakł. autora, Nowy Jork, 1971).
- Meddobje Kazalo*. 11. Letnik 1970. Str. 320. (Wyd. Slovenska Kultura Akcija, Buenos Aires, 1970).

Humor krajowy

REMINISCENCJE POZJAZDOWE

- Czy wiecie, że pszczoły z całej Polski zleciały się na Zjazd PZPR do Warszawy?
- Dlaczego?!
- Poczuly lipę...

Następnego dnia po Zjeździe Partii Biuro Polityczne pracowało normalnie. Wszyscy byli obecni z wyjątkiem Gierka. Gdy nie zjawił się do południa, zaniepokojeni współpracownicy zaczęli go szukać, ale bez skutku. Pierwszy sekretarz zniknął...

Nagle do biura wpada zdyszany urzędnik wołając: „Towarzysze! Nieprawdopodobna historia! Wiecie gdzie jest towarzysz Gierek? Chodzi na czworakach wokoło Pałacu Kultury i zbiera kamienie!...

Przeżażeni towarzysze: premier Jaroszewicz, za nim Kępa i inni pobiegli na plac, dopadli Gierka i proszą po kolei: „Towarzyszu, pierwszy sekretarzu! Chodźcie do biura, wszyscy na was czekają, zostawcie tę zabawę”.

Ale Gierek głuchy na perswazje, dalej zbiera kamienie...

Zrozpaczeni członkowie Biura Politycznego nie wiedząc co robić, telefonują do Breżniewa prosząc o ratunek.

Breżniew wysłuchał raportu wyraźnie zaniepokojony i polecił:

— Zaczekajcie towarzysze przy telefonie. Zaraz się porozumiem, wytłumaczę i poradzę.

I rzeczywiście po chwili wrócił do telefonu i powiedział z uśmiechem:

— Drodzy towarzysze, nie denerwujcie się. Za chwilę wszystkie wróci do normy. Pomyliliśmy się! Zaprogramowaliśmy Gierka na łunochoda...

Z WARSZAWY

Dwóch Żydów spotyka się w Warszawie na ulicy i rozmawia o codziennych bolączkach:

— Panie Rozenbaum, powiedz pan, kto by mógł coś takiego zrobić żeby w Polsce było lepiej?

— Mnie się pan pyta, panie Goldfarb! Na to odpowiedzieć mógłby tylko Einstein! Co ja mówię Einstein! Zweistein! Nie! Dreistein!

Z MOSKWY

W czasie bankietu wydanego w Moskwie na cześć Sadata, Breżniew podnosząc kieliszek wódki powiedział do gościa:

— No to wypijmy, towarzyszu, za pomyślność współpracy sowiecko-egipskiej!

— Nie mogę, odpowiedział Sadat, naprawdę nie mogę, religia mi zabrania...

— Co tam religia, wypijcie!

— Nie mogę!

— Jeżeli wypijecie dostaniecie jeszcze trzy statki!

Na takie dictum Sadat załamała się i wypił.

Breżniew zadowolony uśmiechnął się i powiedział do Kosygina:

— Ale się towarzysze w Gdyni ucieszą!...

Kosygin telefonuje do Breżniewa:

— Czy możesz mi powiedzieć jak się nazywał ten nasz generał, który dał na kuchnię Napoleonowi? Wiesz, ten co miał jedno oko...

— Kutuzow — odparł Breżniew.

Po chwili znów telefon od Kosygina:

— A powiedz mi, pamiętasz może jak się nazywał ten Anglik, który wygrał bitwę pod Trafalgarem? On miał tylko jedno oko...

— Nelson — brzmiała odpowiedź.

Nie minęła godzina znowu Kosygin zapytuje:

— Słuchaj, Leonidzie, jeszcze jedno małe zapytanie. Jak się nazywa ten Żyd z wojny sześciodniowej. Zupełnie mi to wyleciało z pamięci. On także ma jedno oko...

— Dayan — odpowiedział zaintrygowany Breżniew. — Ale powiedz mi, po co ci nagle potrzebne te nazwiska? Rozwiązujesz krzyżówki?

— Nie, widzisz, tylko się zastanawiam... Gdyby tak Greczce wybić jedno oko...? Co?...

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

17-12-71

Prezydium obywatelskiego komitetu odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie ogłosiło rezultaty zbiórki. Na koncie znajduje się obecnie 112.695.000 złotych oraz 64,5 tysiąca dolarów. ■ Światowy festiwal polonijnych zespołów artystycznych przewidziany jest na lipiec przyszłego roku. Festiwal odbędzie się w Rzeszowie. Weźmie w nim udział około 20 zespołów polonijnych pieśni i tańca z Belgii, Holandii, Francji, Kanady i USA. Organizatorem imprezy jest Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” i Prezydium WRN w Rzeszowie. ■ Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie zostało przekształcone na Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Zadaniem muzeum będzie zabezpieczenie pamiątek po polskich pisarzach. Muzeum posiada już duże zbiory, m.in. po Marii Dąbrowskiej, Leopoldzie Staffie, Julianie Tuwimie i Władysławie Broniewskim. ■ Prasa ukraińska w Stanach Zjednoczonych podaje, że grupa ukraińskich studentów w Polsce przesłała 100 zł. do uniwersytetu w Harvardzie na fundusz utworzenia katedry ukrainoznawczej.

19-12-71

Nagroda literacka im. Władysława Pietrzaka, ufundowana przez PAX, została przyznana Teodorowi Parnickiemu.

25-12-71

PRL zawarła jedną z największych transakcji w dziejach polskiego przemysłu motoryzacyjnego. W 1972 roku Polska ma dostarczyć Bułgarii 500 autobusów marki „Jeletz”.

30-12-71

Agencja TASS podaje, że na mocy porozumienia z władzami tureckimi dwaj obywatele ZSSR — N. Gilew urodzony w 1949 i W. Pozdiejew — urodzony w 1950 r. — zostali 20 bm. wydani władzom sowieckim. W październiku 1970 roku N. Gilew i W. Pozdiejew uprowadzili pięciomiejscowy samolot towarzystwa „Aeroflot” — „Ł 200” i wylądowali na jednym z lotnisk tureckich. ■ Nowym prezesem Polskiej Akademii Nauk (na miejsce prof. Janusza Groszkowskiego) został prof. Włodzimierz Trzebiatowski (lat 65), b. profesor chemii nieorganicznej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, dyrektor Instytutu Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN we Wrocławiu, członek KC PZPR. Sekretarzem naukowym PAN mianowano Jana Kaczmarską, piastującą również stanowisko przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki. Prof. Kaczmarski powołany został ostatnio w skład Prezydium Rządu. ■ W Warszawie powstał nowy miesięcznik — *Wektory* — poświęcony sprawom nauki i techniki. ■ Organ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej — tygodnik *Przyjaźń* — w roku 1972 będzie ukazywał się w zmienionej szacie graficznej, w zwiększonej objętości i w wyższym nakładzie. Nacisk ma być położony na zagadnienia gospodarcze z RWPG na czele oraz na problematykę Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. ■ Miesięcznik *Nasza Ojczyzna* wydawany przez Agencję „Interpress”, przeznaczony dla Polaków za granicą, zmienił tytuł na *Panorama polska*. Naczelnym redaktorem Agencji Interpress został Jan Moszczeński. Poprzedni redaktor Jerzy Sołdecki został przedstawicielem Interpress w Wiedniu. ■ Nowym korespondentem Radia i Telewizji PRL w Paryżu został Zbigniew Lipiński na miejsce Mirosława Azembskiego. Korespondentem PAP w Waszyngtonie został Jan Dziedzic.

1-1-72

W Warszawie powstaje nowy tygodnik kulturalny pt. *Literatura*. Ukaże się on w miejsce zlikwidowanej *Współczesności*. Redaktorem został Jerzy Putrament. ■ Stałym przedstawicielem PRL w UNESCO został mianowany Bogdan Ileczo, p.o. dyrektora współpracy z zagranicą w Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 69 lat, inż. Zbigniew Burzyński, pilot konstruktor i organizator sportu balonowego w Polsce. Burzyński w latach 1933 i 1935 odniósł dwa zwycięstwa w międzynarodowych zawodach balonowych o puchar Gordon-Bennetta. ■ Rumunia jest pierwszym krajem Europy Wschodniej, który wszedł na amerykański rynek samochodowy. Rumunia sprzedaje do USA własną tanią odmianę łazika — „Aro”. ■ Wydawnictwo MON zakończyło edycję trzymtomowej małej encyklopedii wojskowej. ■ Jeszcze jeden medal: w PRL ustalono medal za „25 lat pracy w dziennikarstwie PRL”.

5-1-72

Władimir Bukowski został skazany przez sąd w Moskwie na 7 lat pozbawienia wolności, w tym dwa lata więzienia i 5 lat obozu pracy przymusowej w obostrzonym reżymie. Po odbyciu kary ma przebywać w miejscu przymusowego osiedlenia poza Moskwą przez okres lat pięciu. ■ Przeniknęły na Zachód szczegółowe wiadomości o ciężkiej chorobie Amalrika podczas transportu na Kołymę. Od czerwca ub.r. Amalrik przebywał w obozie karnym Talaja na północ od Magadanu. Jego wyrok kończy się w maju 1973. Stan zdrowia Amalrika jest nadal zły, o jego odporności duchowej towarzysze obozowi wyrażają się z podziwem.

10-1-72

Leopold Trepper, były szef „Orchestre Rouge”, czołowej sowieckiej organizacji wywiadowczej w czasie ostatniej wojny, znajduje się w tragicznej sytuacji w Warszawie. Po wojnie Trepper był więziony przez Stalina, w 1954 r. znalazł się w Warszawie gdzie był przewodniczącym Żydowskiego Towarzystwa Kulturalnego. Po 1968 r. rodzina Trepper była zmuszona do emigracji, a on sam ciężko chory i pozbawiony środków do życia, znajduje się pod nadzorem policji. Władze warszawskie odmawiają mu paszportu na wyjazd do Izraela. W Paryżu powstał komitet obrony Treppera, zorganizowany przez intelektualistów francuskich. ■ Litewski biskup Vincentas Slatkiewicz z diecezji Koszedary został aresztowany i oskarżony o udzielanie lekcji katechizmu nieletnim. ■ Wiśła w rejonie Warszawy została zatruta falą ścieków chemicznych. Po dwóch dniach sytuacja została opanowana. Sprawcą zatrucia były zakłady chemiczne „Sarzyna”. Prokuratura wszczęła śledztwo. ■ Melchior Wańkowicz, autor „Kundlizmu”, obchodził w Warszawie 80-ą rocznicę urodzin.

13-1-72

W Warszawie powołano do życia komitet redakcyjny, który ma zająć się opracowaniem wielotomowej historii polskiej partii komunistycznej oraz polskiego ruchu robotniczego. Przewodniczącym Komitetu jest Andrzej Werblan.

15-1-72

W Kijowie i we Lwowie KGB aresztowało 11-tu „nacionalistów” ukraińskich oskarżonych o akcję antysowiecką i kontrrewolucyjną.

20-1-72

W Warszawie podpisano umowę o współpracy kulturalno-naukowej w latach 1972-73 między PRL a Związkiem Sowieckim. Ma nastąpić pogłębienie współpracy w dziedzinie nauki, szkolnictwa, i środków masowego przekazu. Ma

nastąpić również częstsza wymiana artystów i zwiększenie ilości imprez i występów polskich i sowieckich zespołów artystycznych oraz ściślejsza współpraca w dziedzinie filmu. ■ W plebiscycie ogłoszonym przez „Nowe Książki” pierwsze miejsce zdobyły książki: L. M. Bartelskiego „Mokotów 1944”, J. Chudzikowskiej „Dziwne życie Sadyka Paszy”, Z. B. Herberta „Wiersze zebrane”, M. Kuncewiczowej „Fantomy”, S. Z. Pieniążka „Gdy zakwitną jabłonie”, J. Szczepańskiego „Rozważania o Rzeczypospolitej”, J. Waldorffa „Diabły i anioły”, B. Woydowskiego „Chleb rzucony umarłym”, K. Wyki „Wędrując po tematach”, oraz dwutomowe wydawnictwo pt. „Literatura rosyjska”. ■ W plebiscycie *Kuriera Polskiego* czytelnicy wybrali jako książkę roku 1971 powieść T. Konwickiego „Nic albo nie”. Na drugim miejscu znalazła się książka M. Kuncewiczowej „Fantomy”.

21-1-72

Redaktorem *Nowych Dróg*, organu teoretycznego KC PZPR, został Andrzej Werblan.

23-1-72

Nagrody warszawskiego tygodnika *Kultura* na rok 1971 zostały przyznane prof. Władysławowi Tatarkiewiczowi za książkę „Droga do filozofii” i Krzysztofowi Zanussiemu za film „Za ścianą”. ■ Pisarz sowiecki Aleksander Ginsburg, skazany w styczniu 1968 roku na pięć lat więzienia za ogłoszenie na Zachodzie Białej Księgi o procesie Siniańskiego i Danela, został zwolniony.

26-1-72

W Warszawie zmarł, w wieku lat 62, gen. Waclaw Komar, b. dowódca Brygady Międzynarodowej w Hiszpanii, żołnierz I Dywizji Grenadierów we Francji, w 1956 roku dowódca wojsk wewnętrznych PRL, w 1966 roku został przeniesiony w stan spoczynku.

28-1-72

Prasa ukraińska donosi, że arcybiskup W. Wieliczkowski został zwolniony z obozu pracy w Związku Sowieckim i wyjechał z Kijowa przez Jugosławię do Rzymu.

29-1-72

Gen. Piotr Grigorienko, aresztowany w 1969 i umieszczony w zakładzie psychiatrycznym za obronę deportowanych Tatarów, na skutek uchwały komisji sowieckich psychiatrów ma pozostać w zakładzie psychiatrycznym dodatkowo pół roku. ■ W PRL od marca br. rozpocznie się sprzedaż dewiz na indywidualne wyjazdy turystyczne do krajów zachodnich. Turysta będzie mógł raz na trzy lata otrzymać za pośrednictwem społecznych komisji przy komitetach kultury fizycznej i turystyki \$ 100,00 na osobę, płacąc za 1 dolar, łącznie z opłatą turystyczną, 55,20 zł. ■ W Krakowie zlikwidowano uspołecznione taksówki. Władze miejskie dopłacały do nich 20-30 tysięcy złotych rocznie, czyli tyle, ile wynosi podatek od taksówki prywatnej. ■ W archidiecezji w Białymstoku odbyły się uroczystości 300-lecia obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. O ile nam wiadomo w innych diecezjach nie było analogicznych uroczystości. ■ Do Brazylii wyjechało z PRL pięciu Redemptorystów do pracy misyjnej.

30-1-72

Wybory do Sejmu PRL zostały wyznaczone na 19. 3. br. ■ W ciągu pierwszych trzech tygodni otwarcia granicy między Polską a NRD, w Polsce przebywało 500 tysięcy obywateli NRD, a 350 tysięcy Polaków w NRD.

Mimo rzekomej swobody polskie władze policyjne przeprowadzają selekcję polskich turystów pod kątem politycznym. ■ Badania Instytutu Ekonomiki Rolnictwa wykazały, że produkcja rolna w PRL jest opłacalna dopiero w gospodarstwach powyżej 7 ha. Większość gospodarstw poniżej 7 ha. korzysta z dodatkowych źródeł dochodów poza rolnictwem (chłopo-robotnicy). ■ Od grudnia 1970 do grudnia 1971 stan pogłowia trzody chlewnej w PRL wzrósł o 22,5 %, a stan bydła o 3,3 %. Nie zmienia to faktu, że Węgry np. w 1971 roku wyeksportowały około 50 tys. ton wieprzowiny, głównie do Polski i Czechosłowacji. ■ *Życie Literackie* w Krakowie przyznało doroczne nagrody: J. Szczepańskiemu za „Rozważania o Rzeczypospolitej”, M. Strusińskiemu za „Juliusza Kaden-Bandrowskiego” i St. Kozickiemu za „Delegację do czyśca”.

31-1-72

Wiceminister spraw zagranicznych PRL, Józef Winiewicz, przeszedł na emeryturę. Jednocześnie mianowano podsekretarzami stanu w Ministerstwie Kultury i Sztuki Tadeusza Kaczmarka, zastępcę red. nac. „Książki i Wiedzy” i B. Płazę, dyrektora Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

1-2-72

Generał rumuński Ion Serb, komendant garnizonu bukaresztańskiego i członek Zgromadzenia Narodowego, został rozstrzelany za dostarczanie Związkowi Sowieckiemu informacji dotyczących obrony państwa. Sowiecki attaché militaire w Bukareszcie, płk Mussatow, został wydalony z Rumunii.

2-2-72

Znany publicysta czeski Jiri Lederer został skazany w Pradze na 2 lata więzienia za „zniesławienie zaprzyjaźnionego państwa i jego przedstawiciela”. Idzie tu o artykuły omawiające rolę Gomulki, ogłoszone przez Lederera w 1968 roku w *Literarnych Listach*. Ledererowi zarzuca się również spotkanie się z polskim dziennikarzem B. Brodzińskim w Londynie, który później ogłosił to spotkanie w paryskiej *Kulturze*.

4-2-72

Wileński *Czerwony Sztandar* donosi, że w szkołach z polskim językiem wykładowym na Litwie, wprowadzono maturalny ustny egzamin z języka litewskiego.

5-2-72

W Łodzi zakończył się XVIII kongres Związku Pisarzy Polskich. Prezesem został wybrany Jarosław Iwaszkiewicz, który otrzymał 62 głosy. Kontrkandydat Igor Neverly otrzymał 49 głosów. Na zakończenie jednomyślnie uchwalono rezolucję-apel skierowaną m.in. „do pisarzy polskich na Zachodzie”: „Podnieście głos protestu — Przerwać bestialstwa w Wietnamie”. Jak to Dostojewski określił w „Braciach Karamazowych”? : *Da-s, muzički nasi za siebia postojali*.

6-2-72

PRL buduje w Iraku kopalnię siarki o zdolności produkcyjnej 1 mil. ton rocznie. Przy budowie pracuje około 500 pracowników polskich. ■ Krakowskie *Życie Literackie* lansuje koncepcję powołania do życia Akademii Literatury.

7-2-72

W Warszawie została podpisana konwencja między PRL a Bułgarią likwidująca istniejące wypadki posiadania podwójnego obywatelstwa oraz zapobiegająca temu na przyszłość. Analogiczne konwencje zostały już podpisane z ZSSR, Czechosłowacją i Węgrami.

8-2-72

Prof. E. Kusielewicz, prezes Fundacji Kościuszkowskiej w New Yorku, był przyjęty przez wicepremiera PRL Wincentego Kraśko i omawiał problemy wydawnictw książkowych przeznaczonych dla Polonii Amerykańskiej. Należy mieć nadzieję, że rezultaty tej konferencji będą podane do wiadomości Polonii.

9-2-72

W Warszawie odbyło się III plenum KC PZPR, które zatwierdziło listę kandydatów do Sejmu, przedstawioną przez Biuro Polityczne i upoważniło B.P. do ustalenia kandydatów PZPR do wyborów do Frontu Jedności Narodu.

15-2-72

Generał Matejewski, były wiceminister spraw wewnętrznych, został skazany na 12 lat więzienia za handel dewizami. Gen. Matejewski został odwołany ze stanowiska w czerwcu 1971 roku. Dwóch wicedyrektorów tegoż ministerstwa, Stanisław Smolnik i Henryk Żmijewski, zostało skazanych na karę 9-ciu i 4-ech i pół lat więzienia, a dwóch naczelników wydziałów, Jan Kawala i Jerzy Milek, na 6 i pół oraz 3 i pół lat więzienia. Cała piątka została ponadto skazana na kary wysokiej grzywny oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-12-71

Nagroda Halpérine-Kamiński za najlepszy przekład w roku 1971 została przyznana Jerzemu Lisowskiemu z Warszawy. ■ *Revue d'Histoire Moderne et Contemporaine* zamieszcza obszerne studium Georges Sigal „Des journalistes polonais au service du tsar”. To studium dotyczy Józefa Sękowskiego i Tadeusza Bułharyna. Do eseju jest załączona lista chronologiczna czasopism ukazujących się w Rosji między 1703 a 1860 r. ■ Agencja Reutera „na podstawie poufnych informacji” podała wiadomość że V Synod biskupów greko-katolickich wyznaczył następcę kardynała J. Slipyja na stanowisko głowy kościoła greko-katolickiego. Tym następcą wyznaczono biskupa Wasyla Wieliczkowskiego ze Lwowa. Bp Wieliczkowskij był wyświęcony w 1963 roku a zaarrestowany w 1969 roku. Przebywa w obozie pracy przymusowej w Kazachstanie. ■ Prof. Eugeniusz Jarra, wieloletni dziekan na wydziale prawa uniwersytetu warszawskiego, mieszkający stale w Oxfordzie, obchodził swoje 90-te urodziny. ■ Literacki periodyk jugosłowiański *Putevi* zamieścił fragment z książki Dominika de Roux „Rozmowy z Gombrowiczem” w przekładzie p. Vujicica.

17-12-71

Nagroda ufundowana przez rodzinę Edmunda Kona, zmarłego w Londynie 23 sierpnia 1971 roku, została podzielona i przyznana *ex equo* Władysławowi Bartoszewskiemu (Warszawa) i Adamowi Ciołkoszowi (Londyn). ■ Serbska Akademia Nauki i Sztuki wybrała 21 członków zagranicznych, m.in. z Polski Witolda Doroszewskiego, Jarosława Iwaszkiewicza i Władysława Tatarkiewicza.

24-12-71

Zmarł w Londynie ppłk Ludwik Naimski, beliniak, sekretarz Instytutu J. Piłsudskiego. ■ W Paryżu ukazało się wznowienie „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza z przedmową Henri de Montherlant, w przekładzie B. Kozakiewicza i J. L. Janasza. ■ Dziennik włoskich dysydentów komunistycz-

nych *Il Manifesto* komentuje nominację Stefana Olszowskiego na ministra spraw zagranicznych PRL w artykule zatytułowanym „Kariera faszysty polskiego”.

28-12-71

Nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie za rok 1971 została przyznana Mieczysławowi Maliczowi za wieloletnią działalność aktorską. ■ Ambasador Edward Raczyński, przewodniczący Rady Trzech Zjednoczenia Narodowego w Londynie obchodził 80-lecie urodzin. Z tej okazji brytyjska partia liberalna zorganizowała bankiet. ■ W Londynie odbył się walny zjazd Związku Rzemieślników i Robotników Polskich, najstarszej polskiej organizacji społecznej w Wielkiej Brytanii. Prezesem został wybrany p. T. Prokopowicz. ■ W Nowym Jorku odbył się doroczny zjazd towarzystwa Polish-American Historical Association.

5-1-72

W radio duńskim Frank Oswald, publicysta czeskiego pochodzenia, wygłosił obszerny referat o prof. Leszku Kołakowskim. ■ Redakcja *Robotnika* została przeniesiona do Sztokholmu. Redaktorem naczelnym został Łukasz Winiarski.

6-1-72

Londyński *Times* poświęca komentarz redakcyjny zamknięciu *Współczesności* i założeniu na jej miejsce nowego tygodnika *Literatura* pod redakcją Putramenta. Zdaniem komentatora zmiana nie wróży pisarzom polskim nic dobrego.

7-1-72

Radio szwedzkie nadało 15-minutowy program, poświęcony rocznicy wydarzeń na polskim wybrzeżu. Audycja była oparta na taśmie magnetofonowej ze spotkania Gierka ze stoeczniovcami.

14-1-72

Zmarł w Ottawie dr Zygmunt Leszczyński, ekonomista, pracownik ministerstwa Manpower & Immigration, b. radca prawny wydziału spraw indiańskich. Był również wykładowcą na Uniwersytecie Ottawskim.

18-1-72

Według informacji dziennika włoskich dysydentów komunistycznych *Il Manifesto* w fabrykach czeskosłowackich kolportowane są ulotki, wzywające robotników do oporu przeciw reżymowi Husaka. Ulotki nawołują m.in. robotników do rzeczywistego wykorzystywania uprawnień wyborczych w podstawowych organizacjach partyjnych i w związkach zawodowych. Jako sygnatariusze występują „legalnie wybrani działacze robotniczy czeskosłowackiej partii komunistycznej”, tekst odwołuje się wielokrotnie do dubczekowskiego Programu Akeji z 1968 roku. ■ W kanadyjskim *Związkowcu* ukazała się artykuł Tadeusza Brzezińskiego pt. „Zamek Warszawski i Stanisław August” z wnioskiem, by zwłoki Stanisława Augusta były umieszczone po odbudowaniu Zamku Królewskiego w Warszawie w zamkowej kaplicy stanisławowskiej. Przed wojną na skutek nacisku sowieckiego sprowadzono z Petersburga zwłoki Stanisława Augusta i pochowano w Wołczynie około Brześcia Litewskiego. Po wojnie Wołczyn znalazł się w granicach Związku Sowieckiego. Losy zwłok są nieznanne.

20-1-72

Roger Caillois, który został przyjęty do Akademii Francuskiej, ogłosił w numerze styczniowym *La nouvelle revue française* zbiór aforyzmów Stanisława Jerzego Leca. Zabawne, że Caillois aforyzmy przetłumaczył z języka...

hiszpańskiego. ■ Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii zamierza stworzyć Zrzeszenie Polskich Naukowców w Australii. Około 30 osób polskiego pochodzenia zajmuje różne katedry lub pracuje naukowo na uniwersytetach. ■ W Melbourne został zorganizowany Komitet Obchodu Rocznic Kopernikowskiej. Główne uroczystości mają się odbyć w marcu 1973. ■ Opracowuje się statut „Funduszu Wieczystego Polonii Australijskiej im. Gen. J. Kleberga” celem nadaniu mu osobowości prawnej. Dochody z „Funduszu” mają być przeznaczone w pierwszym rzędzie na polskie cele kulturalno-oświatowe i społeczne.

21-1-72

W gmachu Szwedzkich Inżynierów i Technologów odbyło się kolejne zebranie Towarzystwa Przyjaciół *Kultury*. Wieczór poświęcony został Jugosławii. Referat wygłosił stockholmski przedstawiciel *Kultury*, Norbert Zaba. W dyskusji zabrał głos osoby, które przebywały służbowo dłuższy czas w Jugosławii i z tego tytułu mogły dać tło do rozgrywających się obecnie w Jugosławii wypadków. ■ Prezydent A. Zaleski w Londynie odznaczył Krzyżem Komandorskim orderu „Odrodzenia Polski” Mariana Hemara.

22-1-72

Otwarto w stockholmskiej galerii St. Pauli wystawę kompozycji skórzanych i rysunków oraz pasteli Marii Taturczuch, znanej polskiej artystki-plastyki, zamieszkałej stale w Szwecji.

23-1-72

W Toronto, staraniem „Towarzystwa Paryskiej *Kultury*,” odbył się odczyt prof. dr. J. Wojciechowskiego z Uniwersytetu w Ottawie pt. „O pojęciu kultury”. Odczyt zgromadził około 150 osób. Zebraniu przewodniczył prof. R. Retman. ■ W Chicago zamknięto jeszcze jedno polonijne, a mianowicie *Polish Medical Science and History Bulletin*. Pismo zostało założone i redagowane przez 15 lat swego istnienia przez Dr. Aleksandra Rytla. Powodem zamknięcia był brak pieniędzy, mimo iż ilość lekarzy polskiego pochodzenia w Stanach jest bardzo duża. ■ Center of Polish Studies and Culture w USA wydało broszurkę pt. „The Imagination of Poland”. Ponadto nakładem The Polish Publications Society of America ukazała się książka „Polish Legends and the Tales” opracowana przez Erica T. Kelly. ■ Telewizja szwedzka nadała sztukę Sł. Mrożka „Tango”. „Tango” było poprzednio grane w szeregu teatrów szwedzkich.

26-1-72

W Nowym Jorku zmarła Maria Uniłowska, wdowa po pisarzu Zbigniewie Uniłowskim.

27-1-72

Staraniem Centre de Civilisation Polonaise Sorbony odbył się w Paryżu wieczór poświęcony pamięci Wł. Boya-Zeleńskiego, na którym odczytano apel Rose Bailly do prezydentów miast i uniwersytetów francuskich, wzywający do uczczenia w sposób trwały pamięci pisarza, który przetłumaczył na język polski 120 arcydzieł literatury francuskiej.

28-1-72

W Mediolanie zmarł wybitny pisarz włoski Dino Buzzati, w wieku lat 70. Był on m.in. autorem głośnej książki „Le désert de Tartares”. ■ W Londynie ukazał się pierwszy numer *Przeglądu polskiego*, pisma reżymowego, wydanego przez Radę Polonii Wielkiej Brytanii. Redaktorem jest Zygmunt Kotkowski. ■ W Paryżu, nakładem Albin Michel, ukazała się książka Krystyny Żywulskiej „L'eau vive” w przekładzie Szymona Laksa. ■ Józef Gidyński, Doktor Praw Uniwersytetu Poznańskiego oraz Uniwersytetu Co-

lumbia w New Yorku, przedwojenny adwokat w Warszawie i Poznaniu, po 25-letniej pracy na stanowisku szefa wydziału polskiego oraz szefa wydziału pld. centralnej Europy „Głosu Ameryki”, rozpoczęła praktykę adwokacką w Waszyngtonie z końcem marca bieżącego roku. Mecenasa Gidyński stał się specjalistą od zagadnień prawnych Wschodniej Europy, a w szczególności Polski. Mecenasa Gidyński jest członkiem Izby Adwokackich w New Yorku i Waszyngtonie.

Z *Kanady*: Polskie linie lotnicze „Lot” otworzyły przedstawicielstwo w Montrealu. Kierownikiem jego został niejaki Jan Zwierzyński. „Lot” zawarł umowę z kanadyjskimi liniami państwowymi „Air Canada” na mocy której w bieżącym roku odbędzie się kilkanaście lotów charterowych (wycieczkowych). Latać będą na przemian aparaty „Lot”u i „Air Canada”. ■ Po raz pierwszy koncertował w Kanadzie „Kwintet warszawski” w składzie: Igor Iwanow, Jan Tawroszewicz (skrzypce), Stefan Kamasa (wiola), Andrzej Orkisz (wielonczela) i Władysław Szpilman (fortepian). Wystąpili w Toronto 13 stycznia. Krytycy muzyczni zgodnie stwierdzili iż stanowią wręcz doskonały zespół. ■ Bawił w Ontario z kilkudniową wizytą ks. Albin Małysiak, biskup-sufragan archidiecezji krakowskiej. ■ Dr Bogdan Zaborski, profesor geografii na Sir George William University w Montrealu opublikował obszerną pracę pt. „Atlas of Landscapes and Settlements of Eastern Canada”. Prezentacja pracy odbyła się 12 stycznia w gmachu uniwersytetu z udziałem rektora oraz licznych naukowców, z geografami na czele, z wszystkich wyższych uczelni montrealskich. ■ W okresie od 25 do 29 stycznia w westibulu Sheraton Mount Royal Hotel w Montrealu odbywała się wystawa polskich produktów tekstylnych i skórzanych. Była to druga kolejna wystawa tych przemysłów. ■ Zastępcą Władysława Żbika, kierownika sekcji polskiej Radia Kanadyjskiego został p. Ryszard Serafinowicz, były współpracownik Telewizji Polskiej, przybyły do Kanady przed dwoma laty. ■ W Montrealu zmarł dr Bogdan Wesołowski, kierownik ukraińskiej sekcji Radia Kanadyjskiego. ■ Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku ogłosił listę nagród przyznanych przez Fundację im. Alfreda Jurzykowskiego. W dziedzinie literatury przyznano nagrody: Pawłowi Hertzowi, Juliuszowi Żuławskiemu, Tadeuszowi Nowakowskiemu, Zofii Romanowiczowej i Juliuszowi Sakowskiemu. W dziedzinie muzyki nagrodę otrzymał kompozytor Antoni Szalowski. W dziedzinie plastyki otrzymali nagrody: Tadeusz Kulisiewicz i Zofia Stryjeńska. Nagrodę teatralną otrzymali Jerzy Grotowski i Henryk Tomaszewski. W dziedzinie medycyny: prof. Adam Gruca, prof. Witold Rudowski i prof. Leon Dmochowski. W dziedzinie nauk ścisłych: Kazimierz Kuratowski, Wojciech Rubinowicz, Stefan Zbigniew Różycki, Jerzy Spława-Neyman i Antoni Zygmund. Ponadto otrzymali nagrody: Maria Dłuska, Jerzy Kuryłowicz, Edward Lipiński, Roman Pollak, Henryk Wereszycki, Zbigniew Jordan. Nagrody tłumaczy otrzymali: Jean Bourrilly, i Hermann Buddensieg. Nagrody Fundacji wynoszą po 2.500 dolarów, a dla tłumaczy po 1.000 dolarów.

29-1-72

W Jerozolimie zakończył się w atmosferze kryzysu XXVIII Kongres syjonistyczny. Powodem kryzysu była przeprowadzona niewielką większością głosów uchwała, że wszyscy członkowie Kongresu muszą osiedlić się w Izraelu. Szereg organizacji jak np. organizacja syjonistek amerykańskich, opuściło z tego powodu Kongres. Innym powodem kryzysu był konflikt między przedstawicielami Żydów europejskich i afrykańskich.

1-2-72

W Bookham (Anglia) zmarła, w wieku lat 84, Helena Sikorska, wdowa po gen. Władysławie Sikorskim. ■ W wydawnictwie paryskim „Anthropos” ukazała się książka Stanisława Ossowskiego pt. „Structure de classes dans la conscience sociale” (tytuł oryginału „Struktura klasowa w społecznej

świadomości") w przekładzie Anny Posner. ■ Agencja prasowa UPI donosi, że Kapituła Światowego Zakonu Jezuitów wydała komunikat chwalejący wielkość wolności religijnej w Polsce. Po raz pierwszy wielki katolicki zakon przemawiał w tak ciepłych i stanowczych słowach o rządzie państwa komunistycznego. Źródła watykańskie przewidują, że ten komunikat może stanowić preludium do *modus vivendi* pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską. „Księża mają wolność głoszenia doktryny katolickiej bez mieszania się do tego władz” — mówi komunikat. — „Mogą oni zawiadamiać o niesprawiedliwościach, i robią to. Również mogą, krytykować obiektywnie czynności władz, jeśli czynią to w umiarkowanym tonie”. — Entuzjazm O.O. Jezuitów nie jest podzielany przez władze PRL. Niedawno władze odmówiły Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu otrzymywania z Zachodu pieniędzy pochodzących ze zbiorów wiernych (KUL nie korzysta z pomocy państwowej), oraz odmówiono pozwolenia na remont i budowę dodatkowych pomieszczeń. Odmawia się również systematycznie pozwoleń na budowę nowych kościołów. ■ W wydanym ostatnio przez Departament Stanu USA *A Report of the Secretary of State. U.S. Foreign Policy 1969-70*, w krótkim ustępie dotyczącym Polski, czytamy: „W związku z wycofaniem z końcem 1968 r. oddziałów polskich biorących udział w sowieckiej inwazji w Czechosłowacji, Stany Zjednoczone mogły na nowo podjąć stopniowo kroki, zmierzające do rozwiązania sprawy dotyczących obu stron. W styczniu 1969 zostały wznowione amerykańsko-polskie rozmowy dotyczące układów konsularnych, które mają być podpisane w roku 1971. Otrzymałyśmy również w dn. 12 czerwca 1970 roku zgodę Polski na użycie amerykańskich miejscowych środków płatniczych na pokrycie kosztów ukończenia szpitala dla dzieci w Krakowie. W dn. 13 czerwca zawarliśmy dwustronny układ rybny dotyczący współpracy w badaniach i konserwacji rybostanu w Stanach, przy wybrzeżu bałtyckim, jakie miały miejsce na skutek wzrostu kosztów utrzymania i zmiany stawek płacy, nastąpiły zmiany w polskim rządzie i w kierownictwie partii komunistycznej. Zmiany te wydają się nie wpływać na politykę zagraniczną i amerykańsko-polskie stosunki na tym nie ucierpiały. Rząd polski w dalszym ciągu popiera polepszenie się stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, zwłaszcza na odcinku ekonomicznym”.

5-2-72

Prasa francuska donosi, że wizyta E. Gierka w Paryżu została odłożona do października br.

6-2-72

Rektorem polskiej misji katolickiej w Paryżu został ks. prałat Zbigniew Bernacki na miejsce ks. infułata Kazimierza Kwaśnego, który przez 25 lat był opiekunem Wychodźstwa Polskiego we Francji. Ks. Kwaśny będzie w 1973 roku obchodził 50-lecie święceń kapłańskich.

8-2-72

Dwie wielkie centrale związków zawodowych francuskich CGT i CFDT ogłosiły tydzień imigranta, domagając się poprawy warunków pracy imigrantów we Francji. Na dzień 1 stycznia 1972 we Francji przebywało 3.393.457 obywateli obcych, w tym 697 tysięcy Algierczyków, 645 tysięcy Hiszpanów, 607 tysięcy Portugalczyków, 592 tysiące Włochów, 170 tysięcy Marokańczyków, 122 tysiące Polaków, 96 tysięcy Tunezyjczyków, 65 tysięcy Jugosłowian, 65 tysięcy Belgów, 7.500 Amerykanów i Kanadyjczyków oraz 55 tysięcy Murzynów. Jeśli idzie o Polaków, to dotyczy to ludności osiadłej we

Francji jeszcze przed wojną i jest ona uważana za całkowicie zintegrowaną ze społeczeństwem francuskim. ■ W czasie konferencji prasowej Lawrence Daly, sekretarz generalny brytyjskiego Związku Górników, oświadczył, że zwrócił uwagę polskiego Związku Górników na wiadomość, krążącą pośród wyższych urzędników zarządu upaństwowionego górnictwa brytyjskiego, wedle której można nabyć węgiel importowany z Polski po cenie o 3 do 4 funtów niższej od normalnych zachodnio-europejskich cen rynkowych. Daly dodał, że „ostatecznie nie ma znaczenia, ile węgla będzie dostarczonego do portów brytyjskich. Jeśli uda nam się uzyskać pomoc robotników portowych i marynarzy, węgiel ten nie będzie wyładowany czy też przetransportowany tam gdzie jest potrzebny”. Należy dodać, że brytyjski Związek Górników uzyskał zapewnienie tego rodzaju pomocy ze strony brytyjskiego Związku Transportowców i Związku Marynarzy.

10-2-72

W dyskusji organizowanej corocznie przez Free Europe, za „najlepszą książkę roku 1971” uznano książkę Wacława Zagórskiego „Wolność w niewoli”, ks. Jerzego Mirewicza „Prorok i tancerka” oraz Janiny Kowalskiej „Moje Uniwersytety”. Z książek pisarzy krajowych wyróżniono *ex equo* powieści Andrzeja Kuśniewicza „Strefy” i Tadeusza Konwickiego „Nic albo nic”. Na drugim miejscu znalazła się książka Tomasza Stalińskiego „Cienie w pieczarze”, która ukazała się w Bibliotece Kultury. Free Europe wprowadziła w br. zasadę, że nie bierze się pod uwagę książek pisarzy już nie żyjących.

11-2-72

Na zawodach narciarskich w Sapporo w konkursie skoków na dużej stoczni pierwsze miejsce zajął Polak, Wojciech Fortuna z Zakopanego, który w pierwszym skoku uzyskał 100 metrów. ■ W szpitalu Dorking pod Londynem zmarł, w wieku 70 lat, znany satyryk i poeta Marian Hemar.

13-2-72

W radio paryskim w Inter-Variété nadano sztukę Romana Brandstaettera pierwszym skoku uzyskał 110 metrów. ■ W szpitalu Dorking pod Londynem „Le roi et la terre”, tłumaczoną z polskiego przez Lucienne Roy. ■ W Toronto odbył się comiesięczny wieczór Towarzystwa Przyjaciół paryskiej Kultury z odczytem prof. R. Retmana pt. „Język, folklor, nauka”.

14-2-72

W Manchesterze zmarł, w wieku 78 lat, gen. Ludwik Kmicic-Skrzyński, ostatni żyjący uczestnik słynnej „siódemki” Beliny w Legionach Piłsudskiego.

15-2-72

W Instytucie Katolickim w Paryżu odbył się odczyt prof. Zygmunta Markiewicza pt. „Les réalisations du romantisme polonais en France dans le domaine de la prose”. ■ W Paryżu powstała nagroda literacka Ladislasa Dormandi w wysokości F. 5.000. Będzie ona przyznawana co dwa lata za utwór literacki (powieść, nowela, teatr, esej, poezja) napisany w języku francuskim przez autora nie Francuza. Pierwsza nagroda Ladislasa Dormandi będzie przyznana w kwietniu 1972. L'Association des Amis de Ladislasa Dormandi mieści się przy 24, Place Dauphine, Paris-1^{er}. ■ Prasa francuska donosi o kryzysie panującym w małych stoczniach francuskich, produkujących kutry rybackie. Kryzys jest przypisywany dumpingowi PRL. Za cenę 5 polskich kutrów o długości 54 m. armator francuski może zamówić jedynie 3 we Francji. Stocznie polskie mają w br. i w roku przyszłym dostarczyć Francji 14 kutrów, a stocznie francuskie mają zamówienie jedynie na jeden. Stocznie francuskie ponadto oskarżają, że PRL dostarcza trzy do czterech razy więcej kutrów rocznie, niż to przewiduje układ handlowy polsko-francuski.

Listy do Redakcji

Oxford, 3 lutego 1972.

List jaki ukazał się w *Kulturze* w związku z artykułem prof. Matejki porusza sprawę stosowanej szeroko w okresie stalinowskim, a kontynuowanej i obecnie polityki przemilezania nazwisk i prac osób wyeliminowanych z życia publicznego decyzją odgórnych czynników.

W przypadku książki prof. Aleksandra Matejki chodzi przede wszystkim o moje nazwisko i moje prace z zakresu socjologii przemysłu. Otóż pragnę stwierdzić, że w książce swej „Socjologia pracy” (PWE, 1968) p. Matejko, nawiązując do wydanych pod moją redakcją pozycji, cytuje w każdym przypadku tytuł prac, o które chodzi, tak że nazwisko moje jest absolutnie identyfikowalne dla każdego czytelnika zorientowanego we wspomnianej dziedzinie.

Należy wziąć pod uwagę, iż prof. Matejko uczynił to w okresie, kiedy nawet ów uwzględniający wymogi cenzury sposób odwoływania się do prac osób z grona „wyklętych” stanowił swoiste wyzwanie wobec oficjalnej propagandy oraz zabiegów władz eliminujących bezwzględnie każdy przejaw srodowskiej solidarności.

Z poważaniem,

Maria HIRSZOWICZ

Beckerville, Michigan, luty 1972.

Drogi Panie Redaktorze,

Chciałbym w liście do Redakcji odpowiedzieć Wielebnemu Ks. W. Sojce na jego list umieszczony w grudniowej *Kulturze*.

Otóż Ks. W. Sojka nie jest jedynym czytelnikiem *Kultury*, znającym język chiński. Jestem też „jedną z nich”, bo jest więcej takich czytelników. Urodziłam się w Chinach, tam też się wykształciłam i wyjechałam z Chin Czerwonych jako osoba dorosła i po studiach. Języka chińskiego uczyłam się lat kilkanaście, choć nie mogę powiedzieć żebym znała go dobrze. Na to się składa „transkrypcja”, różne narzeczka każdej prowincji i „tony”. Bowiem każdy niemal dźwięk wypowiada się w odpowiedniej tonacji a jest ich cztery.

Tu, w U.S.A., próbowałam porozmawiać z „rodakami-Chińczykami”, ale zawsze, niestety, trafiałam na „Kańtończyka” czy „Fudzianina”. „Rozmawialiśmy” przy pomocy hieroglifów, które jednak pamiętam.

Transkrypcja jak np. „Shik”, podana przez Ks. Sojkę nie była u nas używana, jest mało zrozumiała.

Ze mną wyjechało z Chin sporo dobrych orientalistów i sinologów. Większość jest w Polsce. Należy też przyznać, że orientalistyka przy Uniwersy-

tecie Warszawskim jest bardzo popularna dziś i ma wysoki poziom. Jest też w ciągłym kontakcie z uniwersytetami i placówkami naukowymi w Chinach.

Z poważaniem,

Beata JABŁOŃSKA-WOJAS

Nth. Sunshine, Vic., 23 stycznia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym na marginesie artykułów Iwana Koszeliwca — „Paradoksy rzeczywistości ukraińskiej” (*Kultura*, czerwiec 1970) i „Pięciolatki literatury ukraińskiej” (*Kultura*, wrzesień 1971) zwrócić uwagę osób zainteresowanych na ukazanie się ostatnio w Kraju przekładu powieści Olesia Honczara „Sobór” w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Jest to o tyle zaskakujące, że jak wiemy z powyższych artykułów, nowe wydania tej powieści są w Związku Sowieckim zakazane, a sam autor utracił przeserę w Związku Pisarzy Ukrainy Sowieckiej.

W legendy o dobrym Gierku, o których pisze Pelikan (*Kultura*, listopad 1971) i ja — choć podświadomie — musiałem uwierzyć, a szczególnie w tę — „O Gierku się mówi: ależ wystarczy do niego napisać list”. Dnia 15 października ub.r. wysłałem do niego list lotniczy i polecony w sprawie barbarzyńskiego niszczenia Cmentarza „Orlat” we Lwowie... i do tej pory ani tow. Gierek, ani jego kancelaria nie raczyli chociażby pokwitować odbioru listu! Czy tak robi dobry i kulturalny człowiek?

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Marian KAŁUSKI

Rabat, Maroko, 5 stycznia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Alina Grabowska w artykule „Między Wisłą a Jordanem” (*Kultura* Nr 9/288, str. 105) cytuje Mosze Rona: „Podczas gdy w społeczeństwie arabskim nie wywołuje żadnego wrażenia fakt poślubienia żydowskiej dziewczyny przez Araba, to żydowscy rodzice przeżywają największą tragedię gdy córka poślubia Araba”. Ma to być przykład nacjonalizmu, rasizmu i szowinizmu (str. 104).

I Alina Grabowska i Mosze Rona są ofiarami pomyłki, nieporozumienia, pomieszenia pojęć, i oczywistego niezrozumienia stosunków miejscowych. W przytoczonym przykładzie jedno społeczeństwo zyskuje kobietę, drugie traci. W jednym jest mowa o społeczeństwie całym, w drugim o bezpośrednio dotkniętych rodzicach. Nie postawiona jest sprawa zmiany religii, ale można przypuścić, że w obu wypadkach dziewczyny żydowskie przechodzą na islam. Wreszcie liczy się też różnica poziomów materialnych i intelektualnych: sądząc po przeciwnych statystycznych społeczeństwo arabskie zyskuje.

Niechby natomiast było odwrotnie: dziewczyna arabska z domu dobrze postawionego wychodząca za Żyda. Tragedia rodziców żydowskich byłaby o wiele żnośniejsza, natomiast w społeczeństwie arabskim by zawrzało. W byłym Imperium Brytyjskim możliwość takiej sytuacji spędzała sen z oczu ni jednego starosty. W społeczeństwach białym i czarnym w południowych stanach U.S.A. „utrata” mężczyzny przez małżeństwo jest mniej dotkliwa niż kobiety. W stosunku płciowym dwu ras, rasa kobiety czuje się upokorzona. W każdym społeczeństwie, jeśli dorastające dziecko nie wraca wieczorem do domu, to rodzice boją się bardziej o córkę niż o syna.

Mimo wszystkich wysiłków Ligi Równouprawnienia Kobiet, kobiety są ciągle jeszcze cenione jako dobro materialne, którego utrata boli, z wyjątkiem chyba U.S.A., gdzie to dobro jest negatywne: krzykliwe, dominujące, kosztowne, zaniedbuje dom, no i źle gotuje. Póki kobiety innych społeczeństw nie osiągną „ideału” amerykańskiego i póki pigułka antykoncepcyjna nie stanie się równie powszechna jak aspiryna, póty będą cenione i otaczane opieką, której przecież jako zdrowsze i silniejsze od mężczyzn nie potrzebują. Powody są proste, jasne i zrozumiałe: nie trzeba obwiniać Żydów. Wszyscyśmy tacy sami.

Z poważaniem,

Karol KRÓTKI

New York, 6 stycznia 1972.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem, a raczej przestudiowałem, świetny artykuł pana Karela Klatovsky'ego, pt. „Stosunki kulturalne polsko-czesko-słowackie”, zamieszczony w listopadowym numerze *Kultury*.

Autor artykułu zadał sobie wiele trudu w śledzeniu stosunków kulturalnych między trzema naszymi słowiańskimi krajami, poczynając od zakończenia drugiej wojny światowej, a kończąc na chwili obecnej. Podzielił on ten czas na trzy okresy: każdy z tych okresów był niejako „innym” w układaniu się stosunków politycznych między Polską i Czechosłowacją. Polityka kulturalna zależała więc w znacznej mierze od atmosfery politycznej.

Nie miałbym nic do dodania do tego, co napisał pan Klatovsky, ale chciałbym zwrócić uwagę czytelników *Kultury*, którzy się zainteresowali tym artykułem, że jedna rzecz została pominięta w tym, tak świetnym i wyczerpującym studium: oto autor „Stosunków kulturalnych polsko-czesko-słowackich” nie wspominał ani słowem o bardzo ważnej organizacji, działającej na terenie Zaolzia, mianowicie o *Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym*, który jest kontynuatorem działającego przed wojną Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. W roku 1948 powstała Sekcja Literacko-Artystyczna PZKO, obejmująca trzy działy: literacki, malarski i muzyczny. Przewodniczącym SLA stał się znany poeta zaolziański, Paweł Kubisz. Następnymi prezesami byli Józef Mrozek i Eugeniusz Sucharek.

PZKO skupia poetów, pisarzy, malarzy i artystów muzycznych tworzących w języku polskim i utrzymujących łączność duchową z Macierzą. Jednocześnie cała ta artystyczna brać pozostaje w łączności kulturalnej ze związkami sobie pokrewnymi w Czechach i Słowacji. Niejeden członek PZKO jest równocześnie członkiem Pisarzy Czeskich i Słowackich, a także jest członkiem Pisarzy Śląskich, z siedzibą w Katowicach, lub Zrzeszenia Pisarzy Krakowskich.

Oprócz właściwej działalności twórczej członków, SLA organizuje konkursy w różnych dziedzinach i pionach, wystawy malarskie i inne. Ważną formą pracy SLA są też wieczory autorskie, seminaria literackie, udziały w ważnych imprezach artystycznych tak w Czechosłowacji, jak i Polsce i innych krajach.

Mimo trudnych warunków pracy, często wpływających z pobudek politycznych, trzeba dodatnio ocenić dorobek naszych rodzimych twórców, którzy wnoszą wiele do wspólnego skarbcza kulturalnego trzech wymienionych na wstępie tego listu krajów.

Na temat pracy twórczej na Zaolziu pisałem obszerniej w jednym z dawniejszych numerów *Kultury*.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Paweł ŁYSEK

Monachium, styczeń 1972

Szanowny Panie Redaktorze,

Zastanowił mnie list p. Jana Laptera w styczniowym numerze *Kultury*, i pobudził do niejakich refleksji.

P. Lapter pisze: „Filosemityzm jest tą samą formą rasizmu, co antysemityzm”. — Wydaje mi się, że byłem pierwszy którego czasu, z okazji pewnej recenzji, w podobny sposób sformułował tę myśl na łamach *Kultury*. Ale nie chodzi o pierwszeństwo, lecz o słuszność. Lapter pisze: „Antysemityzm nie jest teorią, z którą można i należy dyskutować. Antysemityzm jest teorią głupców...”. — Naturalnie, że ma rację. Ale dlaczego nie jednocześnie i: antygermanizm, antyrosyjskość, czy inne?

Jan Lapter w imieniu Żydów pisze: „Nie twierdź, że należy dziwić się naszym kompleksom wyrosłym na gruncie sześciu milionów trupów, ale wydaje mi się że w pewnym momencie trupy przestają być podstawą do dyskusji”. — Któż temu zaprzeczy. Ja, nie w imieniu Polaków, nie dziwię się też wcale, ale upieram, że z „kompleksów” należy wyrastać, starać się je przełamać, odrzucać, a nie — pielęgnować.

Chyba większość fałszów — przyszłości, buduje się na kompleksach — przeszłości.

Słuszne są uwagi Laptera pod adresem dzisiejszego Izraela. Izrael powinien być, zwłaszcza dla Polaków, najmłodszym klasycznym — gdyż na naszych oczach — jak rozciągłość zasiedlonych, „odwiecznych”, poglądów narodowych traci raptem swą moc obowiązującą. Z dowcipnych szmoncesów na temat żydowskiego tchórzostwa, wyrosło dziś wojsko żydowskie, jedno z najlepszych i najbitniejszych na świecie. Z tradycji rękomej bojaźni ryzyka, dał nam Izrael długi szereg wspaniałe ryzykanckich zrywków, od 1945 do dzisiejszych czasów. Z tradycji wyrozumiałego liberalizmu... nacjonalistyczno-religijną nietolerancję. Na którą skarży się nie tylko pani Alina Grabowska ale i inni po polsku piszący. Mój przyjaciel w Izraelu z którym koresponduję po rosyjsku, opisuje mi sceny ucisku *inałomysłiaszczich*. Czytam właśnie w gazecie, że po raz pierwszy w Zachodniej Europie przyznano prawo azylu politycznego matce i synowi, prześladowanym w Izraelu.

Jak się to wszystko zmienia i kręci w rozpiętości czasu. Ścisnieni w obręczach kompleksowych sloganów, zdajemy się zapominać że nie ludzie składają się z — narodów, lecz narody składają się z — ludzi.

I nie każdy naród słaby i uciśniony musi mieć zawsze rację. Rozpiętość np. pomiędzy Polską obrazów-Grotgera, a Polską Berez-Kartuskiej, była duża. A już prawie nieporównywalna z Polską PRL-u. W której nawet biskupi, nawet modłów za dusze pomordowanych przez bolszewików tysięcy oficerów polskich w Katyniu, nawet na wolnym Zachodzie — odprawiać nie chcą, aby się nie narazić mordercom. (Oficjalnie: „aby nie mieszać się do polityki”. Tzn. niech dusze posiadzą sobie jeszcze w czystcu, zanim koniunktura polityczna na ziemi nie ulegnie zmianie. Wtedy poproszą Boga o ich zbawienie. A jak — nie ulegnie?...).

M. K. Pawlikowski w swej ostatniej książce („Brudne niebo”) wyraża przekonanie, że „Polak był zawsze i pozostał rycerski”. Mnie się zdaje, że to jest też tylko kompleks. Rycerskość objawia się w stosunku do: 1) kobiet, 2) nieprzyjaciela (powalonego). Punkt pierwszy przyjął się — mniej więcej — wśród wszystkich narodów. W punkcie drugim pozostajemy raczej w tyle za innymi narodami.

Naturalnie, że antysemityzm — jak słusznie pisze J. Lapter — jest teorią z którą nie można dyskutować. W równym — powtarzam — stopniu jak antyniemieckość, czy antyrosyjskość, czy antyamerykańskość, czy antyukraińskość, czy anty... itd. Dlatego, że są to teorie — antyludzkie. I odwrotnie,

obowiązują nas musi: antykomunizm, antynacjonalizm, antynacjonalizm itd. Dlatego, że są to praktyki — proludskie.

I oto przyszło mi na myśl, co by Jan Lapter powiedział żeby, nagle p. Wiesental w Wiedniu, miał bawić się w międzynarodowego *szyzki*, i porywać wrogów z obcych kontynentów — z pogwałceniem prawa, a prawem lynchu — wystąpił nagle z inicjatywą uśmiercenia 76-letniego starca, Rudolfa Hessa? Który przypadkowo nie zabił nawet nikogo, a tylko polecał na polityczne knowania z ramienia swego rządu, któremu dwa lata przedtem wszystkie jeszcze rządy globu ścisnęły z uśmiechem ręce. Jak dziś ścisną w dalszym ciągu starszym mordercom z Moskwy. A od 30-tu lat strzegą więziennego dożywocia tego starca, jako gwarancji „sprawiedliwości międzynarodowej”. Czy w skali ludzkości nie byłby to gest, ze strony Żyda, super-rycerski, a na miarę miłosierdzia chrześcijańskiego prześcigający znaczne gesty dwóch ostatnich papieży?

Ja zastrzegłem już, że nie mówię w imieniu żadnego innego Polaka. Bo widzi Pan, Panie Lapter, mnie osobiście to tam na... Ale mogę sobie wyobrazić jakby za samo to zestawienie „jęknęła kanapa” pod polskim kibucem narodowym. Jakby się oburzyli rodzimi humaniści. Jakby mi odmówili nagrody im. Edmunda Kona, przewidzianej dla pisarza: „który swoim piórem i postawą życiową daje wyraz wierze w potrzebę braterskiego współżycia wszystkich ludzi... a któremu obcy jest wszelki szowinizm, nietolerancja, dyskryminacja i przesady rasowe...” — i przyznali tę nagrodę komuś innemu, np. komuś z soc-nacjonalistów. Nie? Otóż mam takie wrażenie, że reakcja ze strony żydowskiej byłaby w tym przypadku identyczna. A p. Wiesental jeszcze by mnie — do spółki z agentami komunistycznymi — na swojej liście zanotował. Nie?

Jan Lapter zaprasza do rozmowy przy okrągłym stole, na wielkie tematy o antysemityzmie, o tym dlaczego ktoś bywa takiej albo innej narodowości. W istocie tak (by) powinno się zrobić. Ale czy praktyka kompleksów nie poucza nas, że wszelkie tego rodzaju szeroko zakrojone debaty cierpią na chroniczne niedomówienia? I na wymianie tych kompleksów się kończą.

Józef MACKIEWICZ

Edmonton, 24 grudnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Otrzymałszy dziś ostatni numer *Kultury* (11/1971) z prawdziwą przykrością przeczytałem opublikowany tam list prof. G. W. Strobla w sprawie mojego artykułu, zamieszczonego w numerze 9/1971. Jako autor oczekuję od czytelników rzeczowej polemiki, a nie bezpodstawnych insynuacji i osobistych napaści. Mojej przeszłości w kraju nie mam powodu się wstydić. Pod całym moim krajowym dorobkiem zawodowym podpisuję się nadal. Artykuły w prasie emigracyjnej traktuję jako uzupełnienie tego dorobku możliwie w warunkach pełnej swobody słowa. W Polsce wielu rzeczy nie można było powiedzieć do końca, co nie znaczy jednak że musiało się kłamać.

O ile nie zgadzam się z ogólnym tonem listu prof. Strobla (komu służy rzucanie na wiatr wszystkich tych bezpodstawnych oskarżeń?), to natomiast pragnę z niego wydobyć mimo woli zawarty w nim problem. Chodzi mi mianowicie o kwestię uników stosowanych w życiu w ogóle, zaś przy ograniczonej swobodzie politycznej w szczególności. Prawda, że granica między ostrożnością a oportunizmem czy tchórzostwem bywa nieraz śliska i trudna do wytyczenia. Tym bardziej jednak w takim razie trzeba zachować ostrożność w osądzaniu ludzi i ich czynów. Pozostawmy to ich własnym sumieniom czy Bogu, jeśli nie mamy dostatecznych dowodów, że coś rzeczywiście zwinili. Nie wolno nam krzywdzić milionów ludzi dobrej woli i uczciwej pracy,

którzy nawet w warunkach ograniczonej swobody starają się czynić dobrze. Unik jest dla tych ludzi koniecznością życiową i za samo jego stosowanie nie można nikogo potępiać.

Mój przypadek, przeze mnie samego podany, do którego prof. Strobel się odwołuje, był względnie prosty. Jako autor decyduję przeciw kogo i w jakim wymiarze będę cytował w mojej książce. Fakt, że wobec groźby nieopublikowania książki, stanowiącej bodajże najważniejszy mój dorobek zawodowy całego okresu mojej pracy w Polsce, zdecydowałem się na pominięcie nazwiska autorki (podając jedynie tytuł pracy zbiorowej i strony cytatu) oraz na zastąpienie jednych cytatów innymi, bez zmiany istoty tego o czym pisałem, jest typowym przykładem uniku. Nie wyrzekłem się przecież własnego zdania, ani nie ustąpiłem z własnej pozycji, której książka była poświęcona. Jeśli prof. Strobel w takim wypadku raczej zginąłby na barykadach aniżeli dokonał uniku, to już sprawa jego prywatnego bohaterstwa. Osobiście uważam, że tego rodzaju „bohaterstwo” nikomu do niczego nie jest potrzebne. Czasem może nawet szkodzić dobru kultury narodowej, którą trzeba rozwijać w każdych dostępnych warunkach.

Dlatego w ogóle wspominałem w moim artykule o całej tej sprawie, dając tym okazję do zaatakowania mnie? Postąpiłem tak, by dać świadectwo prawdzie, że w Polsce gomułkowskiej została przekroczone miara koniecznych uników. Nie chciałem ich stosować ponad moją własną moralną miarę i dlatego jestem obecnie nie w Polsce a w Albercie.

Boli mnie osobiście gdy widzę, jak łatwo wśród Polaków na emigracji formułuje się wzajemne oskarżenia bez dostatecznej ku temu podstawy i znajomości rzeczy. Boli mnie zaś tym bardziej, gdy *Kultura*, którą wysoko cenię, udziela swych łamów dla jakichś prywatnych rozróbek. Liberalizm wobec wypowiedzi czytelników też musi być utrzymany w granicach dobrych manier i moralnego smaku.

Aleksander MATEJKO

Monachium, 28 stycznia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako stary przyjaciel *Kultury* z prawdziwą przykrością przeczytałem w ostatnim numerze w artykule p. Mieroszewskiego zarzut postawiony naszej Rozgłośni, że w audycjach opartych na książce „Socjologia Kłęski” W. Bieńkowskiego „z amatorstwa lub ze złośliwości” zaniedbano wyraźnie wskazać, kto tę książkę wydał na Zachodzie.

Jak wiadomo tekst książki Bieńkowskiego, rozpowszechniony w Polsce metodą „samizdatu” tj. przepisywania go przez czytelników, przedostał się w tej formie na Zachód, jak zresztą wiele innych tego rodzaju podziemnych wydawnictw z państw komunistycznych. W sierpniu ub. roku jeden z egzemplarzy okreśną drogą dotarł do naszej Rozgłośni i to my przekazaliśmy go do Pańskiej dyspozycji. Trudno w tych warunkach mówić o jakiejś wyłączności *Kultury* jeśli chodzi o tekst Bieńkowskiego, na którego losy sam autor nie ma żadnego wpływu. Jasne, że mogliśmy książkę wykorzystać od razu we własnym zakresie bez powoływania się na kogokolwiek, nie czekając aż ukaże się ona drukiem w Pańskiej czy innej firmie wydawniczej na Zachodzie.

Jako redaktor bezpośrednio odpowiedzialny za formę audycji, które wywołały zastrzeżenia p. Mieroszewskiego pragnę równocześnie wyjaśnić, że treść książki Bieńkowskiego przekazaliśmy słuchaczom nie w żadnych „pogadankach” czy „omówieniach” jak pisze p. Mieroszewski, ale w 26 odcinkach 10-minutowych nadawanych z wyjątkiem sobót i niedziel w ciągu około 5 tygodni. W pierwszej audycji we wprowadzeniu znajdował się ustęp następujący:

„Najnowsza książka Bienkowskiego „Socjologia Kłeski”, podobnie jak poprzednie jego opracowania, krążyła po Kraju w odpisach. Jeden z nich trafił za granicę, gdzie wydał go — z konieczności bez zgody autora — Instytut Literacki paryskiej *Kultury*”.

Podobne lub krótsze wzmianki wymieniające z nazwy „Instytut Literacki” jako wydawcę znajdowały się ogółem w szesnastu audycjach w tej serii. W pozostałych wypadkach, gdzie cała zapowiedź skrócona została do minimum by uniknąć cięć w tekście zadowolilem się ogólnikowym określeniem „książka wydana na Zachodzie” lub „w Paryżu”. Wydawało mi się, że wymienienie *Kultury* szesnastcie razy wystarczy.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

Zygmunt MICHAŁOWSKI
(RADIO FREE EUROPE)

Texty książek przysyłane są z kraju za granicę przede wszystkim w celu ich *wydania*, a nie „wykorzystania przed radio we własnym zakresie”. Gdy „Socjologia kłeski” przeniknęła na Zachód, *Kultura* była już wydawcą dwóch poprzednich książek Bienkowskiego. W tych warunkach łaskawe przekazanie nam przez FE „Socjologii kłeski” było tylko aktem, którego oczywistość narzucała się sama przez się.

REDAKTOR „KULTURY”

P. Michałowski pisze, że by uniknąć cięć w tekście w pewnych wypadkach zadawał się ogólnikiem: „książka wydana na Zachodzie”.

Zdanie: „książka wydana przez *Kulturę*” — zawiera identyczną ilość sylab i używając tego właściwego określenia p. Michałowski nie straciłby na czasie. Opuśzczenie wydawcy nie zostało więc podyktowane oszczędnością czasu, tylko zlekceważeniem elementarnych obyczajów, które obowiązują we wszystkich pismach i radiostacjach z prawdziwego zdarzenia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Nanterre, 28 stycznia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od paru miesięcy *Kultura* zamieszcza stale pewien rodzaj artykułów mających nosić charakter literacki.

Artykuły te pisane są żargonem rynsztokowym i treść ich wielokrotnie budzi obrzydzenie.

Nie znam i nie proszę o wyjaśnienie przyczyn doboru tego rodzaju publikacji. Redakcja każdego niezależnego pisma sama wybiera autorów i akceptuje lub odrzuca artykuły według swego uznania. Opinia czytelników może zauważyć na doborze tylko wówczas gdy jest masowa.

Nie wiem jak artykuły w rodzaju „Żywi” z Nr. 1/292-2/293 są przyjmowane przez większość czytelników *Kultury*. We mnie wzbudzą one wstręt, a w konsekwencji niechęć do miesięcznika który je zamieszcza.

W związku z tym rezygnuję z prenumeraty *Kultury* i proszę o nieprzysyłanie mi następnych numerów.

Umieszczanie mojej opinii w dziale Listy do Redakcji uważam za niecelowe, ponieważ zaprzestając czytać *Kulturę* nie zapoznam się z żadną wypowiedzią na ten temat.

Łączę Panu, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku,

Zygmunt SRZEDNICKI

Zamieszczamy jednak ten list jako dokument pewnej mentalności.
(Redakcja)

Londyn, 1 lutego 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze styczniowym *Kultury* w dziale „Wydarzenia miesiąca” ukazała się wiadomość o skreśleniu z listy członków Międzynarodówki Socjalistycznej, na mocy uchwały jej Biura, emigracyjnych partii socjalistycznych Europy Środkowo-Wschodniej.

W tymże numerze, w artykule P. Ewy Wacowskiej pt. „Próba bilansu i horoskopy” jest również mowa o wykluczeniu z Międzynarodówki tych partii a ponadto twierdzenie, iż Międzynarodówka uchyliła się od zajęcia stanowiska w sprawie rozprawy z robotnikami polskiego wybrzeża.

Obie te wiadomości wymagają sprostowania i wyjaśnienia.

Biuro Międzynarodówki pełni funkcje zarządu i nie może naruszać praw statutowych członków Międzynarodówki, a więc m.in. praw członkowskich emigracyjnych partii socjalistycznych. Wystąpiło ono z projektem zmian statutu, idącym w tym kierunku, iż partie te reprezentowane byłyby nie indywidualnie a poprzez Unię Socjalistyczną Środkowo-Wschodniej Europy, lecz projekt ten jest dopiero przedmiotem konsultacji z partiami członkami Międzynarodówki i jeżeli uzyska wystarczające poparcie, może wejść pod obrady następnego kongresu.

Partie emigracyjne oraz ich Unia, do władz której należę z ramienia P.P.S., czynią zabiegi o to, by indywidualne członkostwo było nadal utrzymane i w tym stadium przedczesna byłaby próba oceny szans tej akcji.

Wreszcie w sprawie wydarzeń w portach polskich w grudniu 1970 roku, Międzynarodówka stanowisko zajęła w oświadczeniu ze stycznia 1971 roku, w którym podkreśliła swą solidarność ze strajkującymi robotnikami. W sprawie tej P.P.S. oczywiście uprzednio interweniowała.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław WAŚIK

Paryż, luty 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z racji mojej pracy od wielu lat stykam się stale, niemal codziennie z ludźmi przybywającymi z Polski i to z ludźmi ze wszystkich warstw społecznych. Nie jest to kontakt przelotny, przypadkowy, lecz trwający tygodnie, a nawet miesiące, bo to sprawa pomocy i opieki prawnej, pobytu, dokumentów, pracy itd. Z długich rozmów z nimi mogłem więc wyrobić sobie pewien obraz poglądów naszych rodaków na różne sprawy. Między innymi jak oceniają działalność Polskiej Rozgłośni Radia Wolna Europa.

Toteż zdziwił mnie artykuł p. Mieroszewskiego pt. „Magazyn radiowy” (*Kultura* Nr 1-2/1972). Pisze on, że BBC posiada stały znakomity program pt. „From our own Correspondents” i że „z tego programu można się czegoś dowiedzieć tego, czego nie było ani w prasie ani w radiu...”. Natomiast pisząc o korespondencjach Radia Wolna Europa ocenia, że „z dziennikarskiego punktu widzenia trudno sobie wyobrazić coś bardziej beznadziejnego”, że „to nie są żadne korespondencje, ale powtórka starych wiadomości prasowych i radiowych...”.

Z pewnością te wiadomości są „stare” dla p. Mieroszewskiego, bo on spędza czas na czytaniu prasy i słuchaniu różnych rozgłośni. Ale czy pomyślał przez chwilę, że słuchacz w Polsce nie ma dostępu do tych źródeł infor-

macji? Że jemu trzeba właśnie podać w możliwie wiernej formie to, o czym prasa się rozpisyje na Zachodzie, bo dla niego to może być nowością, a jeżeli nawet nie jest, to daje mu możność porównania, czy polskie środki masowego przekazu w pełni go informują. Rolą R.W.E. nie jest informowanie p. Mieroszewskiego, nie jest polowanie na „scoopy” czy wydobywanie wiadomości jakimiś „chodami” do których nikt inny jeszcze nie dotarł. Wyścazy jak R.W.E. te „scoopy” powtórzy za innymi — jeżeli są warte powtórzenia i jeżeli rzeczywiście odbijają się szerokim echem w prasie zachodniej.

Gdyby p. Mieroszewski z tylu ludźmi z Kraju rozmawiał na temat R.W.E. co ja, to by się przekonał po pierwsze, jaką rolę ono odgrywa w Kraju, a po drugie, jak słabo ludzie tam są informowani o tym, co się dzieje na Zachodzie. To co dla każdego z nas wydaje się proste, jasne, zrozumiałe samo przez się, co wszyscy tutaj wiedzą, tam są to sprawy nieraz mgławicowe, które trzeba wyjaśniać, jak w szkolnym podręczniku. Nie mam tu na myśli pewnych elit, ale masy — a R.W.E. powinno być w pierwszym rzędzie na te masy nastawione.

Zaznaczam, że z R.W.E. nigdy mnie nie łączyły ani nie łączą żadne więzy, nawet okazyjnej współpracy. Słucham go okazyjnie, czytam *Na Antenie* i bardzo dużo o nim rozmawiam z jego słuchaczami.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i poważania.

Jerzy ŻŁOBNICKI

List p. J. Żłobnickiego wydaje się nam nieporozumieniem. Nikt nie kwestionuje ogromnej roli informacyjnej jaką wobec kraju spełnia Radio Free Europe. Mieroszewski stwierdził jedynie, że lepiej posługiwać się korespondencjami z prasy światowej — które są lepsze, bardziej wyczerpujące i aktualniejsze — niż korespondencjami dziennikarzy emigracyjnych, nie mających takich możliwości, jakimi dysponują zachodnie potęgi prasowe — co byłoby chyba w interesie słuchacza krajowego, nie tylko elitarnego. I tylko tyle. Co nas natomiast niepokoi w liście p. Żłobnickiego, to — zapewne niezamierzona przez niego — tendencja, że krytyka jest rzeczą szkodliwą. Czy nie zaczyna być w życiu emigracyjnym za dużo nienaruszalnych tabu?

REDAKCJA

SPROSTOWANIE

Do artykułu E. Wacowskiej „Próba bilansu i horoskopy” (*Kultura*, styczeń/luty 1972) zakradł się przykry błąd drukarski, niezauważony w korekcie: Na str. 16, wiersze 3 i 4 od góry wydrukowano „Katyń-1941”, winno być naturalnie *Katyń-1940*. (Ten sam błąd znajduje się na str. 162, wiersze 19 i 20 od góry, w *Rewolcie szczecińskiej* („Dokumenty” *Zeszyt 38-my*) której fragment stanowi powyższy artykuł. — REDAKCJA.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1972.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vista » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guaiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 34 Facer Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Osetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; W. Dziarczykowska, 2402 Chermoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02712; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posynak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 82; półroczna F. 45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 215 — CZESŁAW MIŁOSZ

PRYWATNE OBOWIĄZKI

Retrospektywny wybór tekstów wybitnego poety i eseisty.

Wybór jest poprzedzony zasadniczym wstępem Autora.

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,50; £.2.00)



TOM 216 — DANUTA MOSTWIN

JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

Powieść z życia polskiej emigracji powojennej w Stanach Zjednoczonych oraz z życia stypendystów PRL w USA. Ich wzajemne stosunki, konflikty i tęsknoty.

Str. 304.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)



TOM 217 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY PIERWSZY

Zawiera m.in.: Z. Siemaszko: *Grupa Szańca i Narodowe Siły Zbrojne*; L. Dobroszycki: *Prasa w Polsce w okresie kampanii wrześniowej i niemieckiego zarządu wojskowego*; St. Kirkor: *Sprawy finansowe Polski w przededniu ostatniej wojny*; St. Stempowski: *Ukraina (1919-1920)*; A. Krzyżanowski: *Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu (cz. I-a)*; K. Iranek-Osmecki: *Sprawozdanie i dziennik podróży emisariusza Antoniego; 5-ta Brygada Wileńska A.K. mjr. Łupaszki*; P. Watowa: *Paszportyzacja*; L. Mitkiewicz: *Likwidacja Polskiej Misji Wojskowej w St. Zjednoczonych w 1945 r. oraz DZIAŁY: SĄSIEDZI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

F. 18,50 (dol. 4,25; £.1.50)

Cena 7,50 F